M.P. im. L.W. w Łodzi

Nr indeksu 36762PL ISSN 0472-3042

Łódź
tygodnik społeczno-kulturalny
Odgłosy

NUMER 49 (1549) ROK XXX 5 GRUDNIA 1987 ROKU CENA 25 ZŁ

□ Przeklęte imię zdrady str. 12
□ Sataniści na lekcji religii str. 2
□ Przemytnicy, celnicy i milicjanci str. 5
□ Biednego nie stać na tandetę str. 3
□ Ukręcony łeb „ptaszka" str. 6
□ Stawiać wielkie kroki str. 13

Poniedziałek, 30 listopada 1987 roku

Co będzie?

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Ten komentarz piszę nie jak zwykle w niedzielę, ale wyjątkowo w poniedziałek. Sądzę, że wszyscy rozumieją dlaczego, choć to i tak niczego właściwie nie zmienia. Wprawdzie w nocy rzecznik rządu Jerzy Urban podał, że frekwencja w lokalach do głosowania wyniosła około 68 procent uprawnionych do wypowiedzenia się, ale pełne wyniki będą znane dopiero dziś wieczorem. Opublikowane będą we wtorek, już 1 grudnia 1987 roku. Gdy komentarz ten ukaże się w druku, będziemy wszystko wiedzieli. Będziemy wiedzieli, ilu z nas jest za szybkimi reformami, ilu za demokracją. Ale ludzie nadal będą pytali siebie i innych: co będzie?

Najczęściej pytano niegdyś: co robić? Dziś wiemy. Musimy reformować naszą gospodarkę i inne dziedziny życia, musimy rozwijać demokrację. Ale czy wszyscy są w jednakowym stopniu o tym przekonani? Czy wszyscy — choćby przez sam akt udziału w referendum gotowi są nie tylko deklarować poparcie dla reform i demokracji, ale też gotowi będą realizować założenia programu reform i programu rozwijania demokracji?

Sądziłem, że ludzie mogą bać się reform, no bo wiąże się to z pewnymi trudnościami, kłopotami, niedogodnościami. Ale demokracji — tak myślałem — chcą wszyscy. I słuchałem z pewnym zaskoczeniem wypowiedzi różnych moich znajomych i nieznajomych, którzy otwarcie mówili, że... boją się rozwoju demokracji. Dlaczego? Bo demokracja zmusza do liczenia się z opinią innych. A inni mogą mieć różne zdania. Demokracja tymczasem ma swoje „reguły gry" i swoje granice. Boję się więc, że niektórzy ludzie mylą demokrację z anarchią. Boję się, że przykre doświadczenia 1981 roku, kiedy „szalała demokracja" mącą im obraz. A przecież nie mamy innego wyjścia, jak tylko reformować gospodarkę i inne dziedziny życia, rozwijać demokrację i samorządność, bo nie ma powodzenia reform bez rozwoju demokracji.

Był w naszej historii czas, kiedy ludzie nie zrozumieli znaczenia i potrzeby reform, kiedy prywata zasłoniła im oczy i woleli wybrać „święty spokój" i upadek Polski. Sięgnąłem do starych tekstów. Co będzie — myślałem sobie — gdy ludzie znów nie pojmą znaczenia reform i rozwoju demokracji?

„Żebyśmy więc my Polacy — **pisał w 1761 roku Stanisław Konarski** — (lubom tę myśl już kilka razy powtórzył, ale nigdy dosyć), żebyśmy mówię, my Polacy sami mieli się za rozumniejszych, nad cały Naród Ludzki, i nad wszystkie dawne i teraz kwitnące Rzplite, to by było nadto: że nie rzekę, iż by to była jakaś sosobliwa i niesłychana pretensja, która by nas na pośmiewisko całemu podała światu. Rządźmy się (co się sto razy mówiło) jak ludzie rozumni, jak się rządzi reszta całego naszego plemienia: nic nie pretendujmy nad ludzi".

Co się tłumaczy: nie wynośmy się nad innych ludzi, nie róbmy z siebie mądrzejszych od innych. Jakże aktualne są te słowa sprzed 226 lat. „Rządźmy się jak ludzie rozumni" — to przecież wezwanie tak dla rządzących, jak i rządzonych. To przecież wezwanie najbardziej demokratyczne. Czy dziś nieaktualne? Ale my dziś mamy za sobą te 226 lat tragicznych doświadczeń. Czy nie potrafimy z tego wyciągnąć należytych wniosków? Mam nadzieję, że tak!

Ale nie przywiązuję wagi do dat. Zmiany bowiem nie dokonają się u nas automatycznie. Nie zmieni tego data 29 listopada 1987 roku, nie zmieni tego 1 stycznia 1988 roku, nie zmieni też 1 stycznia 2000 roku, kiedy zacznie się XXI wiek. Zmienić wszystko może tylko nasza praca, nasz wysiłek intelektualny, który musi lec u podstaw tej pracy. Tak właśnie powinno być!

Ucieszę się, jeśli dowiem się, że większość Polaków, którzy wzięli udział w referendum wypowiedziało się za szybkimi reformami i demokracją. Mimo wielu wątpliwości, zastrzeżeń i obaw. To byłby dobry prognostyk. Ale to nas nie zwalnia od wysiłku i odpowiedzialności. Przede wszystkim od wysiłku intelektualnego. Trzeba bowiem Polskę pchnąć na nowe tory, na tory postępu, aby nie wiekła się w ogonie innych państw i nacji. To najważniejszy dziś nakaz!

PS. Wszystkim moim polemistom zwracam uwagę, że miałem rację nie wybierając się na Haiti, gdyż tam w niedzielę 22 osoby zabito podczas wyborów prezydenckich a same wybory odwołano.

Jadwigę KRAWCZYK-CZYŻ proszę o skontaktowanie się ze mną telefonicznie, aby bowiem móc pomóc, trzeba znać więcej szczegółów.

LW

Zgierz od innych niedużych miast różni nie tylko posiadanie pętli tramwajowej.

Teatr gorący

MAREK KOPROWSKI

W Zgierzu po zmroku jest ponuro, mroczno i chyba niebezpiecznie. Na tramwajowej pętli bujają się bekotliwe typy spod ciemnej gwiazdy. Ruch uliczny ustaje, spracowane społeczeństwo zmyka do swych domów. Telewizyjna „dobranocka" usypia nie tylko dzieci.

Prawda, jakie to odkrywcze i niebanalne? Tyle że takim oryginalnym opisem opasać można większość z tysięcy małych polskich miast i miasteczek, gdzie społeczny krwiobieg zasilany jest wódą i telewizyjną sieczką. Jeśli występują jakieś różnice, to tylko takie, że nie ma np. tramwajowej pętli.

Gdzieniegdzie są jednak ludzie, którzy chcą zamieszać zastałe powietrze i rozgarnąć je jak wentylator. Tak jest właśnie w Zgierzu. Kilkadziesiąt metrów od owej tramwajowej krańcówki ma swoją siedzibę amatorski teatr „Orfa", nazwany przez Marka Millera w „Radarowej" publikacji z 1984 r. — „Teatrem niepokornym". Właśnie minęło 15 lat od założenia placówki. Od początku kieruje nią **Marian Glinkowski** — postać znana, popularna i ceniona w środowisku, podobnie jak teatr, którym dowodzi.

„Orfa" wywodzi się z kręgu nauczycielskiego. Ci, którzy są z teatrem od początku, to (poza **Grażyną Spanowską** — urzędnikiem UM Zgierza) czynni w zawodzie nauczyciele: **Antoni Spanowski i Marek Siedlecki**. Marian Glinkowski też był wtedy pedagogiem. Dziś, poza „Orfą", kieruje Ośrodkiem Teatralnym Łódzkiego Domu Kultury. Tu zjeżdżają instruktorzy teatralni z województwa łódzkiego i tu znajdują najbardziej z fachowych fachową pomoc i korzystają z doświadczonego doświadczenia.

W piętnastoleciu zgierskiego teatru swój udział ma 61 osób. 15 lat temu pionierzy otrzymali liche pomieszczenie, które remontować trzeba było sztywniejącymi z zimna rękami. Zanim zostali aktorami, musieli być murarzami, stolarzami i ślusarzami. Malarzami też. Powiększyli z czasem niewielką salkę, dziś widownia mieści 70 osób. Mają własny zespół muzyczny, przychylność lokalnych władz i kierownictwa Miejskiego Ośrodka Kultury, gdzie jest ich siedziba. Chcieliby mieć dobry sprzęt nagłaśniający i muzyczny.

Wiele osób odeszło, przyszli inni. Dziewczęta powychodziły za mąż, a zgierscy mężowie nie pozwolili żonom na dalszy udział w teatralnej przygodzie. Wyjątkami są członkowie zespołu, którym sympatie do koleżanek-aktorek udało się wynieść do rangi trwałego związku.

Dzisiaj zespół tworzą (poza nauczycielami) studenci, urzędnicy, pielęgniarka.... Prawdziwi, z ducha amatorzy, jakich coraz mniej w tych głupich czasach kultu pieniądza i wyścigu po kiełbasę lub kolorowy telewizor. Dla nich teatr jest nie tylko sposobem spędzania wolnego czasu i pomysłem na życie. To również dotlenienie, dokarmienie (duchowe) i wyjście z anonimowości. To wentyl, zawór bezpieczeństwa na powikłaną rzeczywistość, to wyrwanie się gnuśnemu życiu i nudzie codzienności. To ruch.

— Warto być w ruchu — wtedy więcej widzisz, szybciej, intensywniej żyjesz. W ruchu jeśli zrobisz fałszywy gest, to jeszcze zdążysz go naprawić. Żyć to znaczy ruszać się, być w wielu miejscach. Życie w ruchu jest barwniejsze, ma w sobie więcej tlenu — to, co powiedział **Marian Glinkowski**, zespół przyjął jako motto swego działania.

Ruch, o którym mowa, to nie tylko częste wyjazdy na spotkania, przeglądy czy festiwale

Odgłosy

Adres redakcji:
90-113 Łódź ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44.

sekretarz redakcji,

fotoreporter: 36-80-99.

publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.
Zastępca redaktora naczelnego: Edmund Lewandowski.
Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.
Kierownik działu literackiego: Henryk Pustkowski
Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.
Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska, Marian Zdrojewski.
Grafik: Janusz Szymański-Glanc.
Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński.
Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.
Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Bohdan Gadomski, Grzegorz Gazda, Jacek Głębski, Witold Kasperkiewicz, Andrzej Kempa, Wasyl Kocznow (Iwanowo), Marek Koprowski, Włodzimierz Krzemiński, Marek Mamos, Zenon J. Michalski, Ryszard Nakoniecznv, Adam Ochocki, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski Maciej Świerkocki, Witold Werner.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch" Łódź, ul. Armii Czerwonej 28

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. Dla instytucji i zakładów pracy — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. Dla indywidualnych prenumeratorów — osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli, osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora Wpłaty dokonuje się używając blankietu „wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch" 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11 Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc dla zlecających instytucji i zakładów pracy Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego

Zam. 3756. H-10.

Przegląd prasy

„Już od dwóch lat miałem możność obserwowania, że dzieje się coś złego na lekcjach tzw. katechezy — są to spotkania z młodzieżą w wieku licealnym... Chętnie przychodzą do mojej grupy, mówią, że można sobie tu o wszystkim porozmawiać, w szkole boją się «podpaść», w domu zmęczeni rodzice wolą kupić nowy magnetofon niż rozmawiać. Więc tutaj próbują się buntować, bo wiedzą, że ja wszystkiego wysłucham i nie odtrącę ich. Tak więc zauważyłem, pozylając kartkę z listą obecności, że przy niektórych nazwiskach pojawiły się odwrócone krzyże, pentagramy. Początkowo nie reagowałem, ale po którymś z rzędu razie zapytałem co to znaczy. A to tak sobie, dla zabawy, nic ważnego — powiedzieli. Przychodzili na religię i wyraźnie mnie prowokowali — wszystkim: zachowaniem, fryzurą, strojem. (...) Szatan uczynił człowieka wolnym — mówili. Ewa poczuła rozkosz, gryząc jabłko. A oni — z każdej strony spotykają tylko ograniczenia. Rodzice, wychowawcy, ksiądz — wszyscy ograniczają ich wolność".

Są to słowa pewnego księdza wikariusza z Katowic, które przytacza w artykule na łamach kwartalnika społeczno-artystycznego „TAK I NIE — ŚLĄSK" (nr 7) Mieczysława Fręś. Na temat wyznawców Szatana pisze się ostatnio coraz częściej. Nie ma ich w Polsce tak dużo jak w krajach zachodnich, ale gdzieniegdzie istnieją małe grupki i szokują opinię publiczną. Podobno centrum polskiego satanizmu znajduje się w Katowicach.

KSIĄDZ WIKARIUSZ MÓWI:

„Przyszedł czas kolędy. Odwiedziłem katolickie mieszkania. Z jednego ministranci zostali wyproszeni, mnie natomiast zaproszono do środka. Z kościelnej kartoteki wynikało, że to katolicka rodzina. Potem dopiero dowiedziałem się, że z tej rodziny pozostał tylko starszy syn, rodzice z młodszym wyjechali do RFN i nie wrócili. Muszę przyznać, że byłem przestraszony. Znalazłem się wśród 15 osób — wszyscy ubrani na czarno, czarny pokój, odwrócone krzyże na ścianach, pentagramy, czaszka pomalowana na czarno, hełm faszystowski. Na krześle siedział ktoś dużo starszy od zebranych, obwieszony różnym żelastwem, długie blond włosy zaczesane do tyłu, spadające na ramiona. Chcieli ze mną rozmawiać... ale cóż to była za rozmowa — właściwie wysłuchałem monologu na temat wyższości Szatana, na temat jego prawdziwości, niezaklamania. (...) Nie, nie wiem kim był ten blondyn, może to jakiś ichni kapłan? Nie byli niegrzeczni wobec mnie. Chcieli tylko, żebym ich akceptował, tak jak oni akceptują mój Kościół i mojego Boga. Uważają, że Jehowa jest usurpatorem, który wprowadził w błąd ludzkość. Lucyfer, upadły anioł, wyrzucony z nieba za podłą dumę i zuchwałość jest dla nich prawdziwym bogiem i on zwycięży, to bliźszy jest ponoć naturze człowieka".

Po hebrajsku Satan znaczy przeciwnik — ten, który działa na przekór, przeciwstawia się. Po grecku Diabolos — to oszczerca. Natomiast łacińskie Lucyfer oznacza tego, który niesie światło. Ideolog satanistów z Katowic (lat około 30, długie, jasne włosy) powiedział reporterce Mieczysławie Fręś:

„Do tej pory Szatan, choć wygwizdany i hańbiony, zachowywał się jak dżentelmen. Nadszedł jednak czas, aby wyszedł z ukrycia i nauczył ludzi nanowo praw życia — tu, na ziemi. Szatan odrzucił wszystko, czym Bóg go krępował. Odrzucił poddaństwo, a proklamował niezależność. Wybrał brzemię posiadania własnego rozumu i za to został potępiony i wyklęty, stając się przeciwnikiem Boga. Przychodzą tu różni ludzie, interesują się problemem, porozmawiają, posiedzą, wypiją herbatę, posłuchają muzyki. Czują się chyba dobrze, skoro przychodzą. Są akceptowani, nie muszą dorastać do niczyich wymagań, ani spełniać niczyich marzeń. Niczego się od nich nie oczekuje i nikt nie stawia im żadnych warunków".

Czym jest Szatan w rozumieniu teologii chrześcijańskiej? Na to pytanie można znaleźć odpowiedź w miesięczniku dominikanów „W DRODZE" (nr 8). Janusz Spyra pisze, że w księgach Starego Testamentu

SZATAN WYSTĘPUJE RZADKO.

Jest on bezpośrednio związany z Bogiem i wszystko czyni za jego zezwoleniem. W znanej Księdze Hioba pojawia się nawet wśród synów Bożych. I wcale nie jest powiązany ze światem demonów...

„Świat złych duchów zaczyna przybierać wyraźniejsze kształty dopiero w jednej z najmłodszych ksiąg Starego Testamentu — Księdze Tobiasza, napisanej na przełomie III i II wieku przed Chr. Opisany tu «zły duch Asmodeusz» uśmierca siedmiu kolejnych mężów Sary (Tb 3,8) i w ten sposób świat demonów zostaje obdarzony mocą zabijania. Wzrost kompetencji demonicznego świata odbywa się nie bez wpływów religii irańskiej — imię Asmodeusz wywodzi się od irańskiego Aeshmadeva, ale wpływy te ograniczają się raczej do zewnętrznych zapożyczeń. Judaizm bowiem w swej ortodoksyjnej formie nie dopuścił do ukształtowania się postaci mogącej w najmniejszym stopniu rywalizować z Jedynym Bogiem. Nic więc dziwnego, że nawiązując do tej tradycji niektórzy średniowieczni myśliciele, np. Majmonides, zaprzeczali w ogóle istnieniu diabła".

W ramach Tygodnia Kultury Chrześcijańskiej na pytania wiernych w Szczecinie odpowiadała m.in. Lucja Łukaszewicz — socjolog z Poznania. Poinformowała ona o wynikach badań przeprowadzonych przez młodych socjologów z UAM wśród uczestników tzw. rockowisk w Jarocinie, gdzie po raz pierwszy ujawnili się sataniści.

„Okazuje się, że na około 20 000 młodych ludzi przyjeżdżających do Jarocina, do bardzo «nietypowych» można zaliczyć ok. 15 proc., czyli zdecydowaną mniejszość. Jest to oczywiście mniejszość najbardziej widoczna i zapewne spełniająca rolę swoistej elity. «Nietypowi» to np. «punkowie» (z ang. punk, śmieć — charakterystyczne są te zapożyczenia ze świata zachodniego, głównie anglosaskiego) — negujący wszystko, fryzura Irokeza, koguta, ozdoby symbolizujące zadawanie bólu; «killersi» (killer, morderca) z czarnymi ustami symbolizującymi śmierć; «skiny» (skin, skóra), ostrzyżeni do skóry, w czarnych skórzanych kurtkach, emblematy z reguły faszystowskie, uprawiają najkrócej mówiąc nihilizm, tumiwisizm, na pytania socjologów, czy w ogóle interesuje ich świat, odpowiadali krótkim, dosadnym zaprzeczeniem. Poglądy pseudofilozoficzne, wyrażane bardzo prymitywnie. Są też tzw. grzywacze, popersi, przeciwieństwo poprzednich — chwalą sobie piwiądze, ubiory z Pewexu, kawiarnie, dyskoteki etc. Otóż ci pozostający w mniejszości «nietypowi» są elitą w znaczeniu starań nadania stylu pozostałym, całej reszcie. Negują wszelkie autorytety: rządowe, szkolne, rodzicielskie, także kościelne, odrzucają wszystko, co uważają za dogmat. Co mądrzejsi z nich starali się wyjaśnić owe występujące w Jarocinie ekscesy sataniczne nadmiarem branych tam używek".

Rozwijający się satanizm jest prawdopodobnie symptomem kryzysu kultury zachodniej i chrześcijańskiej. W naszym kraju mamy znacznie poważniejsze objawy kryzysu. Szczególnie niepokojący jest:

WZROST UMIERALNOŚCI MĘŻCZYZN.

Coraz częściej przedwcześnie umierają mężczyźni w sile wieku. Skala tego zjawiska jest przerażająca. Tak twierdzi na łamach miesięcznika „WIĘŹ" (nr 7—8) prof. dr Marek Okólski.

„Są grupy wieku, w których wzrost umieralności przekroczył już 50 procent, co oznacza, że wskaźniki cofnęły się jakby do poziomu lat bezpośrednio powojennych. Można zatem uznać, że jeżeli został po wojnie dokonany jakikolwiek postęp w tej dziedzinie, to został on zaprzepaszczony w dalszych latach. Nie dotyczy to na szczęście całego społeczeństwa. Tym niemniej, sekwencja zapoczątkowania wzrostu umieralności wśród różnych grup wskazuje wyraźnie na to, że prędzej czy później tym procesem zostaną objęte niemal wszystkie grupy ludności w Polsce. Badając również wzrost umieralności w odniesieniu do miejsca zamieszkania, ustaliłem, iż w większym stopniu to zjawisko dotyczy mieszkańców wsi, a zwłaszcza tych wsi, które położone są na terenach przyłączonych do Polski po II wojnie światowej, a więc na terenach, które kiedyś nazywaliśmy Ziemiami Odzyskanymi. Warto zwrócić uwagę, że są to obszary, gdzie przede wszystkim działają Państwowe Gospodarstwa Rolne, w których występuje szczególnie intensywne używanie czy wręcz nadużywanie środków chemicznych w rolnictwie. Tam też na ogół jest skoncentrowany najbardziej uciążliwy dla środowiska przemysł — wydobywczy i ciężki. Bardzo łatwo było ustalić korelację pomiędzy zmianami w umieralności a lokalizacją tych źródeł zanieczyszczenia środowiska".

Czytelnikom zainteresowanym migracjami ludności w latach 1939—1948 polecam ciekawy artykuł Krystyny Kersten w miesięczniku „RES PUBLICA" (nr 4). Autorka omawia następujące przesiedlenia dotyczące Polski: 1) Niemcy wysiedlili 918 tys. osób z terenów wcielonych do Rzeszy; 2) władze radzieckie deportowały z obszaru przyłączonego do ZSRR od 1050 tys. do 1200 tys. osób; 3) repatriacja ludności z kresów wschodnich objęła ponad 1.2 mln osób w latach 1945—1947 oraz około 256 tys. osób w latach 1956—1957; 4) z ziem północnych i zachodnich wysiedlono ok. 3 mln Niemców, a wcześniej ewakuowało się i zbiegło około 4 mln osób; 5) w latach 1945—1946 przesiedlono z Polski do ZSRR około pół miliona osób uznanych za Ukraińców oraz pewną liczbę Białorusinów i Litwinów; 6) z ziemi zwanych ongiś dawnymi na ziemie odzyskane przemieściło się do końca 1948 roku ok. 2,5 mln osób; 7) w 1947 roku przesiedlono około 150 tys. Łemków i Ukraińców z Polski południowo-wschodniej do województw koszalińskiego, olsztyńskiego i szczecińskiego.

Krystyna Kersten uważa, że migracje ludności polskiej spowodowały osłabienie społeczeństwa jako całości. Wiązały się one z utratą lokalnych ojczyzn, tradycji, symboli, miejsc kultu, więzi międzyludzkich. Rozpadło się wiele środowisk. Ale równocześnie przebiegał proces tworzenia nowego typu więzi narodowej.

„Następowała intensyfikacja związków z wspólnotą narodową, nabierała wagi kwestia narodowej identyfikacji".

Na zakończenie przeglądu zwracam uwagę na

COŚ LŻEJSZEGO.

Redakcja dwutygodnika „KARUZELA" przy współpracy Muzeum Karykatury w Warszawie wydała specjalny dodatek zatytułowany „Uśmiech Erosa". Znajdują się w nim żarty rysunkowe, wiersze, fraszki. Część rysunków (m.in. Andrzeja Mleczki) pochodzi z wystawy „Eros w karykaturze".

E.L.

NA WŁASNY RACHUNEK

Rynkowe niespodzianki

Kiedy to piszę, nie wiem jeszcze, jaki będzie wynik referendum, jako iż na dwoje babka wróżyła. Byłbym gorąco za tym, żeby wypadło ono zdecydowanie na „tak". Ale czy wielu rodaków podziela mój pogląd? Kto to dziś czyta, ten już wie, jak podzieliły się głosy.

Niejako na marginesie tego ważnego aktu politycznego uświadomiłem sobie nagle, ku swemu absolutnemu zaskoczeniu, że kondycja ekonomiczna naszego państwa, przejawiająca się m.in. w zaopatrzeniu rynku, jest lepsza niż na ogół przypuszczamy. Oczywiście wiem, że nie należy całkowicie utożsamiać obfitości i dostępności towarów z siłą ekonomiczną państwa. Z różnych powodów i w różnych okresach mogą istnieć biedni obywatele bogatego państwa i może być na odwrót, jak to u nas często bywało.

Otóż właśnie teraz, w przewidywaniu dość znacznej zwyżki cen wielu artykułów (o czym wiadomo z oficjalnych wypowiedzi) społeczeństwo nasze od wielu tygodni zwiększyło wielokrotnie swoje codzienne zakupy niektórych artykułów żywnościowych, zaczęło też gwałtownie przyodziewać się na kilka lat naprzód oraz wyposażać gospodarstwa domowe w najkosztowniejszy sprzęt, zmieniany zazwyczaj raz na bardzo wiele lat. O alkoholu już nie wspominam. Zresztą, któż z nas jest bez winy...

I przy tej okazji wyszły na jaw nie przez wszystkich sobie dotychczas uświadamiane dwie sprawy. Jedna, to ogromne zasoby pieniężne ludności, które wzięły się głównie stąd, że przez kilka ostatnich lat, jak o tym często mówiły sprawozdania statystyczne, dochody ludności, wbrew wszelkim odgórnym apelom i przestrogom, wzrastały z roku na rok szybciej niż przybywało towarów rynkowych (w sensie ich ogólnej wartości pieniężnej). Ale rynek jakoś ten stan przez kilka lat wytrzymywał, mimo przejściowych braków zaopatrzeniowych, i nawet stawał się z roku na rok jakby zasobniejszy.

W tej sytuacji dyrektorzy przedsiębiorstw, naciskani przez ciała społeczne i samorządowe działające w ich przedsiębiorstwach (a zabiegające o łatwą popularność u załóg) wypłacali ludziom więcej pieniędzy niż należało. Nie chcę przez to powiedzieć, że więcej niż wynoszą ludzkie potrzeby, ale więcej niż zezwalał na to stan gospodarki. Choć skromnie żyliśmy więc w tym znaczeniu ponad stan.

A druga prawda, może jeszcze mniej oczywista, że mimo wszystko nie tylko półki sklepowe i targowe stragany wzbogaciły się od grudnia 1981 r. o dziesiątki i setki pozycji, ale niezależnie od owego procesu odtwarzania asortymentu udało się także utworzyć pokaźne zapasy w hurcie, dzięki czemu obecny, niezwykle gwałtowny pęd do wykupywania wszystkiego co może się przydać nie napotyka jeszcze na dotkliwe braki podstawowych artykułów.

Inna sprawa, że zasobność naszego rynku utrzymuje się po części dlatego, że nadal „przejadamy" odsetki od zaciągniętych długów i jeszcze powiększamy nasze zadłużenie. Byłoby więc lekkomyślnością zapominać o tym, do czego nas doprowadziło „skonsumowanie" w latach siedemdziesiątych jednej trzeciej zagranicznych pożyczek, czyli ośmiu miliardów dolarów, czemu towarzyszyło nie najgorsze samopoczucie nieświadomego społeczeństwa. Dla mnie jednak jest sporym zaskoczeniem, iż stan rynku okazał się nie aż tak opłakany jak się ogólnie sądzi.

Trochę jednak dziwi mnie, a czasem i oburza stanowisko osób, które uginając się pod ciężarem poczynionych zakupów mają pretensję, że nie nadąża się nieraz z przewozem i rozładunkiem wykupywanych towarów. No, ale łączenie przyczyn i skutków w jeden ciąg logiczny nie jest, jak sądzę, naszą najmocniejszą stroną, przynajmniej w sferze polityki — społecznej, gospodarczej i czysto „politycznej". Byłoby jednak miłej, gdybyśmy chomikując byli mniej bezczelni.

Myślę też sobie, że jeżeli jakoś dobrniemy z zaopatrzeniem rynku do rozpoczęcia drugiego etapu reformy (umiarkowanego lub przyśpieszonego), czyli do pojawienia się nowych towarów po nowej cenie, powinniśmy szybko wrócić do zachwianej obecnie równowagi psychicznej i bardziej skutecznie niż dotąd koncentrować się na poprawie warunków bytu przez pracę, czego i sobie życzę.

JERZY KWIECIŃSKI

Za tydzień w „Odgłosach"

— Nie do wiary a prawdziwe. Straszna afera w Żychlinie — reportaż PAWŁA TOMASZEWSKIEGO.

Już za dwa tygodnie

specjalne wydanie ŚWIĄTECZNE „Odgłosów", a w nim między innymi:

— W wigilię Bożego Narodzenia o godzinie piątej wieczorem było już ciemno. Bary, restauracje i kawiarnie dawno zamknięto. Ze śródmiejskiego parczyska wyszedł nagle i zagłębił się w ulicę Lotników... — początek opowiadania ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO.

— Niewielki piętrowy dom stoi przy wysypanej szlaką ulicy Cmentarnej. Ale wbrew lokalizacji i smętnej nazwie ulicy dom z białej cegły tętni życiem, muzyką i śpiewem — reportaż RYSZARDA BINKOWSKIEGO.

— To nie lista bezwzględnych wartości, lecz propozycja: dziesięć najlepszych książek 1987 roku — artykuł GRZEGORZA GAZDY.

— Antoni Olman miał pecha: już po raz drugi z rzędu wypadła mu służba w noc wigilijną. Klął na czym świat stoi, a komendanta Ciszewskiego nazwał — i to publicznie — świnią. Olman miał pecha i nic z tego dobrego nie wyszło... opowieść JAKUBA i JAROSŁAWA ŁASKICH.

— Działo się to przeważnie w Łodzi na ulicy Radwańskiej — wspomnienia WŁODZIMIERZA SKOCZYLASA.

— Teraz nazywa się akupunkturę metodą paramedyczną. To ja pytam, dlaczego paramedyczną, skoro uprawiana jest przez lekarzy? skoro od tysięcy lat daje dobre rezultaty? — rozmowa PAWŁA TOMASZEWSKIEGO z lekarzem akupunkturzystą TOMASZEM NOWOSIELSKIM.

Bardzo atrakcyjny numer świąteczny ukaże się w zwiększonej objętości 20 stron i cenie 40 zł. Dalsze szczegóły za tydzień.

Kompleksowy rozwój włókiennictwa niesie z sobą postęp, dlaczego z tego nie skorzystać?

Biednego nie stać na tandetę

Rozmowa z prof. JANUSZEM SZOSLANDEM — dyrektorem Instytutu Mechanicznej Technologii Włókna PŁ, prezesem Stowarzyszenia Włókienników Polskich, przewodniczącym Rady Głównej NOT, członkiem Rady Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa.

Co II etap reformy może przynieść polskiemu włókiennictwu?

— Zanim odpowiem na to pytanie, chciałbym się zastanowić nad tym, skąd się wzięło pojęcie II etapu?

— Początkowo nie było o tym mowy.

— No właśnie. Można zatem domniemywać, że z reformą gospodarczą, którą wprowadzaliśmy w życie, coś nam nie wyszło. I wiele faktów to domniemywanie potwierdza. W 1982 roku wprowadziliśmy wielki manewr cenowy. Nie przyniósł spodziewanych rezultatów. Teraz znów czekamy na 1 stycznia 1988 roku, jakby tego dnia wszystko miało się radykalnie zmienić. Przez to czekanie tracimy czas. Dla sprawnego funkcjonowania państwa strata jednego dnia to bardzo dużo. A my tracimy dwa lub nawet trzy miesiące.

— Dlaczego tak się dzieje?

— Z różnych powodów. Ludzie są przekonani, że potrzeba nam radykalnych zmian. Ale wszyscy się ich boją. Ja się też boję i przypuszczam, że pani również.

— Więc odsuwamy je w przyszłość.

— Z drugiej strony, nie wyciągnęliśmy należytych wniosków z tego, co robiliśmy do tej pory. Robiliśmy bowiem to niekonsekwentnie i nie rozwiązaliśmy problemu odpowiedzialności. Moim zdaniem podczas realizacji założeń reformy gospodarczej powinna obowiązywać żelazna konsekwencja. A tego nie było. Uchwalano ustawy, wydawano różne zarządzenia, a później szukano różnych sposobów na ich ominięcie, różnych wybiegów. Można to określić tak, że często siła przebicia zastępowała prawa ekonomiczne. Stwarzano ulgi, enklawy branżowe, rozmywając przez to generalnie słuszną ideę reformy.

— A sprawa odpowiedzialności?

— Pozwoli pani, że zacytuję fragment mojej wypowiedzi z posiedzenia Rady Konsultacyjnej. Wówczas powiedziałem tak:

„Brak odpowiedzialności wynika z tego, że sprawcy są pewni, że obroni ich tarcza odpowiedzialności instytucjonalnej. A przy niedoskonałych mechanizmach ekonomicznych bywa ona nadzwyczaj skuteczna. Taka sytuacja nie sprzyja dobrej robocie, wypacza najsilniejsze charaktery, niszczy wiarę w sens możności poprawy. Obezwładnia."

Zastąpienie odpowiedzialności instytucjonalnej przez odpowiedzialność indywidualną, osobistą — to bardzo ważna sprawa. Bez tego nie ma wiarygodności działania.

— Czy są to główne przyczyny naszych niepowodzeń w reformie gospodarczej?

— Sądzę, że w założeniach reformy nie było wielu złych spraw systemowych i gdyby nie brak odpowiedzialności za to, co robimy i brak konsekwencji w tym, co robimy, to rezultaty byłyby znacznie korzystniejsze.

— I być może mielibyśmy tak upragnioną równowagę na rynku.

— W moim przekonaniu rzecz polega nie na tym, że na rynku będzie dużo towarów, ale że będą to towary wysokiej jakości i na poziomie technicznym bliskim poziomowi światowemu. Cóż z tego, że w sklepach „Domaru" będą dobre radia, skoro będą one ustępowały radiom produkowanym na świecie. Powinniśmy bowiem pamiętać, że na świecie obowiązuje taka zasada: biedaka nie stać na kupno rzeczy tanich. Dlatego też na naszym rynku powinny być towary wysokiej jakości.

— Jak to osiągnąć?

— Naczelna Organizacja Techniczna proponuje interwencjonizm państwowy jako sposób na rozwiązanie tego problemu.

— Na czym miałoby to polegać?

— Na stałej konfrontacji poziomu technicznego wyrobów z poziomem światowym.

— Jeśli poziom danego wyrobu nie odpowiada poziomowi światowemu, to co wtedy? Zakazać produkcji?

— Interwencjonizm państwowy musi się wszystkim opłacać: państwu, nabywcom, przedsiębiorstwu. Nie myśmy to wynaleźli. Tak postępuje się w wielu krajach: w RFN, Anglii, USA. Po prostu państwo poprzez różne ulgi, w tym i podatkowe, dopomaga przedsiębiorstwu w rozwijaniu produkcji wyrobów nowoczesnych, dobrej jakości. Nie pomaga się słabemu. Przeciwnie — pomaga się silnemu, aby był jeszcze silniejszy.

— Jak to się ma do samodzielności przedsiębiorstw, do założeń reformy w ogóle?

— Jeśli będzie się to opłacało przedsiębiorstwu, to nie ma sprzeczności. Nie powinno to kolidować ani z samodzielnością przedsiębiorstwa, bo mu się przecież to opłaca, ani z założeniami reformy, bo o to w niej chodzi. Potrzeba do tego tylko żelaznej konsekwencji, przywrócenia pojęcia odpowiedzialności i działania praw ekonomicznych opartych o realia. No i musi jeszcze dojść do tego odpowiedzialność zaplecza badawczego. Za poziom każdej branży powinny odpowiadać placówki badawczo-naukowej tej branży.

— Teraz mamy odwrotną sytuację. Raczej narzekamy na to, że nikt nie jest zainteresowany innowacyjnością. A przecież mamy wielką ilość inżynierów. Dlaczego tak się dzieje?

— Jeśli mam być szczery, to nie dziwię się kierownictwom fabryk, że nie szukały innowacyjności. A niby w imię czego miałyby to robić? Przecież jeśli fabryka pracuje, ludzie dobrze zarabiają, wyroby jej mają zbyt, to w imię czego kierownictwo miałoby brać na swoje barki dodatkowe kłopoty? Innowacyjność muszą wymuszać mechanizmy ekonomiczne, konkurencyjność rynkowa. Choćby taka zasada, że gorszy przegrywa.

— Teraz — mimo reformy — jest tak, że można — i w wielu przypadkach z surowców importowanych produkować buble i mieć wysokie zyski, bo uzyskuje się to poprzez wysokie ceny. A przecież będą jeszcze wyższe.

— Zmiana struktury cen jest nieunikniona. Ale problem polega na czymś innym. Na przykład przyjęto, że tona węgla kosztuje 12 tysięcy złotych. Dlaczego? Czy przypadkiem przy dobrej organizacji pracy, przy lepszych warunkach wydobycia nie powinna kosztować 10 tysięcy złotych?

— I to zmusiłoby kopalnię do obniżenia kosztów?

— A właśnie. Ustalanie cen według kosztów niesie z sobą poważne niebezpieczeństwa. Dlatego, że w koszty wlicza się niedomagania przedsiębiorstw, złą organizację, bałagan. I my za to płacimy, albo poprzez ceny, albo poprzez dotacje. Czyli trzeba cenę opierać na poziomie produkcji, jaki być powinien. NOT proponuje, aby uruchomić takie mechanizmy ekonomiczne, które zastąpiłyby konkurencję rynkową przy niedostatecznej podaży towarów.

Na Zachodzie są różne formy własności i wszystkim zdarza się plajtować. Naszej działalności gospodarczej powinny przyświecać trzy cele: zysk, produkcja wysokiej jakości i możliwie niska cena.

A tak na marginesie, to chciałbym powiedzieć, że przed wojną powodem do dumy była praca inżyniera w państwowych zakładach, gdyż kojarzyło się to z wysoką techniką i produkcją dobrej jakości.

— Przypomniał mi pan, że pytałam o związek między dużą liczbą inżynierów i brakiem zainteresowania innowacyjnością.

— Już odpowiadam. Mam dane sprzed 7 lat. Otóż wówczas na 10 tysięcy zatrudnionych w Wielkiej Brytanii było 50 inżynierów, w USA — około 60, w RFN — około 50, a w Polsce — 200. Czy to znaczy, że my mamy gorszych inżynierów? Nie. Oni nie mają warunków do rozwijania swoich umiejętności. Można byłoby wymienić nazwiska kilku inżynierów, którzy emigrowali na Zachód i tam stworzyli całe dziedziny wytwórczości, jak choćby komputerów, magnetofonów.

— Gdzie zatem tkwi błąd?

— W tym, że kształcimy inżynierów na miarę ambicji regionalnych, branżowych, a nie potrzeb. We włókiennictwie staramy się postępować inaczej. Przed 25 laty stworzyliśmy prognozę potrzeb i kształcimy według niej. I tak na 10 tysięcy zatrudnionych mamy we włókiennictwie około 50 inżynierów. Nawet w Łodzi dla każdego inżyniera włókiennika znajdzie się odpowiednia posada.

— Ale mimo to przemysł ten nie należy do najnowocześniejszych.

— Myślę, że problem leży w czym innym. W podejściu do przemysłu włókienniczego jako całości. Proszę pamiętać, że polski przemysł włókienniczy, jeśli otrzyma surowce, jest w stanie już po 3 miesiącach dać gotowy produkt w wymaganej ilości, i dobry pod względem poziomu technicznego i jakościowo. Dowodem na to mogą być medale zdobywane na targach. W roku 1987 Targi Lipskie — na 5 medali 2 dla wyrobów włókienniczych. Na innych targach znów 2 medale i oba dla włókiennictwa.

Wiadomo, że nasz przemysł odstaje za przemysłem światowym. Nie chcę wypowiadać się o naszym samochodzie. Nie wszędzie go kupią, jeśli w ogóle kupią. A nasze płaszcze, ubrania możemy wystawiać w magazynach Nowego Jorku czy Paryża i nie ustępują produktom innych zagranicznych firm. Nie mamy się czego wstydzić.

Na przykład przemysł wełniarski niekiedy 40 procent swojej produkcji daje na eksport, co dowodzi, że produkcja tego przemysłu znajduje nabywców za granicami kraju. Inna sprawa, czy potrafimy należycie handlować. Mam co do tego poważne wątpliwości.

— Powiedział pan, że problem leży w podejściu do włókiennictwa. Jak to rozumieć?

— Ponieważ jestem włókiennikiem, mogę więc być posądzony o nadmierny subiektywizm, odwołam się zatem do statystyki. Największym eksporterem tekstyliów są Włochy, potem RFN i Japonia. Może to być zaskoczeniem. Nie są to bowiem kraje, które miałyby własne, naturalne surowce włókiennicze i tanią siłę roboczą. W czym więc rzecz? Otóż rzecz w tym, że te kraje rozwinęły włókiennictwo kompleksowo. Inne podejście. Inny punkt widzenia. We Włoszech, RFN i Japonii rozwijano jednocześnie: produkcję włókien chemicznych, barwników, produkcję maszyn i produkcję tekstyliów.

— A tego u nas nie ma.

— Niestety. Ale trzeba też na ten problem spojrzeć z innej strony. Załóżmy taką sytuację, że likwidujemy w PRL przemysł lekki. Co to znaczy? Znaczy to konieczność importu tekstyliów za sumę 7 lub 8 miliardów dolarów rocznie. Musi to być import ze strefy dolarowej, gdyż w strefie rublowej nie ma nadwyżek.

Teraz trzeba postawić pytanie: stać nas na to, czy nie?

— Odpowiedź jest chyba jasna: nie stać!

— Jeśli tak, to skończmy dyskutować o przyszłości włókiennictwa i zacznijmy je intensywnie rozwijać. Ale nie tylko produkcję tekstyliów. Trzy dziedziny wytwórczości jednocześnie: produkcję surowców włókienniczych, produkcję maszyn włókienniczych i produkcję tekstyliów.

Paryska wystawa ITMA '87 pokazała czym dziś jest maszyna włókiennicza. Dokonał się w tej dziedzinie ogromny postęp automatyzacji. Wzrósł koszt takiej maszyny. Produkcją maszyn włókienniczych zajmują się uznane w świecie firmy. Wbrew temu, co u nas się sądzi, w krajach wysoko rozwiniętych stawia się na włókiennictwo.

Tu mogę pani powiedzieć, że Stowarzyszenie Włókienników Polskich zaczęło zarabiać dewizy i w tym roku — po raz pierwszy — wysłaliśmy do Paryża na ITMA '87 dziesięciu specjalistów za nasze własne pieniądze. Trzech specjalistów — też za nasze pieniądze — wysłaliśmy do Chin.

Ale wracając do tematu. Kompleksowy rozwój włókiennictwa miałby ogromne znaczenie dla przyszłości Łodzi. Może zastosować interwencjonizm państwowy w stosunku do przemysłu maszyn włókienniczych?

— W Łodzi jest ten przemysł.

— Nie tylko o to chodzi. Łódź jest miastem niepowtarzalnym. Mamy tu zakłady przemysłu lekkiego, mamy akademickie szkolnictwo włókiennicze, mamy tradycje, mamy zaplecze naukowo-badawcze. Co prawda placówki naukowo-badawcze zajęły się ostatnio zarabianiem pieniędzy, co powoduje stratę ich potencjału naukowego. One powinny stanowić i odpowiadać za poziom techniczny swoich branż.

— A gdybyśmy w Łodzi zaczęli jeszcze rozwijać przemysł maszyn włókienniczych...

— To Łódź stałaby się centrum przemysłowym tworzącym nowoczesność, rozwijającym automatykę, produkcję komputerów i elektronikę. Byłby to silny czynnik rozwoju miasta i regionu.

Jestem przekonany, że to możliwe. Przecież stworzyliśmy własną koncepcję przędzenia bezwrzecionowego o światowym znaczeniu. Mieliśmy szansę przejęcia produkcji dla krajów RWPG krosien rapierowych i nie wykorzystaliśmy jej. Obecnie ZSRR kupił licencję na te maszyny ze Szwajcarii i wyprzedził nas. Straciliśmy szansę, a przecież mamy bardzo zdolnych konstruktorów, którzy byliby w stanie podołać zadaniu.

Nie wolno zapominać, że produkcją maszyn włókienniczych zajmują się potężne fabryki produkujące samoloty, jak Dornier w RFN czy elektrownie jądrowe i silniki okrętowe jak Sulzer w Szwajcarii. Tak jest również u Japończyków. To byłby silny czynnik modernizujący naszą gospodarkę, gdybyśmy solidniej zajęli się wytwarzaniem maszyn włókienniczych.

— Nie boi się pan monokultury technicznej dla Łodzi?

— Nie, bo to są pozory monokultury. Przede wszystkim dziś włókiennictwo na świecie, to nie tylko produkcja odzieży. To również produkcja wyrobów włókienniczych dla innych dziedzin techniki i gospodarki. W krajach wysoko uprzemysłowionych zajmuje to od 20 do 25 procent produkcji włókiennictwa. A zatem pewne zróżnicowanie i produkcja sprzyjająca rozwojowi innych dziedzin, jak choćby budownictwa, aparatury medycznej i tak dalej. Rozwój włókiennictwa to nowoczesność dla gospodarki.

Różne narody mają różne uzdolnienia. Na przykład produkcja precyzyjnych mechanizmów zegarków nie leży Amerykanom, a leży Szwajcarom. Nam leży włókiennictwo. Splata ono wątek humanistyczny z techniką i my to umiemy dobrze robić. Medale i nagrody są tego najlepszym dowodem. Trzeba to zatem rozwijać!

Łódź stoi przed następną wielką szansą, która złamałaby monokulturę produkcyjną. To przemysł budowy aparatury medycznej. Tu nie potrzeba wielkich zakładów. Przeciwnie — tu potrzeba małych wytwórni, bez szkodliwości dla środowiska, a jednocześnie sprzyjających postępowi technicznemu. No i mamy zaplecze naukowe dla takiego przemysłu: dwie akademie medyczne — wojskowa i cywilna, Politechnikę Łódzką i Uniwersytet Łódzki oraz całą sieć placówek naukowo-badawczych różnych przemysłów.

— Sądzi pan, że to się uda?

— Moim zdaniem, reforma uda się, jeśli pozyska się dla niej polskiego inżyniera i technika. Jeśli tego się nie uda osiągnąć, to nie ma co marzyć o powodzeniu reformy. Nie wystarczą same nawet najlepsze i najsprawniejsze mechanizmy ekonomiczne, jeśli nie pozyska się ludzi, którzy by je wcielali w życie, z żelazną konsekwencją i osobistą odpowiedzialnością.

— Czy mam rozumieć, że jest pan pesymistycznie nastawiony do reformy gospodarczej?

— Nie. Przeciwnie. Zmiany w sposobie pracy centrum upoważniają mnie do tego, aby sądzić, że centrum rozumie sytuację i jest zdeterminowane na tyle, że zaczęło od siebie. To dobry znak. Ale to początek. Teraz czas na następne działania.

Rozmawiała: BOGDA MADEJ

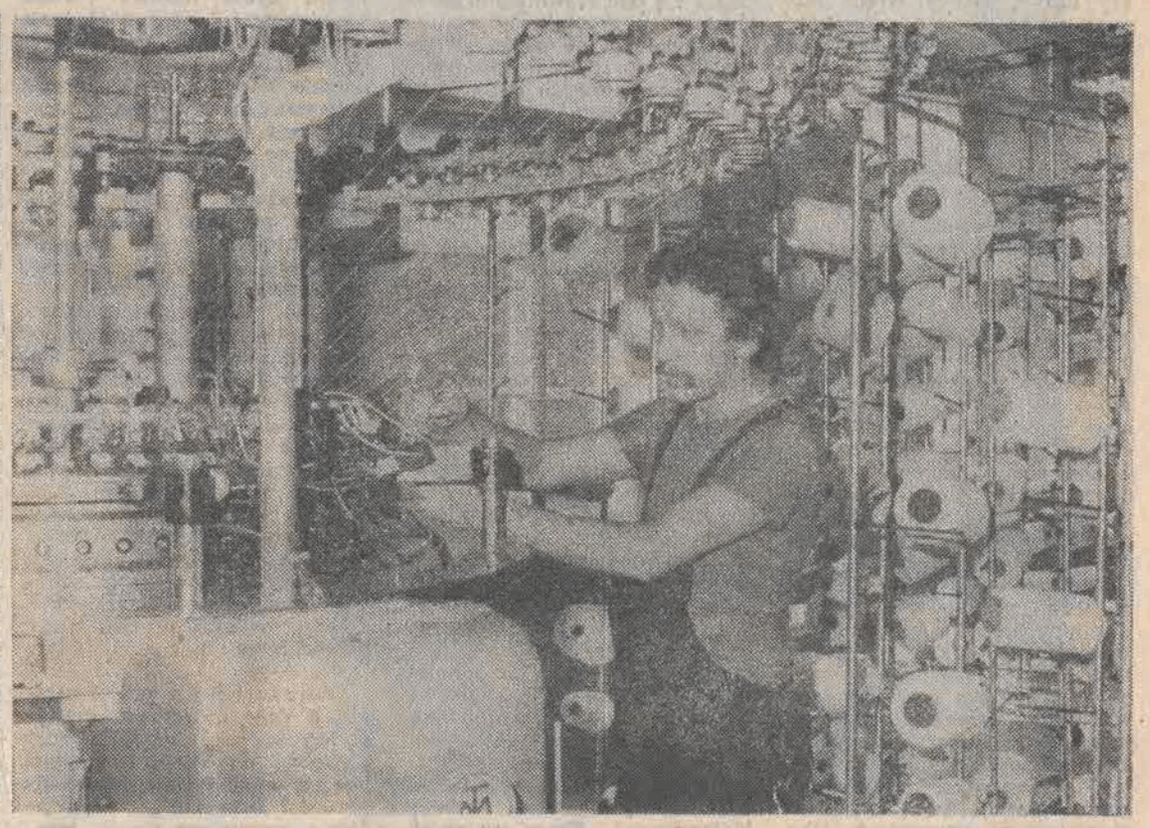

Foto: Grzegorz Gałasiński

Współczesne poglądy lekarzy i naukowców na przyczyny powstawania niektórych rodzajów chorób raka — między innymi białaczki. Czego trzeba się wystrzegać?

Pleśnie groźne dla ludzi i zwierząt

JULIAN ALEKSANDROWICZ

Wiedza o powstawaniu choroby nowotworowej, również typu białaczek, była do niedawna bardzo uboga. Jedynie jej skutki w postaci klinicznego zespołu są obecnie łatwiej dostrzegalne, a więc, niestety, w fazie gdy już lekarzowi pozostaje możliwość leczenia wyłącznie objawów.

Dziś wiemy, że predyspozycja rodzinno-dziedziczna ma w powstaniu choroby nowotworowej znacznie mniejsze znaczenie niż to dawniej jej przypisywano. W powstawaniu białaczek i zapewne też wielu innych chorób nowotworowych odgrywa rolę ogromna liczba czynników chorobotwórczych pochodzenia środowiskowego.

W leukozologii, a więc w nauce o białaczkach, przyjmuję hipotezę, że w każdym procesie chorobowym bierze udział wirus zbudowany z cząsteczki kwasu rybonukleinowego (RNA), określany jako Oncorna virus. Odgrywa on patognomoniczną rolę w wielu innych chorobach nowotworowych, w tym i raka sutka.

Nie zdołano dotychczas rozstrzygnąć, czy stwierdzona przez epidemiologów równoległość nasilenia obu tych chorób, tj. białaczek i raków sutka, jest sprawą przypadku, czy decydują tu podobne mechanizmy chorobotwórcze. Wiadomo natomiast, że białaczki ludzi i zwierząt, w których patogenezie towarzyszy Oncorna virus, wykazują podobieństwo epidemiologiczne. Zrozumiała byłaby wówczas równoległość częstości zachorowań ludzi i zwierząt.

Aby wirus RNA zdołał wniknąć w strukturę macierzystej komórki somatycznej krwi i wypaczyć prawidłowy klon komórek w nowotworowy, zapora immunologiczna musi ulec osłabieniu przez czynniki rakotwórcze. Dziś ujmuje się je w trzy grupy: fizyczne, chemiczne i biologiczne.

Ujęcie to jest jedynie umowne, gdyż nie można postawić ostrej granicy między tymi trzema grupami czynników. Mechanizm ich działania, określony jest zjawiskami fizycznymi, biologicznymi lub chemicznymi.

Zarówno rezerwuary wirusów rakotwórczych (chory człowiek, chore zwierzę, np. bydło i jego produkty itd.), jak rezerwuary czynników porażających układ immunologiczny oraz czynniki przeciwdziałające porażającym go mechanizmom mają środowiskowe pochodzenie.

W poglądzie tym do niedawna byłem osamotniony. Dopiero w jego słuszności utwierdzili mnie amerykańscy epidemiolodzy z Bethesda, jak Joseph Fraumeni, Robert W. Miller i inni, którzy reprezentują pogląd wieloczynnikowej etiologii białaczek i innych chorób nowotworowych. Czynniki nowotworotwórcze i przeciwnowotworowe przenikają do organizmu najczęściej poprzez przewód pokarmowy, rzadziej przez narząd oddechowy lub skórę.

Interakcje tych wielu czynników etiologicznych stwarzają warunki do zainicjowania procesu nowotworowego, który ujawnia się chorobą nowotworową po upływie dłuższego okresu, wynoszącego niekiedy nawet kilkanaście lat.

Oczywiście od zbiegu okoliczności zależy synergizm wielu czynników chorobotwórczych i tym samym dynamika choroby, dlatego właśnie nie wszyscy ludzie, którzy wręcz nurzają się w oceanie czynników nowotworotwórczych, zapadają na nowotwory. U jednych bowiem istnieje koncentracja wirusów, ale przy tym potencjał antyoksydacyjny — a więc poziom witaminy C, E, kobaltu (Co), selenu (SE) magnezu (Mg) oraz aktywność grasicy — jest wystarczająco silny, by przeciwdziałać wniknięciu wirusa do genetycznej struktury komórki. U innych natomiast, gdy obok wirusa istnieje ekspozycja na potężny immunosupresor jak np. promieniowanie jonizujące, porażenie immunologiczne przy niedowładzie potencjału antyoksydacyjnego wyzwala chorobę w klinicznym rozumieniu, o ile obecny wirus zdolny jest do wniknięcia w aparat genetyczny komórki i wywołania w nim zmiany kodu.

Wieloczynnikowa analiza bodźców etiologicznych jest dokonywana przez nasz zespół za pomocą Banku Czynników Zagrożenia Białaczka. Pozwala ona człowieka zagrożonego większym ryzykiem zachorowalności na białaczkę chronić albo w sposób czynny, nasycając go antyoksydantami, co zostało potwierdzone eksperymentalnie na zwierzętach, albo chronić go przed kontaktami choćby ze znanymi białaczkotwórczymi czynnikami, na które może być narażony w toku swej pracy zawodowej: chronimy szczególnie ludzi ze znamionami ryzyka zachorowalności przed kontaktem z benzenem, np. w fabrykach obuwia, przed promieniowaniem jonizującym i niejonizującym, np. w zakładach fizyki jądrowej i generatorów promieniowania niejonizującego, przed kontaktem z nowotworotwórczymi grzybami itd.

Celowe jest oczywiście wzbogacenie świadomości społeczeństwa o czynnikach porażających zaporę immunologiczną i czynnikach im przeciwdziałających. Nie mniej ważne jest uświadomienie lekarzom i nielekarzom, że jednym ze znanych rezerwuarów wirusów onkogennych są zarówno klinicznie chore na białaczkę zwierzęta, jak i nosiciele wirusów białaczkotwórczych, u których kliniczne przejawy choroby nie zdołały się jeszcze rozwinąć. Ustawiczna oświata zdrowotna w skali światowej jest przeto nie mniej ważna dla przetrwania ludzkości jak rozbrojenie militarne.

RODZINNE LUB GRUPOWE ZACHOROWANIA

Istnieje wiele epidemiologicznych dowodów przemawiających za równoczesnym zachorowaniem na chorobę nowotworową spokrewnionych z sobą ludzi. Dowodzić tego zdaje się również wiedza empiryczna. Wiedza naukowa natomiast przemawia za tym, że w środowisku zamieszkania istnieją czynniki, które mogą sprzyjać wniknięciu w komórki narządów organizmu wirusów nowotworowych. Rodziny przebywają zazwyczaj przez dłuższy lub krótszy okres we wspólnym mieszkaniu, są więc narażone na podobne czynniki białaczkotwórcze. Wspólne posiłki warunkują wprowadzenie do organizmu podobnych czynników decydujących o potencjale immunologicznym.

Wirus nowotworotwórczy zdaje się być czynnikiem decydującym o procesie nowotworowym. Jego biologiczne właściwości sprzyjają wniknięciu cząstki wirusowego DNA w układ genetyczny komórki somatycznej. Macierzyste komórki układu krwiotwórczego zmieniają właściwy ludzkiej krwince plan rozmnażania się. Potomstwo tak zmienionej krwinki leukocytu popada więc w fazę niejako demograficznego kryzysu. Nadmiernie rozmnażające się krwinki są nie tylko mniej wartościowe, ale niszczą tkanki niezbędne dla zdrowia, a więc zaburzają homeostazę organizmu.

Biologiczne właściwości nowotworotworzenia przez niektóre formy wirusów stwierdza się doświadczalnie w komórkach tkanek hodowanych poza ustrojem w warunkach laboratoryjnych albo przez obserwację zachowania się zwierząt doświadczalnych. Wirusy białaczkotwórcze stwierdza się za pomocą mikroskopu elektronowego i badań immunologicznych u ludzi klinicznie chorych i u ludzi klinicznie zdrowych, a więc i tych, którzy pozostawali w bliskim kontakcie ze zwierzętami z klinicznymi objawami choroby białaczkowej. Skoro stwierdza się nierzadko równoczesność zachorowania na białaczkę dziecka i ulubionego kotka czy pieska, skoro stwierdza się równoczesność zachorowań na białaczkę u ludzi hodujących chore bydło, nie można oprzeć się wrażeniu, że występuje tu wzajemne zakażenie, albo że na obydwa biologiczne gatunki — człowieka i zwierzę — oddziałują podobne etiologiczne czynniki.

Nasze badania prowadzone wspólnie z moim współpracownikiem, doc. dr Kazimierzem Janickim, dowiodły, że u ludzi zatrudnionych przy hodowli bydła i przy przetwórstwie produktów zwierzęcych, a więc u masarzy, garbarzy itd., białaczki limfatyczne występują częściej niż wśród ludzi innych zawodów. Nasuwa się więc refleksja o dużej wadze dla profilaktologa: zagrożeniem społecznego zdrowia jest nie tylko kontakt bezpośredni lub pośredni z chorym na nowotwór zwierzęciem i jego produktami, ale i zwierzę, choć klinicznie zdrowe, też może stanowić niebezpieczeństwo, będące rezerwuarem wirusów onkogennych. Nie może o nich wiedzieć ani hodowca, ani konsument, gdyż metody określające ten stan ukrytej infekcji wirusowej nie są dostatecznie znane, tym bardziej więc mogą być upowszechnione w zakładach masowego żywienia.

Metoda doc. dr Stanisława Grabca i autora, która przewiduje, aby każdy zwierzęcy produkt poddać sterylizacji, jest jeszcze w toku wdrożenia patentowego, które — jak wiadomo — jest procesem wieloletnim, a tymczasem... ludzie chorują.

Nie trzeba zbytnich ekonomicznych obliczeń, by dowieść, że tańsze jest urządzenie sterylizujące produkty zwierzęce przed ich konsumpcją niż masowa eradykacja (ubój) bydła chorego na białaczkę. Nie rozwiązuje to zresztą problemu, gdyż bezobjawowe postacie białaczek zwierząt, będących rezerwuarem wirusów białaczkowych, stanowią nadal niebezpieczeństwo zakażenia. Analiza sytuacji istniejącej w Danii i krytyczne spojrzenie, czy istotnie eradykacją zwalczano tam białaczkę wśród bydła, nasuwa wiele wątpliwości. Z pozycji jednak lekarza, którego zawodowym obowiązkiem jest troska o ludzkie zdrowie — wartość najwyższą, sprawy ekonomiczne winny pozostawać na uboczu, a co najwyżej w równowadze.

Rozważając problem wirusów w patologii chorób nowotworowych warto sięgnąć myślą wstecz, by przypomnieć, że kamieniami milowymi wytyczającymi kierunek badań nad onkogenezą wirusową są spostrzeżenia J. J. Bittnera, który w 1936 roku odkrył wirusa nowotworu sutka w populacji myszy i drogę przenoszenia go przez mleko matki. Również Ludwik Gross w 1951 roku odkrył wirusa białaczki mysiej, przenoszonego przez karmiące matki. Odkrył on ponadto wirus Polyoma, który wywołuje guzy przyusznicy również u białaczkowych myszy, otwierając tym nowe perspektywy poznania istoty tej choroby.

Wtórna choroba nowotworowa, a więc nowotwór występujący w toku leczenia innej choroby nowotworowej, jest konsekwencją zmniejszenia odporności organizmu, nieświadomie wyzwalaną przez terapeutę. W przypadku choroby nowotworowej wyzwolonej wirusem Polyoma istniała u myszy zmniejszona immunologiczna odporność spowodowana procesem białaczkowym. Proces ten — jak wiadomo — występuje u osobników z immunologicznym niedowładem.

Kolejnym kamieniem milowym było osiągnięcie Denisa Burkitta, który odkrył w organizmach ludzi chorych na chłoniaki szczególny typ wirusów. Choroba ta atakuje przede wszystkim młodych ludzi zamieszkujących ongiś malaryczne tereny afrykańskie. W chorobie nowotworowej, która nosi jego nazwisko, szczególne znaczenie ma wirus spotykany również w opryszczce oraz półpaścu.

RAKOTWÓRCZE WIRUSY

Wirusy poza komórką organizmu kręgowca przedstawiają się jako kryształy zbudowane z materii nieożywionego kwasu nukleinowego. Dopiero po wniknięciu do komórki gospodarza rozpadają się i fragmenty ich kwasu nukleinowego wiążą się z organellami komórki zmieniając tym samym ich metabolizm, a często nawet niszcząc je. Zniszczenie leukocytu jest sytuacją korzystniejszą dla organizmu kręgowca. Gdy tylko uszkadzają komórkę krwi, rozmnaża się ona w sposób nieskoordynowany, a więc nowotworowy.

Fakty te otwierają ogromne perspektywy, których skutków terapeutycznych i profilaktycznych nie można jeszcze przewidzieć. Cechą komórki zakażonej wirusem i przekształconej przez niego są zmiany w strukturze powierzchni błony komórkowej. Z błoną tą związany jest antygen T, dowodzący kontaktu komórki krwi z wirusem RNA, czyli wirusem Oncorna, do jakich należą wirusy białaczkotwórcze. Komórka uszkodzona przez wirus wykazuje zmiany w błonie komórkowej, które decydują o wybiórczym „transporcie" mikroelementów z osocza do jej wnętrza.

Stwierdzony przez nasz zespół za pomocą sondy rentgenowskiej zaskakujący fakt zwężenia w limfocycie białaczkowym zawartości magnezu (Mg), mimo, że wydawałoby się logiczne, iż powinno być go tam mniej, skoro dieta ubogomagnezową wyzwala się doświadczalne białaczki, kieruje naszą uwagę właśnie na błonę komórkową. Jej właściwości bioelektryczne oraz przestrzenne struktury cząsteczek para- i diamagnetycznych pozostają z sobą w określonych układach, których poznanie zbliży nas prawdopodobnie do istoty białaczek i ich profilaktyki.

Nic dziwnego, że wspomniane odkrycia, dowodzące szczególnie ważnego udziału wirusów w powstawaniu chorób nowotworowych skoncentrowały uwagę wielu wirusologicznych pracowni świata na tym problemie. Po szczegóły odsyłam zainteresowanych do świetnego opracownia popularnonaukowego prof. dr Zofii Porwit-Bóbr.

Wśród immunosupresorów, a więc czynników zaburzających sprawność naturalną zapory immunologicznej, stosunkowo najlepiej poznane zostały fizyczne i chemiczne właściwości immunosupresorów, a najmniej biologiczne. Należą do nich mykotoksyny. Są to produkty przemiany materii niektórych toksynotwórczych grzybów, zwanych pleśniami lub grzybami niedoskonałymi, czyli workowcami.

Patogenne działanie pleśni było znane już w odległej przeszłości, choć dopiero dziś zrozumieliśmy jego mechanizmy. W średniowieczu psychozy pochodzenia mykotoksycznego, w świetle dzisiejszych badań, to psychoepidemie „biczowników i tancerzy" wyzwolone działaniem matabolitu sporyszu (Claviceps purpura), który w tym okresie szczególnie rozplenił się skażając zboża środkowoeuropejskich pól. Dziś wiemy, że sporysz zawiera halucynogen, jakim jest kwas lizergenowy, popularny LSD, którym wyzwolić można schizofreniczną psychozę. Historia czarownic z Salem jest przykładem takiej mykotoksykozy pod postacią ergotyzmu.

Ten historyczny fakt znalazł potwierdzenie w masowych encefalopatiach wśród tajlandzkich dzieci, które wystąpiły u nich po spożyciu skażonego mykotoksynami pożywienia. Znane są również endemie anomalii psychicznych wyzwolonych mykotoksynami pochodzącymi z grzybów, dla których szczególnie korzystną pożywką są ziemniaki. Dla ekologów z kręgu psychiatrii szczególnie interesujące byłoby znalezienie korelacji między kulturą odżywiania określonej społeczności a liczbą narodzin osobników z rozszczepieniem kręgosłupa i bez mózgu. Jeśli bowiem istnieje przestrzeń geograficzna o znamiennie wysokim wskaźniku urodzin anacefalików, a więc noworodków bez mózgu, co jest wyrazem uszkodzenia płodu w łonie matki, to można z tego wnioskować, że pozostała populacja może przejawiać również anomalie struktury i funkcji mózgu. Istnieją obecnie kliniczne opisy encefalopatii mykotoksycznej, znanej jako choroba Reye'a, od nazwiska autora.

ŚMIERCIONOŚNA PLEŚŃ

Pierwszym, który zwrócił uwagę świata naukowego na wpływ mykotoksyn na układ krwiotwórczy, był asystent Katedry Botaniki Uniwersytetu Wileńskiego, dr Abraham Joffe. W czasie II wojny światowej znalazł się on wraz z uchodźcami w Kazachstanie. Panował tam głód. Ludność zagrożona śmiercią głodową wypiekała placki z ziarna, które przezimowało pod śniegiem.

W kilkanaście dni po ich spożyciu wybuchła wśród ludności kazachskiej, zwłaszcza wśród młodzieży, śmiertelna epidemia. Przejawiała się posocznicznymi gorączkami, owrzodzeniami na śluzówkach jamy ustnej i znacznym obniżeniem liczby granulocytów oraz płytek we krwi. Do zespołu chorobowego należała również skaza krwotoczna w postaci wybroczyn na śluzówkach i skórze. Choroba z reguły kończyła się śmiercią.

Ludność polska — jak wynikało z rozmów ze świadkami tego wydarzenia — wykazywała odporność na tę chorobę. Abraham Joffe stwierdził, że zapadli na nią wyłącznie ludzie, którzy odżywiali się pieczywem wypiekanym ze spleśniałego ziarna, skażonego grzybami z grupy Fusacia. Zwierzęta doświadczalne karmione ziarnem znalezionym w spiżarniach mieszkań zmarłych ludzi ginęły również wśród objawów podobnej do ludzkiej choroby krwi, przebiegającej z zanikiem szpiku. Abraham Joffe nazwał tę chorobę alimentarną toksyczną aleukią (ATA).

Przebieg choroby przypomniał łudząco wstępny okres ostrej białaczki. Gdyby powiodło się przedłużyć życie tym chorym, to być może zaobserwowano by przekształcenie układu krwiotwórczego z fazy aplastycznej w fazę nowotworowego rozrostu mieloblastów.

Fakt ten był bodźcem, który skłonił nas do badań nad grzybiczą etiologią białaczek oraz nowotworów. Według Joffego choroba ta — druga jej nazwa: angina posocznicza (Septic angina) — znana już była w XIX wieku we wschodnich połaciach Syberii i doczekała się bogatej literatury.

Świat lekarski nie przywiązywał jednak przez długie lata wiele uwagi do tych badań. Prawdą jest, że ich wyniki ukazywały się przede wszystkim w rozlicznych czasopismach mykologicznych, a sporadycznie tylko w czasopismach, którymi interesują się medycy, profilaktycy, onkolodzy itd. Właściwie więc o roli grzybów toksynotwórczych w karcinogenezie mówi się zaledwie od kilkunastu lat, kiedy to związano z sobą dwa fakty: sprowadzenie z Brazylii przez hodowców drobiu do Anglii makucha arachidowego i masowej śmierci drobiu, zwłaszcza indyków, kaczek, bażantów oraz trzody chlewnej i zwierząt hodowlanych.

Ogromne straty spowodowane padnięciem kilkuset tysięcy indyków zwróciły uwagę patologów, a chorobę nazwano „chorobą X indyków" (turkey disease X), podkreślając tym nieznajomość jej przyczyn. Badania brazylijskiej paszy, którą karmiono drób dowiodły, że zawiera ona potężny jad miąższu wątrobowego, który niekiedy wyzwala nawet charakterystyczną proliferację nowotworową śródbłonka przewodów żółciowych o typie nowotworowym. Na podstawie tego spostrzeżenia przyjęto, że orzechy arachidowe, pospolicie zwane fistaszkami, pozbawione skorupki lub z uszkodzoną skorupką, są najlepszą ze znanych dotąd pożywek dla wszędobylskiego kropidlaka żółtego. Jego metabolit, aflatoksyna, jest najpotężniejszym ze znanych dotąd czynników wyzwalających raka wątroby ptaków. Potem okazało się, że również u zwierząt i ludzi.

Przez wiele lat uważano, że wyłącznie orzechy arachidowe stanowią pożywkę dla Aspergillus flavus (kropidlak żółty). Okazało się jednak, że nie mniej często skażeniu ulegają nasiona bawełny, kakao, ziarno sezamowe, orzechy włoskie i laskowe, wyłuskane lub mające skorupkę, produkty spożywcze, zwłaszcza ziarno zbóż oraz białe wino, kiełbasa, szczególnie salami.

Niewątpliwie lista podatnych na skażenie produktów spożywczych jest otwarta. Poznanie ich, umiejętność ich konserwacji oraz neutralizacja aflatoksyn są podstawą racjonalnej profilaktyki chorób nowotworowych.

Mykotoksyny i mykotoksykozy znane były przede wszystkim rolnikom i hodowcom. Świat lekarski nie doceniał ich z braku wiedzy, dlatego głuchy był na wskazania Pasteura, który nawoływał do zwrócenia baczniejszej niż dotąd uwagi na przetrwalniki grzybów, które są wszechobecne i biorą udział, podobnie jak bakterie, w wielu biologicznych procesach. Również odkrywca penicyliny, Aleksander Fleming, przestrzegał przed metabolitami grzybów, które tak jak zabijają komórki bakterii, mogą też zabijać komórki organizmu ludzkiego.

Organizatorzy światowej służby zdrowia pozostawali na to głusi i żadnych nie wysnuwali stąd wniosków. Niewielu też zdaje sobie sprawę, że odkrycie rakotwórczych właściwości kilkudziesięciu już metabolitów grzybów, wyzwalających również nowotwory u ludzi, jak np. raka wątroby, żołądka, nerek, gruczołów ślinowych, jelita cienkiego i białaczki, otwiera nową epokę w onkologii i profilaktyce chorób nowotworowych.

(Fragment książki „Nie ma nieuleczalnie chorych". Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji).

Ciągle się zarzekają, że to ostatni raz i znów jadą handlować. I tak w kółko.

Skrzypek na dachu

JACEK MACIASZEK

Próba była skończona. Boguś schował skrzypce do futerału i nie czekając na nikogo wyszedł. Spieszył się. Złapał taksówkę. Wysiadł przed pracownią: *„Krawiectwo lekkie"* Po kilkunastu minutach wyszedł, torbę miał już cięższą o 6 płóciennych bluz. Bluzy w kolorze niebieskim, stalowym i seledynowym, z dużymi kolorowymi napisami w obcym języku.

Jeszcze Górniak. Po krótkich targach zegarek elektroniczny Montana (Made in Hong Kong) z sześcioma melodyjkami (koniecznie z melodyjkami!) powędrował do jego kieszeni. Kilka plastykowych toreb typu „Napoleon" po 250 złotych za sztukę. W hurcie...

— *U nas nie ma hurtu* — poinformował go straganiarz.

— *Co by pan mi jeszcze radził wziąć?*

— *A gdzie się pan wybiera?*

— *E, niedaleko... Do NRD.*

PRYWATNY HANDEL ZA GRANICĄ

nie jest sprawą bynajmniej prostą. Coraz mniej popularne są już Węgry.

— *W NRD handluje się zupełnie inaczej* — powiedział Boguś. — *Handel w tym kraju to sprawa dla bardziej zaawansowanych w przemytniczym rzemiośle. Laicy sądzą, że wystarczy jechać, sprzedać towar, kupić atrakcyjne artykuły i koniec. Są w błędzie.*

Koniecznych jest 6 operacji:

1. Zakup właściwego towaru. W nomenklaturze przemytniczej towar niechodliwy nazywa się „przeziębiony".

2. Przewiezienie towaru przez granicę, nie narażając się na nieprzyjemności i nie płacąc cła. Umiejętność pakowania towaru bardzo się przydaje.

3. Sprzedaż przewiezionego towaru tamtejszej klienteli.

4. Zakup towaru, za który w Polsce można uzyskać najlepszy przelicznik.

5. Przewóz towaru przez granicę.

6. Sprzedaż przywiezionych artykułów w kraju.

Najczęściej przywozi się dolary i marki zachodnie, bo z tym najmniej kłopotów.

POCIĄG DO BERLINA ODCHODZIŁ OKOŁO PÓŁNOCY

Boguś schował nuty, wziął dwie torby w ręce i zbiegł po schodach. Przypomniał sobie, gdzie co ma spakowane. To, co już na stałe i to do ewentualnego rozdania...

Pan Wacek zamknął swój prywatny sklep. Na drzwiach przykleił kartkę: *„Z powodu urlopu..."* Do Kutna odwiozła go żona polonezem.

Wojtek jeszcze tego dnia miał dyżur w pogotowiu. Jak zwykle przedwycieczkowe podniecenie nie pozwoliło mu się skupić na pacjentach. Bo taka wycieczka to wielka niewiadoma.

— *Czy jechaliśmy z „Almaturem", czy z „Juventurem", czy z „Gromadą", czy z „Orbisem", to nieistotne* — powiedział Boguś — *Dość, że do granicy poszły 4 butelki wódki.*

— *Nie można przekraczać granicy na trzeźwo* — zauważył ktoś — *to podejrzane. Taki celnik myśli sobie — o, ta osoba ma coś do ukrycia. Najlepiej schlać się do nieprzytomności. Wtedy jest ci obojętne, co dzieje się wokół. Na „haju" można dokonać różnych rzeczy.*

— *A swoją drogą* — dodał cierpiętniczym głosem pan Wacek — *taki handel mogłaby wziąć w swoje ręce jakaś państwowa centrala...*

Boguś na swoich skrzypcach wygrywa 18 tysięcy na miesiąc. Wojtek — młody lekarz — bierze dodatkowe dyżury w pogotowiu, żeby jakoś związać koniec z końcem. Pani Basia jest nauczycielką.

— *A ja tak* — tłumaczy się — *nie na handel. Wzięłam tylko parę drobiazgów.*

Po otwarciu toreb okazało się, że te parę drobiazgów to 10 bluz, 15 plastykowych toreb, kryształy.

Pan Wacek jest spokojny. Dla niego rentowność wycieczki nie jest sprawą życia i śmierci. Ale jak się okaże, właśnie on zarobi najwięcej.

Są oczywiście i „gąski". Gąski jadą kupić sobie buty.

— *Ciekawe, czy 200 marek wymiany starczy* — martwią się.

Gąski naprawdę nic nie wzięły na handel. Po półgodzinnych umizgach udaje się Bogusiowi przekonać je, żeby wzięły część jego towaru.

— *Ale będzie szampan, jak dojedziemy?*

Średnia wieku na tej młodzieżowej wycieczce sięga pod czterdziestkę. Pociąg pędzi, bo to naprawdę pospieszny. Języki się rozluźniają. Zaczynają się wspomnienia.

TA WYCIECZKA NIE POJEDZIE DALEJ

—powiedział celnik po sprawdzeniu kilku bagaży. Chwilę później wszyscy znaleźli się na peronie. Ktoś odczytał nazwę miejsca przymusowego postoju — Kunowice. Mieli dużo czasu. Następny pociąg w kierunku Berlina odchodził za kilka godzin.

— *Kiedy przyszedł na mnie czas* — wspomina Boguś — *podszedłem najprościej jak mogłem do celniczki. Mam tylko dwie bluzy, otworzyłem bagaż.*

— *A na sobie* — zaczęła grzebać mi koło szyi. — *Raz, dwa, trzy... No, no! To wszystko?*

— *Wie pani ranki są takie chłodne* — uśmiechnąłem się do niej.

Zaczęła się śmiać rozbrojona. Ale wpisała wszystko. Nadwyżki mieliśmy oddać do depozytu.

Siedzieli na schodach i pili wódkę zakupioną od taksówkarza. W ten, naprawdę zimny ranek, odzyskiwali dobre humory, tak brutalnie popsute przez celników. Podchodzili do Bogusia i prosili:

— *Oddaj coś, chociaż dwie. Będą żądać kwitów depozytowych.*

— *Nie oddam. Już wolę wrócić do domu. Zwiedzanie Berlina mnie nie bawi.*

— *Oddaj coś, chociaż dwie, cofną...*

— *Trudno* — powiedział znużonym głosem Boguś.

ALE POSZŁO JAK Z PŁATKA

Był zdziwiony, że tak dobrze. Kiedy przyszła jego kolej i okrutny celnik poprosił o kwit, odpowiedział bezczelnie:

— *Nie mam, żona wzięła moje rzeczy.*

Celnik popatrzył na listę graniczną, na której było zaznaczone, kto, ile i czego i... machnął ręką.

W pociągu, do którego weszli nowa grupa celników i znów to samo od początku. I znów ktoś liczył warstwy ubrania na ciele Bogdana. A on znów powtarzał, że ranki są takie chłodne.

— *Już nigdy, już nigdy w życiu tu nie przyjadę* — powtarzał sobie. Ale wiedział, że to nieprawda.

OTO PROGRAM WYCIECZKI

— powiedziała pilotka. Nikt jej nie słuchał. Starzy wyjadacze rozglądają się za piwem. Zaczyna się właściwy etap wycieczki.

Boguś spokojnie serwuje sobie setkę wódki. Teraz należy obmyślić właściwy plan działania. Są trzy możliwości: albo — knajpy zakłady fryzjerskie i małe sklepy (tzw. handel obnośny), albo straganiarstwo na ulicach miasta, w pasażach i parkach, co jest dość niebezpieczne. W ostateczności zostaną rosyjscy żołnierze i ich rodziny. Oni wszystko „łykną".

— *Tylko bajer* — powiedział pan Wacek — *bajer to jest to. Jak najwięcej napisów. Po angielsku: „Montana", „Adidas", „Marlboro". Metki zachodnie. Blacha wkomponowana w odzież. Dobrze, że torby są tak niewytrzymałe. Ciągle trzeba wozić nowe. Koniunktura na torby ciągle trwa. Ale szlagierem tegorocznego lata były bluzy i spodnie z pościelowego.*

Od rana zaczęło się dla Bogdana chodzenie. Chodził sam. Bolały go nogi. Trafić klienta na bluzy, tuż po wakacjach, to nieprosta sprawa. Utrzymanie ceny na przyzwoitym poziomie też nie jest łatwe, tysiące kolonistów, którzy odwiedzili tego lata żenująco obniżyły cenę. Po dwóch dniach towar jest jednak sprzedany.

Wieczorem spotykają się i wymieniają doświadczenia. Pan Wacek wrócił ze Straslundu. Sprzedał wszystko na ulicach miasta. Niebezpieczeństwo? Żadne. Co jakiś czas przechodzi milicjant, pewnie dla postrachu, wtedy wszyscy pakują towar i oddalają się, by po chwili wrócić.

Starsze panie nie mogą sprzedać swojego towaru. Co niektórzy litują się i „opylają" ich towar za odpowiednią prowizję.

KOLEJNA OPERACJA

Powiedzmy, że sprzedałeś cały swój towar i masz w kieszeni łącznie z wymianą, na przykład 1400 marek. Jeśli nie potrzebujesz nic do domu — cynamonu, pieprzu, żelatyny itd — zaczynają się nowe kłopoty. Przepić tego, choćbyś się nie wiem jak uparł, nie można. Marka, nawet ta wschodnia, ma swoją wartość. Jeżeli nie dostaniesz czekolady tej po 80 fenigów (bo tania i dobra), jeżeli nie masz zamówienia na buty, zabawki itp. masz naprawdę problem. Jeżeli ta impreza (zwana do dziś turystyczną) ma ci przynieść jakąś korzyść, musisz szybko myśleć... I działać. W końcu zostaje ostatnie wyjście — jeżeli nie spotkasz sympatycznych Niemców zza muru berlińskiego, którzy chętnie kupią od ciebie marki wschodnie (powiedzmy w stosunku 1:4), to zostaje ci szukać szczęścia u koników w kawiarni „Rendez-vous". Z wielkim bólem, bo przepłacasz, kupujesz od Arabów zachodnie marki: za 7 marek wschodnich jedna zachodnia. I kmiesz, na czym ten świat stoi.

NIKOGO NIE BRAKUJE?

Wycieczka się odlicza. Wycieczka wsiada do pociągu. Wycieczka rozkłada bagaże. Wycieczka jest zmęczona.

Bagaż na pierwszy rzut oka reprezentuje wartość kilkakrotnie większą niż mizerna wymiana. Rozdają towar. Boguś daje 50 szczoteczek do zębów studentowi. Student starszej pani 10 talii kart do brydża, starsza pani upycha karton czekolady...

Nastrój pogodny. Jest nadzieja, a nawet duża szansa, że w powrotnej drodze kontroli nie będzie. Tylko student siedzi smutny. Kiedy pociąg rusza, zaczyna swoją opowieść.

— *To niecodzienna historia. Jak pech, to pech. Ta wycieczka od początku była... Kiedy tak krążyłem po Alexanderplatz i straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek kupię te pieprzone marki i wszyscy obcokrajowcy na mój widok pouciekali, podszedłem do takich dwóch, którzy wyglądali na Polaków i zacząłem (bo byłem już pijany) kleić do nich po angielsku. Zwinęli mnie.*

— *Ci Polacy?*

— *Jacy Polacy! Okazało się, że to ichnia służba bezpieczeństwa. Najpierw w ich pakamerze na zapleczu domu towarowego, potem podróż służbową ładą do ich, jak myślę, urzędu. Nie mogłem się z nimi dogadać. Za kilka godzin odchodził nasz pociąg. Powtarzałem tylko — I need to polish embassy... I need to polish embassy. Naprawdę nie wiem, o co im chodziło. Po jakimś czasie, jak gdyby nic, wypuścili. Co to miało znaczyć?* — zastanawia się głośno.

— *Może teraz, przekraczając kolejny raz granicę, okaże się, że kolega jest na czarnej liście* — zauważył pan Wacek.

Ale po co się smucić po próżnicy. Na smutki co jest najlepsze? No co? Wszyscy wiedzą. Wyciągają butelki. Teraz picie jest przyjemniejsze, został ostatni etap. *„W enerde nie jest źle"* — rzuca ktoś hasło i kto wie, czy nie jest to kwintesencją tego tygodniowego pobytu.

— *Jednak to ciężka orka* — Wojtek ociera pot z czoła.

Celników nie widać. Granica umyka pod nogami. Już na polskiej stronie wpada konduktor i inkasuje mandat (2 tys. zł) za palenie papierosów w przedziale, ale to drobiazg.

NRD, po ostatnich restrykcjach na granicach naszych południowych sąsiadów, zaczyna od nowa funkcjonować. To już — wprawdzie nie eldorado jak przed kilkunastu laty, ale jeszcze...

Celnik: — *Zwłaszcza teraz, zaraz po wakacjach. Nie ma osoby, która by czegoś nie wiozła, która by nie starała się czegoś przemycić. Drobiazgowa kontrola, do jakiej jesteśmy zmuszeni przez te fakty, wyklucza możliwość przewozu artykułów przeznaczonych na handel w dużych ilościach. Turyści najczęściej tłumaczą, że to prezenty. Pozwalamy zachować, powiedzmy, po 2 bluzy, bo nie wykluczamy takiej możliwości, choć to nie norma... Reszta trafia do depozytu.*

Ostatnio, jakby starając się trochę wybielić naszych rodaków podkreśla się, że obywatele innych krajów postępują podobnie. Wymienia się na pierwszym miejscu Jugosłowian, potem Węgrów. Nie wiem, czy mamy powody do dumy, ale nasza wieloletnia działalność handlowa w Niemczech, nauczyła czegoś naszych partnerów. W ostatnie wakacje grupy młodych Niemców, którzy odwiedzili nasz kraj, czy to do pracy, czy stricte turystycznie, oferowały czekoladę na sprzedaż. Oczywiście, były to sporadyczne wypadki, ale one świadczą, że i tam coś się zmienia. Czy dożyjemy takich czasów kiedy młodzi Niemcy będą na polskich bazarach handlować czekoladą, pieprzem czy pomarańczami?

— *Chyba się na to nie poważą* — stwierdza krótko Bogdan. — *Mogą się zdeprawować, ale nie do takiego stopnia.*

— *Powiedz mi Bogdan, dlaczego to robisz?*

Uśmiecha się trochę smutno:

— *Bo nic innego nie potrafię. Nic innego, tak konkretnego...*

— *A skrzypce?*

— *Skrzypce...* — machnął ręką.

BYŁ RANEK

Bogdan podjechał taksówką do domu. Żony i dziecka nie było. Pewnie są u teściów. Bagaże rzucił w korytarzu. Czuł zmęczenie. Wibrujące zmęczenie w każdej części ciała. Otworzył piwo. Napił się. Już dosyć. Już dosyć tego będzie. I znów zaczął myśleć o pieniądzach, kolorowe banknoty, cyfry i liczby wirowały mu w głowie. I po raz pierwszy zaczął poważnie rozważać ostatnią propozycję z „Estrady": — trasę z pseudofolklorystyczną chałturą. Od strony finansowej oferta była nęcąca. Otworzył kolejne piwo. Potem ostrożnie ujął futerał... Wyjął skrzypce. Ręce mu drżały — za dużo tego chlania, za dużo... Przez betonowe ściany popłynęły takty ze „Skrzypka na dachu".

— *Gdybym był bogaczem, ja ba da ba ja ba da ba ja...*

„Telimena"

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Nie można podejmować nowej inicjatywy, a następnie krępować jej mnóstwem przepisów.

Ukręcony łeb „ptaszka"

WŁODZIMIERZ KUPISZ

Wzorcowe sklepy wymyślił ktoś, kto sądził, że pewne zachodnie wzory handlowe można, jak żywe, przeszczepić na polski grunt, a potem — już dla porządku założyć kaganiec swojskich przepisów, a tym samym skazać je na skutki organizacyjnego niedowładu. Inicjatywa sprzed 2 lat, obliczona była na tani efekt. Nie ma warunków do założenia sieci supermarketów typu „Central" czy „Uniwersal", więc stwórzmy ich namiastkę bez kosztownych inwestycji: powiększania powierzchni handlowej budowy hurtowni i organizowania własnego transportu. Pomysłodawca łudził się, że sama wiara uczyni cuda.

Sklepy wzorcowe to pojęcie zbyt pojemne,

ażeby poważyć się na omówienie ich blasków i cieni w zwięzły sposób. Za przedmiot oględzin wybrałem tylko wąski wycinek, aby móc „przejrzeć na oczy", ale przy tym nie być posądzonym o genaralizowanie problemu. Z rzucania monety wyszło, że pod lupę wziąłem supersamy osiedlowe **PSS „Społem" na Górnej, Widzewie i na Polesiu**. Po tym przyszło już tylko rozłożyć plan miasta, zamknąć oczy i wybrać ofiary do skontrolowania.

Obserwacje, zakupy, rozmowy, plotki zasłyszane w kolejkach po delikatesy, zmaterializowane pod postacią margaryny mlecznej i herbatników z cukrem, pozwoliły sformułować kilka wniosków, pretendujących do miana przynajmniej — paranaukowych.

W deklaracji ideowej sklepów wzorcowych napisali, że kierownicy posiadają swobodę w doborze personelu. Ta swoboda tymczasem polega na możliwości, co najwyżej, wylania z roboty ewidentnie niesolidnych pracowników i na wyrażeniu zgody na przyjęcie osoby, podesłanej przez kadrowców **PSS „Społem"**. Kierownik ma prawo powiesić sobie na szybie wywieszkę z wypisanymi marzeniami. Trudno inaczej nazwać te anonse, skoro nikt nie garnie się do handlu, bo to zawód nużący, nerwowy i marnie opłacany, nie lepiej bynajmniej aniżeli w oświacie, kulturze i ochronie zdrowia, grubo poniżej średniej krajowej w gospodarce uspołecznionej.

Wystarczy sypnąć liczbami z jednej tylko dzielnicy Polesie. **Deficyt rąk do pracy wynosi dla tutejszego oddziału spółdzielni** spożywców aż 200 par. Szkoły opuściło 60 absolwentów, z czego zaledwie paru podjęło pracę w firmie. Deficyt tak czy inaczej wpływa na obniżenie kryteriów formalno-„moralnych", stawianych kandydatom do pracy. Wszak wystarczy mieć ukończoną szkołę podstawową, żeby zdobyć w dowodzie pieczątkę o zatrudnieniu. Kobiety powinny dodatkowo ukończyć tylko kurs dla kasjerek. Przy bardzo wyśrubowanych limitach zatrudnienia, każda sprzedawczyni musi właściwie umieć obsługiwać kasę. A wiąże się to z bezpośrednią odpowiedzialnością materialną. Muszą więc na kursie posiąść to minimum wiedzy, aby za maszynami nie siedziały matołki o cielęcym spojrzeniu.

W tych warunkach zatrudnia się, kogo się da na cały etat, trzy czwarte, pół, a nawet ćwierć **W supersamie przy ul. J. Kusocińskiego 124** pracują na „połówkach" sprzątaczki-emerytki. Kobiety na urlopach wychowawczych, poszukujące źródeł zarobkowania, również są bardzo mile widziane.

Zaniżenie kryteriów w doborze personelu powoduje, iż hasło propagandowe sklepów wzorcowych o lepszej kulturze obsługi jest kolejną fikcją. Przyczyna nie tkwi tylko w tym, że Kowalska czy Papuzińska warkną na klientkę, bo są impulsywne z natury. Przede wszystkim przyczyną jest zmęczenie, wynikające ze słabego rozwoju sieci handlowej i skomasowania towarów w supersamach osiedlowych, zastępujących domy towarowe, posługując się rodzimą nomenklaturą.

W czasach dobrobytu na kredyt pracowałem jako prosty sprzedawca w **samie spożywczym** w „Uniwersalu". Pamiętam, że po **8 godzinach wypatrywania złodziejaszków**, noszenia i układania towarów, **stałem się na nogach**, choć do ułomków nie należę, **miałem mroczki przed oczami**, a widok paniusi przebierającej w pogniecionych ciutkę kostkach tak poszukiwanego naonczas masła „Eksportowego" — wywoływał u mnie łądzę mordu.

Dzisiaj widok wybrednych klientów stanowi powszechne zjawisko, bo artykuły żywnościowe, pomimo dotacji — są szalenie drogie i trzeba się długo namyślać, żeby za tysiąc złotych przynieść coś w siatce. Wybieranie wymaga czasu do zastanowienia, kolejki są takie same jak 2 i 8 lat temu. Każdy powód jest dobry, żeby pokłócić się w ogonku. Sprzedawczynie wysłuchują tego jazgotu przez 8 godzin, starają się wpływać na uspokojenie tych tam, za ladą i często też dają się ponieść emocjom. Oddzielny rozdział to oganianie się przed pijaczkami. Na monopolowym siłą rzeczy nabiera się złych manier. Nerwy się psuje, a gardło zrywa dosłownie za darmo. Sprzedaż jakichkolwiek alkoholi bowiem, nie ma żadnego wpływu na wysokość wynagrodzenia.

Dziury w zatrudnieniu łata się...

prowadzeniem praktyk uczniowskich. Trudno sobie wyobrazić osiedlowy „kombinat" zatrudniający 30—40 osób personelu bez kilku panieneczek z identyfikatorami uczniowskimi. Jest to poręczna i darmowa siła robocza przede wszystkim do rozładowywania ciężarówek, a czego przepisy wyraźnie zabraniają; do noszenia towaru, układania go, sprzątania, mycia etc. To, że uczą się pomagając jednocześnie handlowi to dobrze. Gorzej, gdy zachowują się jak te na stoisku warzywno-owocwym w supersamie przy **ul. Władysława Broniewskiego róg ul. Józefa I. Kraszewskiego.**

Owe podlotki stojące za ladą bez żadnej opieki merytorycznej, wysłane za zagrożone kolejkami odcinki, doskonale bawią się „w sklep": jedna drugą wypycha do obsługiwania opuszczonego stoiska, a te, nie uczestniczące w widowisku — zajmują się tymczasem flirtami. Ale nie samo ich niepoważne zachowanie kładzie się cieniem na opinii kierownictwa sklepu, skądinąd wzorcowego. Dopuszczenie uczennic do sprzedaży jest wykroczeniem znacznie poważniejszym.

Newralgicznym punktem działalności supersamu o statusie wzorcowego jest dostęp do środków transportu, bez którego w ogóle nie ma co gadać o samodzielności w dziedzinie zaopatrzenia. Idea sklepów mających realizować zasadę 3 „S" była pogrzebana już w tym momencie, kiedy wiadomo było, iż nie można przydzielić nawet największym placówkom po jednej furgonetce przynajmniej. O ciężarówkach nikt nawet nie marzył, aby nie być posądzonym o szwank na umyśle.

Stanęło więc na tym, że sklepy z „ptaszkiem" i bez — aby stało się zadość sprawiedliwości — korzystają jak dawniej z usług **wyspecjalizowanej firmy przewozowej PTHW.** Właściwie, jeśli ktoś jest bardzo wścibski i nie satysfakcjonuje go takie naświetlenie sprawy, to niech wie, że nawet w PTHW skromny transport jest eksploatowany non stop w ramach rutynowej działalności. A gdyby nawet przybyły nowe wozy — brakłoby ludzi do ich obsadzenia. Już teraz trzeba przecież gnać słabe kobiety do pomocy przy rozładunku, a co by było, gdyby cały interes stanął wreszcie na nogach?

Bezpośrednią konsekwencję braku samochodu na każde wezwanie, stanowi ograniczenie swobody w wyborze możliwości zaopatrzenia. Jeśli przed supersam przy ul. Maratońskiej 93 podjechała 8-tonowa ciężarówka z transportem toruńskich markiz i gumowych „misiaczków" dla dzieci, wiadomo że był to tylko jeden z punktów docelowych — ładunkiem tym uszczęśliwiono cały szereg sklepów. Gdyby kierownictwo zamierzało sprowadzić ćwierć tony pierników z tegoż samego Torunia tylko dla siebie i w wybranych gatunkach — trafi na przeszkody nie do pokonania.

A trzebaż sobie zdać sprawę, że zdecydowana większość towaru pochodzi jednak z firm uspołecznionych i to dużych. Szefowie zbytu nie są zainteresowani interesami na mikroskalę. Na szczęście jednak, część producentów dostarcza artykuły własnym transportem. Jednym z nich jest **Spółdzielnia Inwalidów „Rusałka"** branży cukierniczej. Także rzemieślnicy dostarczają sami własne wypieki, słodycze, galanterię z tworzyw sztucznych. Ba, nie trzeba nawet szukać z nimi kontaktów; sami oferują wyroby. Na każde żądanie telefoniczne kierują je tam, gdzie jest na nie popyt. Umowy z prywatnymi dostawcami stanowią wszędzie margines zawieranych transakcji.

W samie przy **ul. Przędzalnianej 124** mały wybór towarów tłumaczą tym, że poza kupnem owoców i warzyw na rynku, każdą inną transakcję wolnorynkową muszą konsultować z władzami spółdzielni na Widzewie. Nie świadczy to o jakichś monopolistycznych zakusach prezesa, ale chodzi bodaj o najbardziej racjonalne wykorzystanie owego trudno dostępnego transportu. Jest to postawa **„tyłem do klienta"** — lepiej czegoś nie zaoferować do sprzedaży niż być posądzonym przez kontrolę o wożenie powietrza i niegospodarność w ogóle.

Ten ostatni argument jest wygodnym wytłumaczeniem dla nieruchliwych sterników sklepów z „ptaszkami". Ale na 5 zbadanych obiektów — znalazł się wyjątek: **Zbigniew Lachowiecki**, prowadzący interes przy **ul. J. Kusocińskiego 124.** Dane charakterystyczne: 840 mln obrotów rocznie, 48 osób załogi na 44,5 etatach, płace wyższe co najmniej o jedną czwartą niż gdzie indziej. Dlatego nie ma żadnych vacatów. Przybytek ten zyskał u bywalców miano „Ameryki".

Kierownik Zbigniew Lachowiecki autentycznie jeździ po całym mieście, a nawet po odległych województwach w poszukiwaniu atrakcyjnych i potrzebnych towarów. Nie ma służbowego samochodu. Nie otrzymuje diet. Prezes przyznał mu tylko talony na 30 litrów benzyny miesięcznie. Dzięki temu są w wolnej sprzedaży wyroby czekoladopodobne z „Kielczanki" i „Bałtyku". Gdy pojechał na wczasy do Dziwnowa, posmakował tutejszych konserw, dogadał się z producentem i sprowadził po 10 tys. sztuk w każdym asortymencie. Oczywiście, nie mógłby sprzedać tego wszystkiego u siebie, więc uszczęśliwił niespodziewaną dostawą paru kolegów po fachu.

Tak robi zawsze, kiedy „skombinuje" czegoś za wiele na własne potrzeby. U niego herbatniki są w ciągłej sprzedaży, więc klienci przebierają. Otrębowymi herbatnikami, z trudem zdobywającymi drogę do naszych podniebień nawet w kryzysie, można na razie zadowolić inne sklepy, nie mające nic z tych rzeczy. Ażeby nikt nie pogniewał się na taką propozycję, obowiązkowo łączy towar kłopotliwy w szybkiej sprzedaży z poszukiwanym akurat przez klientów. Dewizą Z. Lachowieckiego jest powiedzenie: **„Każdy towar znajdzie swego amatora".**

Czasem znajomi popukają się w czoło na wieść, że zaopatruje przy okazji inne jednostki handlowe. Kontrolerzy są jeszcze mniej wyrozumiali — węszą oszustwo jakieś.

Wyjątkowość „Ameryki" nie została bynajmniej zapoczątkowana otrzymaniem statusu sklepu wzorcowego. Już od początku istnienia placówki kierownictwo miało błogosławieństwo prezesa **PSS „Społem"**, poparte stosownymi pełnomocnictwami — na zdobywanie towarów z ominięciem hurtowni. Dziś trzy czwarte artykułów, sprzedawanych w „Ameryce" pochodzi z wolnokonkurencyjnego „polowania".

Rzecznicy sklepów wzorcowych głosili hasła cudownego, biblijnego wręcz rozmnożenia dóbr

jako efektu wprowadzenia konkurencyjności poszczególnych wielkich samów, prześcigających się w założeniu w różnorodności i jakości oferty handlowej. Z. Lachowiecki dziwi się:

— Jaka konkurencja, kiedy brakuje towarów w hurtowni? Kiedy uśmiechnę się do dziewczyn, dostanę 400 kilo cytryn więcej niż mi się należy. Ale z tego powodu nie sprzeda ich ktoś inny.

W sytuacji, gdy w supersamie **przy ul. Maratońskiej 93 na 300—400** kilogramów zamówionych serów żółtych, **dostarczają 70 w 1—2 gatunkach zamiast w 5**, co wystarcza do następnego dnia akurat: kiedy w transporcie znajduje się 150 butelek oleju, którego nie wystarcza na potrzeby personelu, dżem jest rozchwytywany w każdych ilościach i odmianie smakowej, a margarynę najpodlejszego sortu można „przypolować" równie często jak wedlowskie kakao; nie mówiąc o prywatnym chlebie jaki sprowadza Z. Lachowiecki tylko na zachętę do porannych zakupów. bo rzemieślnik nie chce podpisać stałej umowy, ponieważ boi się niespodziewanej awarii samochodu lub czasowej niedyspozycji czeladnika — mówienie o atrakcyjności oferty zakrawa na kpinę z klienta, nie po raz pierwszy nabijanego już w butelkę.

Zwiedzone supersamy starają się równać do najlepszych chociaż w ten sposób, aby przez kilka godzin albo dni prowadzić sprzedaż 1—2 atrakcyjnych artykułów. W niebieskim „blaszaku" przy ul. Zarzewskiej jest często wybór przednich wyrobów garmażeryjnych prywatnej produkcji z szynkową drobiową na czele. Przy ul. Władysława Broniewskiego róg ul. Józefa I. Kraszewskiego szeroki wachlarz galanterii czekoladopodobnej rodem m.in. z „Rusałki" plus garmaż z uspołecznionych placówek, czyli wątróbka, „zemlone" oraz sery twarde w paru gatunkach. Dziury asortymentowe łata się szampanami, ginem, miodami pitnymi, nawet ławostołami — w październiku trafiły po 2 na sklep. Więcej nie można było, bo klienci porozbijaliby stoiska w wyścigu po to szczególne trofeum dla „myśliwych".

W wielu dziedzinach zaopatrzenia widać cofanie się do czasów największego kryzysu.

Ostatnim mitem sklepów wzorcowych był wymarzony wewnętrzny podział wynagrodzeń, a konkretnie prowizji, stanowiącej gdzieś koło połowy pensji. W rzeczywistości o wysokości wypłaty razem z premiami i dodatkami decyduje dyrekcja! Kierownik otrzymuje przykładowo od prezesa 35 tysięcy miesięcznie do podziału między 28 osób personelu i 12 dla kierownictwa, czyli 4 ludzi. Oddziaływanie takiej premii motywacyjnej jest żadne. W sytuacji permanentnych trudności kadrowych odebranie takiej kwoty, aby dać komuś więcej, działa nie karząco, ale demobilizująco. Pensje w „Ameryce" są wyższe, bo podbijają je wpływy ze skupu butelek, które zresztą zawalają znaczną część magazynów i za doręczanie paczek mięsnych do domów. Do tego dochodzi 10 procent za znak jakości.

A co by było, gdyby sklepy wzorcowe rozwinęły się tak jak „kombinat" przy ul. Janusza Kusocińskiego 124? Otóż sceny, jakie można w nim zaobserwować, stałyby się charakterystyczne dla tych wszystkich wybijających się placówek: nie kończące się sznury ludzi przy stoiskach i ciężarówek na podjeździe do rozładowania — od świtu do nocy, pękające w szwach magazyny, personel znerwicowany z powodu tej przelewającej się ludzkiej masy, upowszechnienie „turystyki zaopatrzeniowej": z najodleglejszych zakątków dzielnicy, a kto wie czy nie miasta, skoro wątróbkę można zdobyć tylko na Górnej, koniak w Śródmieściu, a figi na Radogoszczu-Wschodzie.

ze str. 1

Teatr gorący

teatralne, to również dynamiczny sposób budowania każdego spektaklu. Metoda jest tak inna od zazwyczaj stosowanych, że warto się jej przyjrzeć. Czas próbowania — to okres około roku. Spotykają się raz, dwa razy w tygodniu. Pijąc herbatę lub piwo mówią o nowym spektaklu, tworząc go później wspólnie w długim cyklu prób scenicznych. Każdy ma swój udział w jego przyszłym kształcie. Gotowe przedstawienie właściwie nigdy nie jest firmą zamkniętą, a każde prezentowane jest publiczności 20-25 razy w roku. Przez dwa lata od premiery jest w dalszym ciągu „rzeźbione", poprawiane i przerabiane „w biegu", prawie na oczach publiczności, która chętnie przychodzi do Teatru, na ulicę 17 Stycznia 42. Najnowszy spektakl pt. „Wywiedzione z Hrabala", już po czterech pierwszych pokazach będzie miał zmienione zakończenie. Wpływ na to mają ostatnie gwałtowne zmiany na scenie politycznej kraju. Bo „Orfa" jest teatrem żywym, myślącym i gorącym. Rejestruje to, co dzieje się wokół niego, a że mówi zwykle o sprawach ważnych dla każdego z nas, nie może nie być barometrem nastrojów i na swój sposób kronikarzem — komentatorem — wydarzeń bieżących. Nie zawsze wprost, często poprzez poetycko-symboliczne transpozycje znaczeń i sensów. Trzeci rok trwania spektaklu — jest już rokiem spokojnym, ale prowadzi do znużenia i wzmaga ochotę zmierzenia się z nowym tematem, z nowymi zadaniami.

Nasze działania artystyczne zmierzają do kształtowania dynamicznej obecności społecznej. W płaszczyźnie estetycznej dążymy ku teatrowi nasyconemu emocją, teatrowi ostrego konturu i klarownej barwy — mówi Marian Glinkowski.

Osiągnięcie wyższych celów wymaga również pracy na poziomie pulpitu maszyny szyjącej kostiumy, rodzi się w stuku własnoręcznie zbijanych dekoracji. Sami aktorzy noszą te dekoracje, pakują do wyjazdów i rozkładają, słowem: budują spektakl dosłownie i w przenośni.

Czasami zapytują siebie, kim są, czy to, co robią, ma sens, czy ktoś ich potrzebuje. Bo święto zdarza się rzadko, a codzienność przynosi rozterki, zwątpienia i nerwową niepewność. Marian Glinkowski próbuje na to odpowiedzieć:

— Czy teatr amatorski to usurpacja niekompetentnych maniaków? Z pewnego punktu widzenia można to i tak nazwać. Czy w naszym przypadku chodzi tylko o zaspokojenie instynktu teatralnego? Nie. O co więc chodzi? Co usprawiedliwia niewątpliwą niekompetencję teatralną? Wierzymy, że usprawiedliwieniem tym jest potrzeba kształtowania żywej obecności we współczesnych sprawach wspólnego czasu.

Przedstawienie (mowa o „Kropce nad ypsylonem", ale słowa te można odnieść do innych propozycji teatru — przyp. MK) powstawało wolno i mozolnie. Emocje związane z jego realizacją wybuchały i gasły, ba — na długie tygodnie zanikały zupełnie. Odór kazeiny, nuda wieczorów nieporadnej dłubaniny krawieckiej, malarskiej czy ślusarskiej każą nam podejrzliwie traktować słodkie gawędzenia o ogromie radości tworzenia w teatrze amatorskim. Czy zatem owej radości nie ma? Jest — ale jak swojski bocian — pięknie szybuje nad zielonymi łąkami nadziei, a kiedy nadchodzi zima wątpliwości, odlatuje tam gdzie ciepło.

Teatr „Orfa" w ciągu 15 lat zrealizował 13 przedstawień (niektóre tytuły w dwóch wersjach), cztery monodramy i recitale, trzy bajki dla dzieci. Mała „Orfa" — teatr dziecięcy, istniejący od 1984 roku — dwa przedstawienia. Niektóre spektakle nagradzano na liczących się przeglądach i festiwalach. Np.: „Nadobnisie i koczkodany" Witkacego, otrzymały I nagrodę na Ogólnopolskim Przeglądzie Nauczycielskich Zespołów Artystycznych we Wrocławiu w 1974 r., „Wieczór Korczakowski" — nagrodę za reżyserię i muzykę w Stalowej Woli '78. „Wyrabianie istot" według „Ferdydurke" Witolda Gombrowicza, najdojrzalszy spektakl „Orfy", zdobył kilka laurów: I nagrodę ministra kultury i sztuki w ogólnopolskim Festiwalu Teatrów Amatorskich — OFTA '84 — w Stalowej Woli; nagrodę im. J. Żmudy za reżyserię i muzykę; nagrodę za reżyserię, aktorstwo i muzykę w „Barbórkowych Spotkaniach Teatralnych" 1985. Monodram „Destrukcyjny wpływ kobiet" („Zielona Gęś") Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego w wykonaniu Antoniego Spanowskiego uhonorowano I nagrodą OSATJA '83 w Zgorzelcu.

Trzeba tu dodać, że **Antoni Spanowski**, oprócz szczerozłotego talentu aktorskiego, jest również tzw. „złotą rączką" i potrafi właściwie wszystko. Bez niego „Orfa" nie byłaby, jaka jest.

Drugim filarem Teatru ogierskiego jest **Marek Siedlecki**, nauczyciel matematyki, aktor wspaniały. O nim pięknie i niebanalnie mówi **Marian Glinkowski:**

„Uwielbiany przez dzieci za kolorowe i radosne role w widowiskach dla najmłodszych, szeroko znany i szanowany w swoim mieście — tym, co robi realizuje antytezę szarej, anonimowej obecności społecznej. Współzałożyciel »Orfy« i współtwórca wszystkich jej sukcesów, posiadacz wielu nagród i wyróżnień jest jednym z niewielu właścicieli cierpliwego, uśmiechniętego uporu".

Surowi zazwyczaj i wymagający recenzenci nie szczędzą „Orfie" pochlebstw, a niekiedy wręcz entuzjazmu.

Marek Miller tak kończy wspomnianą publikację (Radar, 8/84), poświęconą „Orfie":

„Tu warto przychodzić. W życiu gdzie ciągle szybko, szybko tu można się zatrzymać na godzinę, uciszyć łomot serca, nabrać tlenu w płuca, uładzić się z samym sobą".

Polecamy czytelnikom ten sposób uciszania łomotu serca, a 15-letniej „Orfie" życzymy nabrania tlenu na przynajmniej drugie tyle lat pięknego szybowania nad zielonymi łąkami nadziei.

MAREK KOPROWSKI

Dramat w Piaskowicach. Sytuację zmienić może rzecznik praw obywatelskich.

Wydziedziczenie (2)

RYSZARD BINKOWSKI

Sceneria w sam raz do kręcenia filmu o sanacyjnej biedzie w przeludnionej wsi. Prymitywny, zaniedbany, zdewastowany skansen. Zmurszały płotek, a za nim sterty rupieci, osłonięte folią materiały budowlane, byle jak sklecone szopy ze świniami i drobiem, rumowisko starych mebli i sprzętów domowych. Przy budach psy na łańcuchach. Strzegą dobytku i wejścia na grządki z kwiatami i warzywami, żeby ich nie tratowało bydło Starczewskiego.

Na zarośniętym krzakami podwórzu zdewastowana stodoła, rozlatująca się komórka, obora przerobiona na mieszkanie, obornik i złe psy Starczewskiego, tak że strach wejść. A pośrodku tego skansenu sterczy komin drewnianego domku, z którego pozostała jedna izba i coś w rodzaju kuchni zamienionej na rupieciarnię, w której część ściany przegryzły gnojowica i świnie. Zamiast dachu położony na stropie eternit. Tę drugą część domu jakby oderwał buldożer, w słońcu łuszczy się wapno i farba na wyblakłej wewnętrznej ścianie.

Tego dzieła zniszczenia nie dokonała natura, lecz ludzie. Gniew, zawiść, **nieustępliwość**, nienawiść i chciwość. Przeoczenia i błędy administracji, korupcja, bezduszność, sucha i najprostsza interpretacja przepisów, wygodne zasłanianie się paragrafami prawa. A ileż przy tym spustoszenia w sercach, psychice ludzkiej, ileż zmarnowanego zdrowia i przetrwonionych pieniędzy...

Tego przedpołudnia, tuż przed wizytą reportera, obie strony wróciły z przesłuchania na milicji. Bo zięć dokonał zaboru węgla teściowej motywując to tym, że musi mieć jakąś rekompensatę za ogrzewanie, z którego babcia korzystała u niego w bloku.

Starczewski zajmuje spółdzielcze M-4, ale oprócz tego **ma na Chełmach w Zgierzu działkę z domem.** Coś takiego w jednym mieście jest niedopuszczalne. Babcia mówi, że dom nie mógł stać pusty, więc żeby było zgodnie z prawem, zięć pozrywał sufity i zdewastował dom, czyniąc go niemieszkalnym.

Cisza, którą mąci szczekanie psów. Wychudzone drżące dłonie wędrują do oczu. Łzy przeciekają przez palce, spływają bruzdami zmarszczek na trzęsący się z żalu podbródek. Płacze Smolarkowa, bo przed laty domagała się w Komisji Rozjemczej odebrania gospodarstwa synowi i przekazania go córce. Żaliła się, że synowa jest „trochę psychicznie chora", chce zagarnąć cały majątek, poza tym jest głucha, szarpie się z nią i dokucza, wyłącza jej światło, przez co wyginęły ogrzewane żarówką pisklęta. Jedną kurkę jej zatłukła, drugą otruła, co stwierdził lekarz, a syn też nie daje jej żyć, szarpie się o byle deskę, zamyka stodołę na kłódkę i niszczy słomę dla krowy...

Babcia wolałaby nie zaglądać do tego białego kajeciku z zielonym napisem „Komorne". No bo jak Smolarkowie na powrót wprowadzili się do rodzinnego obejścia, to musieli płacić nowemu właścicielowi ze Zgierza, mieszkającemu w bloku, czynsz za zajęte rudery. W lipcu 1985 r. 5 tys. zł zaległości, potem aż do lutego 1987 r. po 750 zł miesięcznie, na co są odcinki przekazów pocztowych.

A do tego czasu działy się przedziwne rzeczy. W 1980 r. zawalił się częściowo budynek mieszkalny i matka zamieszkała w murowanym budynku, który pierwotnie miał być gospodarczym, a Marian wyprowadził się na jakiś czas do sąsiadów. Zięć nie remontował, bo ponoć nie był pewny swego, a pieniądze stracił na procesowanie się.

Czemu jednak stara Smolarkowa poszła w tym czasie do zięcia w Zgierzu? Ano bo, mówi przez łzy babcia, Starczewski obiecywał złote góry za ten zapis. Wozili mnie, mówi, na obiady do Zgierza, częstowali alkoholem i dawali leki uspokajające. No i po tym wszystkim czułam się dziwnie i zrobiłam ten zapis...

A **Marian Smolarek** mówi, że szwagier odciął prąd, bo budynek zagrożony, ale babka mogła w tym zagrożeniu mieszkać. Trzeba było zapłacić 10 tys. za podłączenie, wyremontować jedyną ocalałą izbę i wprowadzić się. Starczewski zaczął robić dziury w kominie, żeby się nie paliło, i obiecał rozwalić cały komin. Do trzymającej się jako tako drugiej izby w domku wprowadził bydło i świnie. Gnojowica spływała do izby, gdzie mieszkał Marian, podłoga gniła, nie było czym oddychać. Przyjechali z łódzkiego Sanepidu, poszli prosto do sąsiada, zaprosili tam Starczewskiego i pogadali. I dopiero po dłuższym czasie przyszło pismo, że Państwowy Wojewódzki Inspektorat Sanitarny jest upoważniony wejść do mieszkań jedynie w przypadku stwierdzenia lub podejrzenia choroby zakaźnej, a wizja lokalna nie stwierdziła zagrożenia środowiska i okolicznych mieszkańców.

Marian Smolarek po zawale, jego żona z I grupą inwalidztwa (znaczna głuchota i astma sercowa), mogli więc żyć w smrodzie. Na szczęście komisarz w randze majora wyprowadził z domu zwierzęta, tylko, że ta część, gdzie je trzymano, zaraz się zawaliła. Szkoda, że komisarz nie załatwił tej sprawy do końca, bo w stanie wojennym mógł tego dokonać, miał wszelkie uprawnienia. I dlatego m.in. babcia do dziś płacze.

— Jeść mi dawali osobno — opowiada przez łzy — palili światło i świecili bateryjkę, żebym nie mogła spać. A raz przy jedzeniu zięć rzucił łyżkę, wylał zupę, wyprowadził mnie na korytarz, bił pięściami po głowie, szarpał za odzież, kopał po nogach. Sięgnął też po nóż, ale potem powiedział, że chciał mi go podać, żebym go dziabia...

Był proces o pobicie i doszło do pojednania. Ale babcia już nie mieszkała w Zgierzu. Wystąpiła do Sądu Rejonowego przeciwko zięciowi o rozwiązanie umowy na dożywocie, motywując to tym, że Starczewski źle uprawia ziemię, nie chce jej utrzymywać i dąży do sprzedania gospodarstwa, licząc na jej rychłą śmierć. **6 kwietnia 1982 r. Sąd Rejonowy w Zgierzu** uznał, że to, co podaje babcia, jest niezgodne z faktami, gdyż kieruje nią tylko chęć odebrania gospodarstwa zięciowi i przekazania synowi. **11 listopada 1982 roku Sąd Wojewódzki w Łodzi oddalił rewizję Marianny Smolarek.**

A babcia mówi dziś, że gdy przeniosła się do córki, zachorowała i poszła do szpitala, to po powrocie nie mogła wejść do swej izdebki przy oborze, bo zięć zmienił zamki, a ona miała tam meble, w szafie odzież i bieliznę, nie wietrzone od roku... I znowu płacze... Dałam córce całe gospodarstwo — powiada — skrzywdziłam syna, gdy idę do niego, przyjmuje jak matkę, ale wypomina, że nic nie dostał, i że teraz mam córkę od opieki. Z córką też się dwa razy poszarpałam, ale ona by przyjechała, tylko boi się męża...

Gdziekolwiek **Marian Smolarek** zwrócił się ze swoją sprawą, odpowiadano, że załatwi ją **naczelnik gminy w Aleksandrowie.** Ale naczelnik nie załatwił.

Eugenia Smolarek, lat 61, szczupła, schludna, z tą swoją drobną twarzą o gładkiej bladej cerze nie wygląda na okropną, krwiożerczą synową. Tyle, że mówi zbyt głośno z powodu głuchoty. Mówi, że Starczewski groził, iż strąci ze słupa, jakby chcieli zakładać światło. Zapaskudził studnię gnojówką i mlekiem, jest wodociąg, ale im nie wolno korzystać. Ustępu nie ma, kupy walił pod oknami, dobrze, że myśmy postawili wychodek od frontu. A taki z niego hodowca, że kupi coś na jarmarku i odda do skupu, że to niby hoduje. A takiego wielkiego byka z kółkiem w nosie to trzyma na postrach. Przeciągnął światło do stodoły, gotuje na maszynce, tylko patrzeć pożaru. Ludzie mówią, że za te procesy to on by postawił piętrowy dom. A Starczewski na to, że pół majątku straci, ale pół będzie miał, a Marianowi nic nie da. Najmie ludzi i rozbierze budynki, żeby jeszcze Marian za to płacił. Niech no tylko babcia umrze, to się wszystko rozwali, Smolarków wywiezie na taczkach i sprzeda to gospodarstwo. A co z babcią? Trzeba ją umyć, uczesać, ubrać, jeść podać. Dobrze, że dostawała pomoc z opieki społecznej w Aleksandrowie...

Obiektywnie rzecz biorąc, pomijając negatywne aspekty prawne, społeczne, moralne — córka, **Bolesława Starczewska**, także ma prawo do ojcowizny. Tylko że do tego trzeba dobrej woli i dobrej atmosfery, z uwzględnieniem prawa pierwszeństwa do gospodarstwa **Mariana Smolarka.**

Jan Starczewski też nie jest najlepszego zdrowia, życie go przytłoczyło, zgarbiło, z trudem dziś ciągnie cielaka na łąkę. Jest nerwowy, mówi głośno, co staruszce może się wydawać opryskliwym, niegrzecznym. Ale bywało tak, że córka przywiozła matce żywność, a gdy on zjawił się w Piaskowicach, teściowa gotowała mu posiłki i razem jedli. Starczewski oświadcza, że pragnie, by matka była u nich, ale ona przyzwyczaiła się do życia na wsi i lepiej się tam czuje. No i co rusz wszczynała awantury, żeby Starczewski spłacił Mariana. On by zabrał starą do siebie, ale ona nie wiadomo czego się boi...

Sąd Rejonowy w Zgierzu rozpatrując ponownie sprawę wziął pod uwagę wszystkie jej aspekty. W uzasadnieniu wyroku z 13.IX.83 r. sąd stwierdził, że **Starczewscy nigdy nie mieszkali w gospodarstwie, a w Zgierzu posiadają nieruchomość rolną, gdzie prowadzą hodowlę,** jednakże kolejna zmiana właściciela wpłynęłaby ujemnie na rozwój gospodarstwa w Piaskowicach.

Świadkowie Krupiński, Bogdanowicz, rada sołecka, Henryk Grobelski, wiceprezes MGK ZSL, zeznawali, że Starczewski dewastuje budynki i tak obrabia ziemię, że nasiona chwastów z jego działki rozsiewają się po polach sąsiadów.

Sąd przyznał, że Starczewscy przestali płacić po 1000 zł dożywocia miesięcznie, ale awantury wynikały z tego powodu, że Smolarkowa żądała spłaty dla syna. W złości zaczęła szarpać zięcia i uderzać kijem po plecach, czyli, że to ona go pobiła, choć miała ponad osiemdziesiąt lat.

15.XI.1982 r. lekarz med. Jaremi Pawlak z Zakładu Medycyny Sądowej wydał obdukcję, w której stwierdził, że obrażenia doznane przez Mariannę Smolarek mogły powstać na skutek pobicia jej przez zięcia.

Sąd stwierdził, że Smolarkowa używa sztuczek aktorskich, aby okazać swe przywiązanie do syna i synowej. Ma przytępiony słuch, ale gdy zięć zeznaje, krzyczy, że on kłamie, lecz nie potrafi powtórzyć, co mówił zięć.

Babcia ma niezły słuch, natomiast głucha jest jej synowa Eugenia.

Sąd uznał, że na osłabienie więzi uczuciowej ma wpływ rozterka „starej kobiety", która chciałaby w równej mierze obdarować dzieci, i nie dopuścić do unieważnienia zapisu majątku na rzecz Starczewskich.

Wobec tego Jan Starczewski zrobił sobie w stodole oborę, kupił 3 krowy i cztery cielaki i zaczął wyrzucać obornik pod okna budynku przerobionego na mieszkanie. Wykopał bruzdę, którą płynie gnojowica, wszędzie smród, muchy, robactwo i — jak mówi Smolarek — gdzie nie stąpnie, to wdepnie w gówno.

Smolarkowie znaleźli się w uratowanej części domu. Starczewski wystąpił do sądu o eksmisję. Smolarek został zobowiązany do rozbiórki szop i wyniesienia się z obejścia, a o nakłady włożone w budowę, w remonty, w kładzenie fundamentów pod komórki i cementowanie piwnic może skarżyć Starczewskiego.

Do eksmisji nie doszło, bo nie było mieszkania zastępczego.

Babcia Smolarkowa miesza łyżeczką herbatę, błądzi szklistym wzrokiem po uszczelnionych ścianach, suficie, załatanej, podgniłej podłodze. Przez oszklone drzwi z zalepioną papierem pękniętą szybką wlewa się słońce, rozniecając błyski w załzawionych wyblakłych oczach. Babcia mówi, że wydziedziczeni opiekują się nią od czterech lat, choć nie mają obowiązku, a zięć zniszczył nawet tę izdebkę przy oborze, chciałaby więc, żeby syn to odbudował. A wnuk, syn Mariana, co jest tutaj zameldowany, poszedł do fabryki, ożenił się i teraz jest taki rozbity, bo nie mają gdzie z żoną mieszkać. Wnuk, mówi babcia, lubił pracę w gospodarstwie, chciałabym, żeby tu wrócił, żeby zbudowali dom, żeby była zgoda i żebym mogła spokojnie umrzeć...

Według fachowego określenia — „wzruszyć" ten wyrok mógłby jeszcze pierwszy prezes Sądu Najwyższego. Ponadto Prokurator Generalny PRL może wystąpić do Ministerstwa Rolnictwa — Departament Gospodarki Ziemią — z wnioskiem o wznowienie postępowania. Sprawę przywrócenia Mariana Smolarka do praw właściciela gospodarstwa (za pośrednictwem matki, która tego pragnie) władny jest załatwić także rzecznik praw obywatelskich, który zacznie chyba funkcjonować od 1 stycznia 1988 r.

Ale wtedy Piaskowice znajdą się już w granicach miasta Zgierza. Znikną nie tylko resztki zaniedbanego skansenu, ale i mogąca rodzić ziemia. Rozprzeda się ją na działki lub zaleje betonem i asfaltem. A co się stanie z ludźmi, którzy spędzili na tej ziemi życie?

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Mówi: Tadeusz Błażejewski

— Kim się właściwie czujesz: pracownikiem naukowym Uniwersytetu Łódzkiego czy krytykiem literackim?

— Pół na pół.

— A która z tych połówek jest ci bliższa?

— Trudno orzec. Jedna warunkuje i wspiera drugą. Uprawianie krytyki literackiej pozwala być bliżej życia, dotykać niejako pulsującej tkanki literatury, czuć jej przyspieszony rytm, wyczuwać scherzenia.

— Czy też leczyć?

— Sądzę, że nie. Można co najwyżej postawić diagnozę. Ale w sytuacji, gdy w kraju brakuje podstawowych medykamentów...

— Nie dokończyłeś odpowiedzi dotyczącej pracy naukowej.

— Wymaga ona przede wszystkim spokoju, wytrwałości, ważnych kontaktów krajowych i zagranicznych, mądrej współpracy całych zespołów ludzi. Sądzę, że jest czymś trudniejszym niż uprawianie krytyki literackiej, z natury przecież okazjonalnej i pospiesznej.

— Mimo to wydałeś więcej książek poświęconych krytyce niźli sensu stricto naukowych.

— Tak się jakoś złożyło. Przecież do przygód mojego życia należy zaliczyć i czteroletnie kierowanie działem literatury pięknej w Wydawnictwie Łódzkim, prowadzenie działu krytyki literackiej w „Odgłosach" w gorącym czasie początku lat osiemdziesiątych i pracę w redakcji krakowskiego „Pisma literacko-artystycznego".

— Masz jednak większą popularność w środowiskach kultury jako krytyk, a ten fakt potwierdziłeś ostatnio wydając w łódzkim oddziale Krajowej Agencji Wydawniczej esej o młodej prozie pt. „Rysopis".

— Wydaje mi się to zrozumiałe. Po prostu publiczność literacka bardziej zaabsorbowana jest współczesnością literatury niż jej przeszłością. Ostatnio wiele osób — pisarzy, krytyków i czytelników — dyskutuje zawzięcie nad tym, co się dzieje w najnowszej polskiej prozie, tzn. wśród wstępującego pokolenia literackiego. Wtrąciłem więc swoje trzy grosze, chcąc przede wszystkim zjawisko to opisać i uporządkować. I tu w pewnym sensie pomocny okazuje się warsztat naukowy. Pozwala on bowiem zastąpić dystans czasowy nieodzowny przecież przy formułowaniu krytycznoliterackich opinii.

— Nie wszyscy jednakowoż przeczytają „Rysopis". Czy mógłbyś wobec tego podać „definicję w pigułce" dotyczącą współczesnej młodej prozy polskiej?

— Jest ona megafonem bezradności swojej epoki — jak przy innej okazji i w innym kontekście wyraziła się niemiecka pisarka Maria-Luise Kaschnitz.

— A może masz podobną „pigułkę" zawierającą sens krytyki artystycznej?

— Oczywiście. Krytyk to jednonogi teoretyk skoku w dal. Ale to nie ja wymyśliłem tylko Harold Pinter.

— Czym zajmuje się pracownik naukowy i krytyk w wolnym czasie?

— Przede wszystkim wychowywaniem syna Błażeja.

— I to wypełnia ci ten czas?

— W 99 procentach.

— A ten jeden procent?

— Pozostaje moją słodką tajemnicą.

— Skoro mówimy o słodyczach: co lubisz?

— Układać domowe jadłospisy, które z wiadomych względów i tak nie mogą doczekać się realizacji.

— Jesteś dobrym kucharzem?

— Nie, ale potrafię sprawdzić, czy ktoś inny nim jest.

— Twoje ulubione potrawy?

— To tak, jakbyś mnie pytał, czy wolę blondynki czy brunetki. A pamiętasz co śpiewał Kiepura...

— A napoje: które ze szlachetnych napojów są ci najbliższe?

— Kiedyś był to „Berliner Pilsner", bo przez trzy lata pracowałem na Uniwersytecie Humboldta w Berlinie. Ale łódzkie piwo trudno pokochać.

— Nie wspomnieliśmy o trunkach mocniejszych...

— Z tych najwyżej stawiam śliwowicę łącką pędzoną w okolicach Nowego Sącza i sprzedawaną kiedyś z domowej produkcji naklejkami zawierającymi trafną reklamę: „Daje zdrowie, krasi, lica nasza łącka śliwowica".

— Mówisz o czasie przeszłym, a ja pytam o dziś.

— Dziś najwyżej cenię wodę mineralną i to nie tylko ze względu na wysoką cenę innych napojów.

— O kobietach już wspomnieliśmy, pozostało jednak jeszcze kilka innych szlachetnych pasji. Jaki jest twój stosunek do malarstwa?

— To trudna sztuka.

— A muzyka?

— Jestem niemuzykalny.

— Czy ulegasz wobec tego narodowemu amokowi, jakim jest sport?

— W dużej mierze, ale bez przesady. Ciągle się zastanawiam, czym jest sport dzisiaj?

— Komu kibicujesz: Widzewowi czy ŁKS?

— Raczej Widzewowi.

— Czy sam uprawiałeś kiedyś sport?

— Tylko chałupniczo.

— Co to znaczy?

— To znaczy rozrywkowo.

— Może jesteś wobec tego kolekcjonerem?

— To zamierzchła przeszłość...

— Co uważasz zatem za najbardziej pasjonujące w życiu człowieka?

— Myślenie o przyszłości. To wprawdzie czysta metafizyka, ale w tym coś jest, że nigdy ludzkie przewidywania nie potrafią się spełnić.

— Nie w pełni się z tym zgadzam, gdyż zdarzało się, iż przewidywania się spełniały...

— To kwestia przypadku, obszaru zainteresowań, dziedziny życia. Uważam jednak, że istota przyszłości jest nie do przeniknięcia, jakkolwiek wiadomo, że stanowi ona wypadkową ścierania się dwóch sił: tego, co w człowieku niezmienne, z tym, co historycznie zmienne.

— Tak więc kończymy w nastroju filozoficznym...

— Z różnych znanych mi nastrojów nie jest to nastrój najgorszy.

— I ja tak sądzę. Dziękuję ci zatem za rozmowę.

Rozmawiał: EUGENIUSZ IWANICKI

Pod urokiem legendy

Od momentu upadku Napoleona toczy się — ze zmiennym szczęściem — pojedynek między jego apologetami i przeciwnikami, trwa swoisty spór między legendą napoleońską i legendą czarną. Losy Polski splotły się z wojnami napoleońskimi, nic tedy dziwnego, że legenda napoleońska trafiała i nadal trafia u nas na podatny grunt, stanowiąc niezmienną pożywkę literatury. Sam Napoleon doceniał propagandowy walor legendy i wpływał na jej utrwalanie. U schyłku zaś życia — sponiewierany przez los i zwycięzców, chory i złamany fizycznie, nie stracił przecież ducha. Właśnie wtedy, na wyspie Świętej Heleny opracował apologię swojej osoby. Do tych ostatnich lat życia człowieka, który wstrząsnął Europą, nawiązuje powieść **Juliusza Dankowskiego „Jeniec Europy"**.

Ścierają się w niej dwie siły: wciąż świadom swej nieprzeciętności dawny władca Europy oraz skrupulatny i niezbyt błyskotliwy wykonawca instrukcji rządu angielskiego, zmierzających do upodlenia byłego przeciwnika. Toczy się swoista gra: inteligencji i poczuciu godności Napoleona przeciwstawiona zostaje nieprzejednana postawa **Hudsona Lowe**, gubernatora wyspy. Zewnętrznie przejawia się to w taki sposób, że Napoleon usiłuje zachować monarszą dumę i wymaga przestrzegania obowiązującej ongiś na cesarskim dworze etykiety. Gubernator zaś wespół z podległymi mu ludźmi tytułuje go jedynie generałem Bonaparte, czym doprowadza byłego imperatora do białej gorączki. Toczy się więc przede wszystkim gra nerwów. Wyniosłości towarzyszy podstęp, upokorzenie poprzedza pogardę. Emocje służą tu nie tylko rekonstrukcji tzw. prawdy historycznej odnoszącej się do epoki stosunkowo odległej, ale także wydobyciu na jaw elementów współkształtujących dzieje naszego kontynentu. Chodzi nie tyle o same wydarzenia historyczne, co o ich skutki, o ich interpretację stosowną do prób zdyskontowania owych wydarzeń przez odmienne orientacje polityczne. Do kwestii zdecydowanie wykraczających poza epokę napoleońską należą w „Jeńcu Europy" problemy ustroju społecznego, władzy, demokracji, praworządności etc. Sens europejskich dziejów ujęty zostaje krótko: „Nie prawo gra tutaj rolę, lecz polityka, nie sprawiedliwość, lecz interes". Rozgrywające się na Wyspie Świętej Heleny wydarzenia, kopiujące w mikroskali schemat wypadków europejskich, potwierdzają tę tezę w całej rozciągłości.

Wrogie obozy szpiegują się wzajemnie. Im doskonalsza sieć agenturalna — tym większa gwarancja sukcesu. Obowiązuje niezmiennie w tym zakresie sprawdzona przez wieki zasada: „on przesyła raporty o innych, a ktoś spośród tych innych — o nim". Hudson Lowe jest zatem doskonale poinformowany o tym, co dzieje się w siedzibie Napoleona, ten zaś wie, co zamierza przedsięwziąć gubernator. Dwaj przeciwnicy zabawiają się na co dzień wysłuchiwaniem rozmaitych opinii o sobie. Studiują zwłaszcza zdania niepochlebne. W niepochlebnych opiniach ujawniać ma się bowiem niezafałszowana natura ludzka. I jedynie rozpanoszeniu się wszechwładnej konwencji przypisać trzeba okoliczność, iż „właśnie prawda najbardziej obraża".

Inna rzecz, że prawda zabrzmi niekiedy zabawnie, jak w przypadku zdziwienia pewnej damy, która dowiedziawszy się, iż wybitny znawca pisze książkę o owadach wykrzyknęła z emfazą:

— „O owadach? Nie może o czymś większym?

— Widocznie go na to nie stać, madame!"

Odniesienie tej anegdoty na przykład do kondycji naszej literackiej współczesności zabrzmi — jak mniemam — nie mniej zabawnie.

Powróćmy do legendy. Autor „Jeńca Europy" zdaje się być wyraźnie urzeczony. Dochowuje wierności realiom. Blask i cień wielkiego wodza i męża stanu interesuje go bardziej niźli możliwość wykorzystania analogii historycznej, by pomówić o problemach współczesnych. W „Jeńcu Europy" mit Napoleona żyje. Apologeci górą.

TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI

Juliusz Dankowski: „Jeniec Europy", Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1987, nakład 19 750 + 250 egz., str. 265, cena zł 350. —

Lubię teatr atrakcyjny...

Zwróciliśmy się do kierowników artystycznych scen łódzkich o informacje: czego miłośnicy teatru mogą się spodziewać w nowym sezonie? Oto co nam powiedział dyrektor naczelny i artystyczny Teatru Nowego, **Jerzy HUTEK**, który swoje obowiązki przejął na początku roku. Dodajmy, że łódzkiej publiczności teatralnej Jerzy Hutek dał się poznać znacznie wcześniej — z dokonań artystycznych w Teatrze im. Stefana Jaracza, a jeszcze wcześniej w Teatrze Studenckim „Cytryna", bowiem od tego teatru, poprzez pracę w radiu, studia reżyserskie w Krakowie wiodła jego droga powrotna do Łodzi, gdzie już zaznaczył swoją obecność bogatym dorobkiem.

„Teatru czasów Nerona i Seneki" **Edwarda Radzińskiego**, Rosjanina, który akcję utworu usytuował w... cyrku. Jest to dramatyczna (rozliczeniowa niejako) opowieść o Neronie-satrapie i miejscu filozofa w określonej rzeczywistości. Ten spektakl przygotowuje **Krzysztof Rościszewski**, którego pozyskano do współpracy.

Kolejną pozycją na małej scenie będzie rodzaj kolażu, na który złożą się teksty Gombrowicza. „Ja, Gombrowicz" — taki tytuł nosi widowisko — przygotowuje **Wojciech Szulczyński**. Natomiast rodzajem zdarzenia teatralnego można określić następną premierę, utwór **Jerzego Sitarza** pt. „Bonjour monsieur D." Obejmując kierownictwo Teatru Nowego z jego dwiema scenami, Jerzy Hutek nie zerwał, i nie zamierza zrywać, więzów (ani umów), łączących teatr z dotychczasową linią rozwojową. Przeciwnie, pragnie te więzy zacieśnić, wzbogacić o nowe treści. „Chcę robić teatr eklektyczny — wyznał. — Pozornie tylko niespójny, pozbawiony jednolitości, w gruncie rzeczy zwarty. Eklektyczny, gdy idzie o zainteresowania filozoficzne, natomiast od strony formalnej — teatr wyraźnych postaw, gdzie gra się esencję zdarzenia, a nie opis, odkrywa jego ciekawość. Po prostu: lubię teatr atrakcyjny. I różny repertuar, od „Skąpca" Moliera (wyreżyserowanego przez **Marię Kaniewską** na jubileusz 40-lecia pracy artystycznej **Ludwika Benoit**), po **„Czego nie widać" Michaela Frayna** (we własnej reżyserii), czy „Ścisły nadzór" **Jeana Geneta** (w reżyserii i scenografii **Krzysztofa Kelma**)."

Na Małej Sali prezentowany będzie nowy dramat. Będą to poszukiwania nowych relacji między aktorem a widzem. W aktualnym repertuarze znajduje się tu — poza „Ścisłym nadzorem" — utwór **Semena Złotnikowa** „Przyszedł mężczyzna do kobiety" (reż. **J. Bratkowski**), „Cmentarzysko samochodów" **Fernando Arrabala** (reż. **W. Laskowska**) i **Christophera Marlowe'a** „Doktor Faustus" (reż. **Zb. Mich**). Na najbliższe dni — 5 grudnia, na Małej Sali przewidziano premierę **Lucyna Mielczarkówna**, realizatorka tego widowiska, pragnie, poprzez plastykę i słowo, wprząc do odbioru podświadomość widza. Dyrektor Hutek zapowiada na ten sezon premierę „Szach-in-Szacha", według **Ryszarda Kapuścińskiego**, we własnej adaptacji i reżyserii.

Równie interesująco zapowiada się repertuar dużej sceny Teatru Nowego. Poza utworami znajdującymi się w repertuarze teatr przygotowuje się do bliskiej, wyznaczonej na 20 grudnia, premiery. Będzie nią „Próba", według **Tadeusza Siejaka**, którą przygotowuje Jerzy Hutek (patrz zdjęcie z prób do tego spektaklu). Utwór ten również można zaliczyć do tzw. nurtu rozliczeniowego, lecz już rodzimego. Ostro zarysowany problem współczesnego bohatera pozbawionego zarówno osobowości, jak i skrupułów, problem zawarty w wynaturzeniach, potraktowany w bardzo wyrazistych wymiarach. Jest to bulwersująca opowieść o młodym człowieku sprawującym władzę, skorym do brzydactw, podłości i niecnych czynów, a wszystko spointowane w kataklistycznym obrazie tragicznej groteski.

Podobnie interesująco zapowiada się „Horsztyński" w reżyserii **Włodzimierza Nurkowskiego**. W swoim wyrazie artystycznym przedstawienie różni się od klasycznego widzenia utworu. Twórca spektaklu zamierza bowiem ukazać bohaterów nie przy pomocy kostiumu, lecz po... gombrowiczowsku patrząc, acz nie nachalnie, podać treść utworu poprzez współczesne jego odczytanie.

Trudno powiedzieć, czy owocem wieloletniej współpracy z teatrem w Nowym Sadzie jest „Bałkański szpieg" **Dušana Kovačevića** znajdujący się w bieżącym repertuarze Teatru Nowego. Jednakże w tym sezonie będziemy mieli okazję poznać kolejny, interesujący utwór Jugosłowianina — **Lubomira Simovica** pt. „Wędrowny teatr Sopalovića", opowiadający o wędrownej trupie teatralnej czasu wojny. Z tej ciekawej opowieści rodzi się zasadnicze pytanie: czy w wojnę Muzy muszą milknąć? Utwór wzruszający i bardzo mądry. Spektakl reżyseruje **Krzysztof Rościszewski**.

Tyle zapowiedzi. Wypada jednak na koniec wspomnieć o edukacji teatralnej, jaką Teatr Nowy, poprzez Scenę Młodego Widza, prowadzi od lat. Widowiska prezentowane młodzieży szkolnej w ramach tego ambitnego przedsięwzięcia poświęcone są historii teatru i jego klasykom, a więc próbie znalezienia odpowiedzi na pytania (adresowane do młodego widza): co to jest dramat, a co komedia, co to są konwencje teatralne itd. Stąd w repertuarze, z cyklu „Od Dionizosa do współczesności", znalazł się spektakl pt. „Konwencje", podobnie jak inny, zatytułowany „Teatr Staropolski".

Przedstawienia na Scenie Młodego Widza prezentowane są systematycznie młodzieży z 60 łódzkich szkół. Zamierza się jednak poszerzyć krąg widzów o uczniów z 20 nowych szkół. Podobnie jak i repertuar, o tzw. normalne spektakle, tyle że adresowane do młodej widowni. Z myślą o niej znajdzie się w najbliższych planach widowisko poetycko-muzyczne, według tekstów Stanisława Grochowiaka.

Repertuar ambitny i równie ambitne zamierzenia. Czekamy więc na premiery.

MAREK BRUK

Foto: Grzegorz Gałasiński

ZAJĘCIE NA RESZTĘ ŻYCIA

Sławny amerykański humorysta, Mark Twain, wydał jedną ze swoich córek za Polaka, Kuryłowicza. Gdy obchodził siedemdziesiątą rocznicę swoich urodzin, oświadczył, że resztę swego życia pragnie spędzić w zupełnym spokoju.

— Pozostały czas — dodał — pragnę poświęcić wyuczeniu się poprawnego wymawiania nazwiska mojego zięcia.

Lamus humoru. Warszawa 1935

Bigos hultajski

Mieszanka firmowa literacko – obyczajowa

REJESTR GŁUPCÓW

Alfons, król neapolitański, miał przy dworze swoim błazna, który wszystkie głupstwa, które tylko dworacy jego popełniali, w swoich pugilaresach notował. Pewnego czasu chciał król czytać, co też tam napisanego było, i zdziwił się mocno, gdy na początku zaraz przed inszymi swoje postrzegł imię. Pewnemu albowiem Maurowi dał był dziesięć tysięcy talarów, ażeby jechał do Barbarii na skupowanie koni.

— Cóż to za głupstwo uczyniłem — spyta się go król — żeś mię w ten rejestr wpisał?

— Oto to, królu — odpowie błazen — że takiemu dowierzasz człeku, który ani czci, ani wiary nie ma.

— Kiedy on — rzecze król — powróci się z końmi — albo mi moje nazad przyniesie pieniądze, co ty na to rzeczesz?

— Natenczas — powie błazen — wymażę z moich pugilaresów WKMci imię, a jego na to miejsce włożę.

Anegdota powyższa, zapisana przez **Celestyna Adama Kaliszewskiego (Nomenclator czterech języków... Warszawa 1790)**, łączy się na gruncie polskim z osobą Stańczyka, który, podobnie jak ów błazen króla Alfonsa **(zob. K. Wł. Wójcicki, Obrazy starodawne. T. 1. Warszawa 1843)**, zapisał swego pana Zygmunta Augusta w rejestrze głupców, gdy ten wysłał spowiednika królowej Bony Lismanina za granicę dla sprowadzenia stamtąd ksiąg do królewskiej biblioteki. Wart był Maur Lismanina, gdyż obydwaj, jak to byśmy dziś powiedzieli, zdefraudowali pieniądze swych władców.

POMOC

— Janie! Co tam robisz?

— Pomagam Piotrowi.

— A Piotr co robi?

— Nic nie robi.

„Kurier Warszawski" 1847 nr 61

POPIS RETORYCZNY

Pewien kaznodzieja wyszedłszy na ambonę w dzień zaduszny, począł z całego gardła krzyczeć:

— Pali się! pali się!

Wszyscy w nogi, a tak gdy z kościoła uciekają:

— Stójcie! — zawołał — kiedy dom się pali, jak biegniecie ratować, a dusze palą się w czyśćcu, wy nie myślicie o podaniu im pomocy?

I powiedział kazanie bardzo rozczulające.

Sadok Barącz: Bajki, fraszki, podania, przysłowia i pieśni na Rusi. Lwów 1886.

LITWA

Litwin drugiemu w zwadzie „skurwysynu" mówił,
On mu odpowie: „Bracie, i tyś nie Radziwiłł".
Trzeci rzekł: „Nie wadźcie się o to ladajacy,
Nie mówmy sobie złych słów, wszyscyśmy jednacy".

Daniel Naborowski

Opracował: ANDRZEJ KEMPA

NOWE ATENY Andrzeja gruna

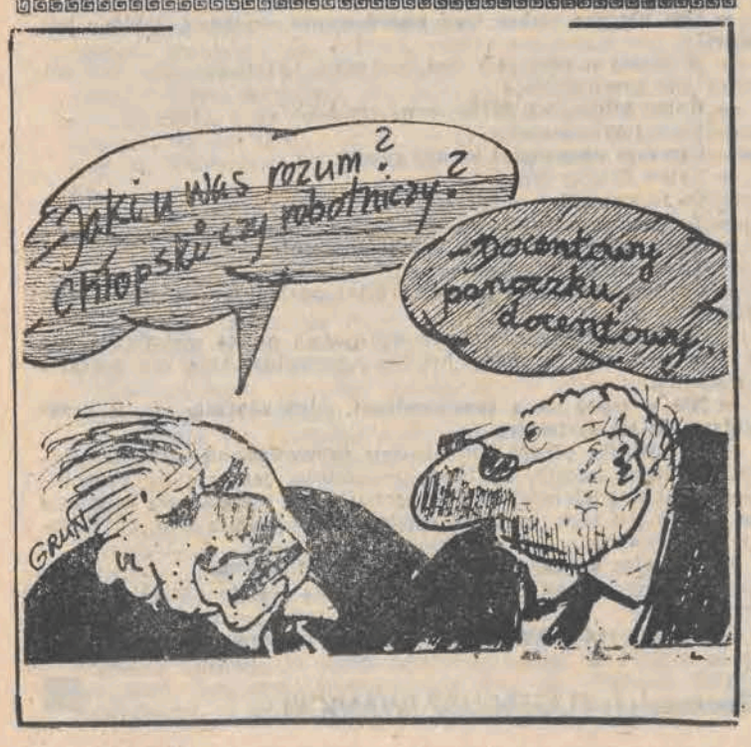

CZY TYLKO PIENIĄDZE?

Korzystne i zdrowe mechanizmy rynkowe, mające wyprowadzić naszą gospodarkę na czyste wody, spowodują, że wszelkie poczynania przeliczać będziemy na złotówki i złotówki regulować będą w znacznej mierze stosunki międzyludzkie. Rzecz jednak w tym, abyśmy — w pogoni za pieniądzem — nie zatracili z pola widzenia problemów nie zawsze dających się przeliczyć na pieniądze, problemów związanych z szeroko pojmowaną kulturą. A ile trzeba będzie zrobić, skoro już pierwszy etap reformy przyniósł tak niepokojące następstwa, jak to, że statystyczny Polak chodzi dziś do teatru raz na... 5 lat, a 55 proc. obywateli w ogóle nie kupuje książek (w grupie najniżej zarabiających aż 72 proc.!). Troska o problemy kultury, jako przeciwwagi dla „złotówkowych przeliczników", to troska o szeroko zakrojoną działalność kulturalną, która tym nowym więzom winna przydać wartości humanistyczne.

FLETNIA PANA

Od kilku lat grupa polskich specjalistów — archeologów, konserwatorów i astronomów współpracuje z włoską ekspedycją prowadzącą badania na płaskowyżu Nazca w Peru. Znajdują się tam gigantyczne rysunki zwierząt, roślin i figur geometrycznych, wyryte na powierzchni pustyni przed 2 tys. lat.

W czasie prac wykopaliskowych znaleziono szczątki tzw. fletni Pana, składające się z glinianych rurek związanych bądź sklejonych. Kościane lub gliniane fletnie, bardzo popularne w starożytnej Grecji, stały się symbolem greckiego bożka Pana — stąd ich nazwa. Rzeczą ciekawą jest to, że na ceramice z Nazca — której pobliskie ośrodki osadnicze spełniały w przeszłości rolę centrów ceremonialnych — spotyka się rysunki przedstawiające procesję a w nich muzykantów z fletniami Pana. Stąd wysnuto hipotezę, iż geometryczne figury wyryte na powierzchni pustyni (co do których wysuwano najdziwniejsze przypuszczenia), jak i znaki spełniały rolę dróg dla procesji w czasie obrzędów ludowych.

MIAŁABY 95 LAT

Marina Cwietajewa miałaby dziś 95 lat. Fakt ten znalazł swoje odbicie w radzieckiej prasie literackiej. Jej pierwszy zbiór wierszy, **„Wieczorny album"**, wydany w 1910 roku, (a więc przed ukończeniem przez Cwietajewa gimnazjum), spotkał się z bardzo pochlebną oceną krytyki. Potem wyszły dwa nowe zbiory: **„Latarnia czarnoksięska"** i **„Z dwóch książek"**. W 1922 roku Cwietajewa opuściła Związek Radziecki. Przebywała w Berlinie, Pradze i Paryżu. W 1939 r. powróciła do ZSRR, gdzie w dwa lata później — w związku z ciężkimi przeżyciami osobistymi — popełniła samobójstwo. Pozostawiła po sobie wybitny dorobek twórczy: wiersze, poematy, dramaty, tomy prozy wspomnieniowej i historyczno-literackiej, tłumaczony na wszystkie języki europejskie.

NASTĘPCA „PANORAMY PÓŁNOCY"?

Wydawnictwo **„Pojezierze"** wydało na swoje 30-lecie gazetę jednodniową — **„Panoramę Literacką"**, nawiązującą do rozwiązanej na początku lat osiemdziesiątych „Panoramy Północy" — ogólnopolskiego magazynu ilustrowanego, stworzonego i wydawanego również przez to wydawnictwo.

Z kraju i ze świata ◆ Z kraju i ze świata ◆ Z kraju i ze świata

W kolejce do piękna

Dar, którego się uczymy...

W sobotę (14 bm.), o godzinie 10.30, kolejka przed Muzeum Archidiecezjalnym w Warszawie (ul. Solec 61) liczyła 70 osób. Około 13 była kilkakrotnie liczniejsza. W dzień wolny od pracy i nerwowych zakupów, do kolejki przyszły dobrowolnie babcie z wnukami, ludzie w średnim wieku, młodzież szkolna i studenci. Warszawiacy i przybysze czekali cierpliwie na otwarcie muzeum (godz. 11), rozmawiali ze sobą, dzielili się posiadanymi informacjami. W razie potrzeby grzecznie acz stanowczo studzili zapały tych, którzy zamierzali skorzystać z bardzo ważnych legitymacji. Była to jedna z najpogodniejszych kolejek, jaką udało mi się widzieć w Polsce w ostatnich latach. Bardzo różna od tłumów przypadkowych turystów, gromadzących się przed znanymi galeriami sztuki...

W zimny dzień ludzie czekali na możliwość obcowania z dziełami sztuki, zgromadzonymi na wystawie zaiste niezwykłej — przez osoby ofiarodawców i przez wartość płócien, której dopiero się uczymy. Ofiarodawcy — przypomnijmy — to małżeństwo obywateli brytyjskich polskiego pochodzenia: **Janina i Zbigniew Karol Porczyńscy.** Ona, urodzona we Lwowie, wykształcona w Anglii, na studiach socjologicznych. On, warszawiak, inżynier chemik, żołnierz Września, więzień Pawiaka, Oświęcimia i Buchenwaldu. Los polski rzucił ich do Anglii, gdzie głównie dzięki wynalazkom i patentom pana Zbigniewa udało się zgromadzić znaczny nawet w tamtejszych warunkach majątek.

Ludzie różnie wydają swoje pieniądze. Państwo Porczyńscy przeznaczyli je na obrazy. Imponująca kolekcja 399 płócien, w większości oprawionych w rzeźbiarskie ramy z epoki, zgromadzona została w ciągu 6 lat. Obrazy kupowano w znanych firmach aukcyjnych — Sotheby, Christie i Philips — w Nowym Jorku, Londynie i Amsterdamie, od razu z zamiarem przekazania ich Polsce. Dla uczczenia pontyfikatu Jana Pawła II, którego imię nadano zbiorowi.

Kolekcjonowano go w porządku chronologicznym, wedle znanych europejskich szkół malarstwa — flandryjskiej, holenderskiej, włoskiej, hiszpańskiej, niemieckiej, francuskiej i angielskiej. Najstarszy obraz (bodaj jedyny) pochodzi z końca XIV wieku, najmłodsze z XX wieku.

Pięć grup tematycznych składa się na całość: **„Biblia i święci pańscy", „Mitologia i alegoria", „Portret", „Matka i dziecko" „Pejzaż i martwa natura".**

Polonica — **„Bitwa pod Wiedniem" Casteelsa, „Alegoria zwycięstwa Sobieskiego nad Turkami" de Wincka** i 2 portrety **Marii Leszczyńskiej Droulasa** — w porozumieniu z ofiarodawcami przeznaczono dla Zamku Królewskiego, pałacu w Wilanowie i Muzeum Narodowego w Warszawie.

Od piątku (6 bm.) Muzeum Archidiecezjalne prezentuje zbiór zatytułowany „Malarstwo europejskie od XV do XX wieku". Do końca grudnia eksponowana będzie I część zbioru, około 150 płócien późnego gotyku, renesansu, manieryzmu i wczesnego baroku. Potem będą 2 dalsze wystawy.

Spotkanie z pierwszą jest wielką ucztą duchową i wielkim, niezapomnianym przeżyciem. Dla większości Polaków także pierwszą w życiu możliwością obcowania z dziełami sztuki najwyższej światowej klasy. Przy każdym z płócien imienna informacja, jeśli mistrzowie są pewni, jak np. **Tycjan, Murillo, Van Dyck, Rembrandt** czy **Cranachowie.** Przy braku pewności zaznaczenie np. „ze szkoły Rubensa" lub „przypisane Rembrandtowi", gdy nie udało się dotąd zidentyfikować nazwiska malarza.

Bez cienia przesady można powiedzieć, że oglądającym zapiera dech. Jednych zatrzymują dłużej wspaniałe portrety i autoportrety, innych obrazy biblijne, jeszcze innych cieszą kwiaty. Piękno smakowane jest w ciszy dopuszczającej szept, a wykluczającej gwar, obecny np. w florenckich Uffiziach. Organizatorzy wpuszczają do salek małe grupki, ludzi jest wielu, a nie czuje się tłoku, mimo wyraźnej ciasnoty.

Obcowanie z pięknem zdaje się wyciszać, prowadzić zmęczonych ludzi w głąb siebie. Ale szybki haust piękna w wielkiej dawce ma to do siebie, że utrudnia pamięci trwałe przyswojenie poszczególnych płócien. Mimo to, z tej wystawy wychodzi się mając w sobie przynajmniej kilka obrazów. Każdy je niesie w pośpieszną codzienność nerwowej warszawskiej i polskiej ulicy. Doprawdy uczymy się dopiero tego daru, ciesząc się, że mamy go u sobie, że po latach strat w polskich zbiorach sztuki światowej — poczynając od wojen szwedzkich — coś tak wielkiego i wspaniałego do tych zbiorów przybyło. I tylko żal, że ciasnota tego muzeum ogranicza krąg ludzi już obdarowanych wielką radością.

Mimochodem rodzi się pytanie: Czy nie można było — czy można będzie w dającej się określić przyszłości — znaleźć większej sali ekspozycyjnej, nie czekając aż powiększą się skromne dziś salki Muzeum Archidiecezjalnego w Warszawie? Tak pytają ludzie na warszawskiej ulicy świadomi tego, że również i to muzeum podzieliło los stolicy w czas wojny i powstania. Ludzie myślący z najwyższą wdzięcznością i szacunkiem o dwojgu nieznanych dotąd w Polsce ludziach — Janinie i Zbigniewie Karolu Porczyńskich, których twarze przed chwilą widzieli na portretach włączonych w wystawę. O dwojgu Polakach, których polski los oddalił od kraju, ale nie zdołał oddalić od Ojczyzny...

HALINA CYWIŃSKA

PS. Dla ludzi miłujących piękno nie jest ważne czyją własnością są obrazy. Ważne jest jedynie to, aby radość obcowania z pięknem obrazów była możliwie najpowszechniejsza. Dlatego nie rezygnują z pytania: „Czy nie można było..." choć znają już wymianę zdań na ten temat.

H. C.

Kronika

DWADZIEŚCIA OSIEM LAT działa już w naszym mieście **Towarzystwo Przyjaciół Łodzi. Zrzesza ono obecnie w swych szeregach 35 tys. członków.**

Podsumowaniu pokaźnego dorobku TPŁ w minionej kadencji i **nakreśleniu programu działania na najbliższe lata** poświęcone było **zebranie sprawozdawczo-wyborcze TPŁ,** które odbyło się 27.XI. br. w Muzeum Historii Miasta Łodzi.

Przybyli na nie m. in. **I sekretarz KL PZPR Józef Niewiadomski** i **wiceprezydent Łodzi Jan Nosko.**

Po dyskusji, która ogniskowała się wokół poszukiwania nowych form propagowania szczytnych tradycji proletariackiego miasta, dokonano wyboru zarządu. **Prezesem TPŁ został wybrany Józef Niewiadomski.**

Dotychczasowemu prezesowi, Mieczysławowi Woźniakowskiemu, w uznaniu jego zasług położonych dla TPŁ, **nadano godność honorowego prezesa.**

Miłym akcentem zebrania było **wręczenie nagród literackich TPŁ.** Otrzymali je: **Ryszard Binkowski (nasz redakcyjny kolega) i Wacław Pawlak.**

Nowym władzom TPŁ i laureatom składamy najserdeczniejsze gratulacje.

TOWARZYSTWO PRZYJAŹNI POLSKO-FRANCUSKIEJ zorganizowało, w muzeum Historii Miasta Łodzi, **uroczyste spotkanie z okazji 20 rocznicy wizyty w Polsce generała Charles'a de Gaulle'a.**

Po okolicznościowej **prelekcji red. Andrzeja Bilika,** odbył się koncert w wykonaniu **solistów Teatru Wielkiego w Łodzi,** z udziałem **Marii Sartowej** (śpiewaczki z Paryża).

DWAJ RENOMOWANI ŁÓDZCY PLASTYCY uzyskali cenne trofea o randze ogólnopolskiej: Andrzej Gierłga — nagrodę ministra kultury i sztuki II stopnia za rok 1987, zaś Tadeusz Hołówko — nagrodę prezesa Rady Ministrów za twórczość artystyczną dla dzieci i młodzieży.

Gratulujemy!

W TEATRZE POLSKIM W WARSZAWIE odbyła się premiera najnowszej sztuki Sławomira Mrożka pt. „Portret".

Jest to dramat rozrachunkowy, osadzony w polskich realiach.

Przedstawienie rozpoczyna monolog bohatera skierowany do portretu Stalina...

Sztukę reżyserował Kazimierz Dejmek.

Występują: Anna Seniuk, Halina Łabonarska, Laura Łącz, Jan Englert, Piotr Fronczewski.

Na premierę przyjechał z Paryża Sławomir Mrożek.

Że też teatralnej Warszawy nie można przenieść do Łodzi...

BIURO WYSTAW ARTYSTYCZNYCH W ŁODZI zaprasza wszystkich wielbicieli sztuki **do odwiedzenia Galerii Bałuckiej.**

Od 25.XI. czynna jest w niej wystawa grafiki Jiri Brazdy (Czechosłowacja)

MARIA PROBOSZ, po powrocie z Festiwalu Filmowego w Tokio, powiedziała na łamach „Expressu Ilustrowanego", **że dzięki 16 kreacjom zabranym z Polski i 12 dokupionym w Japonii, godnie reprezentowała nasz kraj.**

Najprzyjemniej wspomina pobyt w jednej z tokijskich dyskotek.

Cieszy nas dobre samopoczucie za granicą młodej gwiazdy ekranu.

POLECAMY dwie interesujące premiery w „Łódź — portret miasta '87".

W Teatrze Studyjnym '83 — warsztat dyplomowy studentów IV roku Wydziału Aktorskiego PWSFTv i T — „Szkarłatną wyspę" M. Bułhakowa, w reżyserii **Macieja Prusa** (przedstawienia odbywają się w sali ST „Cytryna" przy ul. Zachodniej 81/83), **oraz** spektakl **„Teatr czasów Nerona i Seneki" Edwarda Radzińskiego w Małej Sali Teatru Nowego. Reżyseria Krzysztofa Rościszewskiego scenografia Krzysztofa Kelma, muzyka Ewy Korneckiej.**

Premiera odbędzie się 5 bm.

ROZSTRZYGNIĘTY został **konkurs malarski pn. „Łódź-portret miasta '87".**

Laureatem pierwszej nagrody — prezydenta m. Łodzi — został Józef Panfil z Tomaszowa Mazowieckiego: drugiej — Marek Gajewski; trzeciej — Zbigniew Kosiński (obaj z Łodzi).

Wśród wyróżnionych przez jury **prac znalazł się** m.in. **obraz Józefa Wasiołka, przedstawiający panoramę budowy Szpitala Pomnika Matki-Polki.**

Uroczyste wręczenie nagród, połączone z otwarciem wystawy pokonkursowej, odbyło się 27.XI. br. w Salonie Sztuki Współczesnej BWA.

MIŁO NAM DONIEŚĆ o laurach, jakie ostatnio zbierają nasi redakcyjni koledzy.

W rozstrzygniętym niedawno **konkursie publicystycznym LOP na najlepsze prace z dziedziny ochrony przyrody i środowiska w 1986 r., pierwsza nagroda, w grupie czasopism, przypadła** w udziale **Romanowi Kubiakowi i Pawłowi Tomaszewskiemu.**

Trzeci zaś nasz kolega, **Ryszard Binkowski,** odebrał 27.XI. literacką nagrodę TPŁ, przyznaną mu **za książkę „Zaćma"** (wydaną w ubiegłym roku przez **Wydawnictwo Łódzkie**).

Tak trzymać...!!!

W VII TURNIEJU JEDNEGO WIERSZA, poświęconym Świętu Zmarłych, **organizowanym przez Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia „PAX" w Piotrkowie Trybunalskim, pierwszą nagrodę otrzymał Andrzej Arczewski z Łodzi, drugą — Elżbieta Bonat z Lublina — trzecią — Edward Pałczyński z Łodzi.**

W szranki stanęło **173 autorów,** którzy nadesłali **274 wiersze.**

W ROZWIJAJĄCYM CORAZ SZYBSZĄ DZIAŁALNOŚĆ młodzieżowym klubie „Dziewiątki" przy TKKS w Łodzi, gościł 25.XI. na wieczorze autorskim **prof. Zbigniew Kuchowicz** — znany naukowiec i pisarz (autor cieszącej się wielką poczytnością, kilkakrotnie wznawianej **„Barbary Radziwiłłówny").**

PROFESOR ALEKSANDER KRAWCZUK został wybrany prezesem Zarządu Głównego Towarzystwa Wiedzy Powszechnej.

W OSTATNIEJ „GIEŁDZIE KSIĄŻKOWEJ", prowadzonej przez warszawską **„Kulturę"** (nr 47 z 25. XI. br.), **pierwsze miejsce uzyskała głośna książka naszego redakcyjnego kolegi Andrzeja Makowieckiego „Rapier Napoleona"** (drukowaliśmy ją w odcinkach na łamach **„Odgłosów"**). **Warszawscy bukiniści żądają za nią 600 zł.—**

Opracował: JAK

Dariusz Muszer

Przenikając się

Ty jesteś piaskiem
Ja jestem morzem
Ty pijesz łyk po łyku moją wodę
Ja falą zamykam ziarnka na ustach odpływu
To ciebie jest więcej
To mnie
Nasza miłość jest żółwiem
składającym jaja na ciepłym brzegu
Do morza docierają
Niezjedzone przez ptaki dzieci plaży

Biała suknia

Suknia wisi, biała, w głębokiej szafie
Przykryta folią, workiem na wieszaku
Dwadzieścia dwa lata to jeszcze nie starość
Dopiero zaczyna się strach o bezpieczeństwo
Ileż jeszcze takich sukien w szafach głębokich
Przeczeka te chwile wiary, że już czas?
Obudzisz się kiedyś we własnych ramionach
I powiesz, że to z pewnością po raz ostatni
Będziesz biała, idąca wzdłuż ławek w kościele
Po własność, za którą zapomnisz zapłacić
Zaśniesz po północy wpatrzona w niego
By rano zacisnąć dłonie na wystudzonych piersiach
Podrzesz białą suknię za kłamstwo bieli
I postarasz się jakoś dalej żyć

Inny drzeworyt

Jesteśmy trochę zaskoczeni, kiedy odkrywamy, że to, co mamy przed oczyma — to drzeworyt. Jesteśmy po prostu przyzwyczajeni do innego traktowania deski, do innego sposobu operowania narzędziem graficznym, innego śladu tegoż narzędzia, wreszcie do wyraźniejszych, dobitniejszych różnic między poszczególnymi wariantami określonego tematu czy też cyklu.

Zrazu odnosimy wrażenie, że **Eva Choung-Fux** pokazuje nam, oparte na walorowych kombinacjach malarstwo monochromatyczne reliefy... Tymczasem czytamy pod planszami: d r z e w o r y t! To nas dziwi. I zmusza do innego spojrzenia, do próby zrozumienia, dlaczego tak właśnie a nie inaczej, obchodzi się artystka z graficznym tworzywem. Jakież to przesłanie śle naszej wyobraźni, naszej wrażliwości, wreszcie naszemu intelektowi jej osobowość artystyczna? A nie jest to zadanie łatwe. Eva Choung-Fux nie mówi niczego wprost, jednoznacznie, bezpośrednio; jej głos przypomina raczej szept o tej porze dnia, kiedy nad światem zapada pierwszy zmierzch. Szept subtelny, szmer strumienia, skrzydło CZASU...

Artystka jest wiedeńką (ur. 1935); tam też mieszka i wykłada w Hochschule für Angewandte Kunst (Wyższa Szkoła Sztuki Stosowanej) grafikę i fotografię. Jest przewodniczącą austriackiej sekcji X Y L O N-u i wiceprezydentem Międzynarodowego Stowarzyszenia Drzeworytników X Y L O N. Spędziła 7 lat na Dalekim Wschodzie — w Japonii i Korei. Może to się wydać dziwne — mówimy bowiem o grafice, czyli technice pozwalającej powielać obraz w jakiejś ilości egzemplarzy — ale w wypadku drzeworytów Evy Choung-Fux mamy do czynienia z j e d n ą tylko odbitką; z jednym jedynym, niepowtarzalnym oryginałem. Tak się przecież w drzeworycie nie postępuje — zawoła ktoś. Okazuje się, że można i to z interesującym efektem.

Eva Choung-Fux pracuje najczęściej cyklami, metodą tzw. „zgubionej" kliszy. Cóż to oznacza? Po każdej odbitce następuje ingerencja na płaszczyźnie płyty. Niewielka, czasami ledwie zauważalna, ale rzeczywiście przez artystkę dokonana. Zostaje też, za każdym razem, zmieniona kolorystyka odbitki. I znowuż zmiany są niewielkie — ot, minimalne, lecz widoczne osłabienie lub spotęgowanie waloru; łagodne przejście wśród pokrewnych barw. Drobne kroki w bezmiarze czasu... Zapewne nie wszystkich oglądających ekspozycję ten powolny, cichy sposób obrazowania satysfakcjonuje, tym bardziej, że jesteśmy przyzwyczajeni raczej do wrzasków, do krzyków i fajerwerków sztuki współczesnej. Dlatego taka cicha z najcichszych wypowiedź, z jaką mamy do czynienia w wypadku twórczości Evy Choung-Fux, może nas bulwersować, wielu też wręcz znudzić, bo jest w niej pewna monotonia. Ale i łagodna muzyka, której jeżeli się poddamy, dostarczy nam wzruszeń najsubtelniejszej natury. Rytm życia przebiegający przez te obrazy przypomina pulsowanie małej żyłki na skroni dziecka; niemal niewidoczny a wyczuwalny przecież pod palcami...

Eva Choung-Fux nie uprawia abstrakcji, ale też jej obrazowanie dalekie jest od dosłowności. Artystka pozostawia pewne ślady rzeczywistości, nie formułując ich nigdy do końca. Oto **„Zamknięty ogród", „Wspomnienie twarzy ze snu". „Portret aktynomerficzny". „Podróż z Kozuesan", „W poszukiwaniu oblicza", „Rozmowa"...** Ślady, ślady... ślady... Na powierzchni drzeworytniczego klocka? na powierzchni CZASU...? A może to obnażenie nerwów drgających w spaźmie poznania? Dla mnie niebanalne drzeworyty austriackiej artystki wiążą się właśnie z upływem CZASU, w którym, na wielu płaszczyznach, zaistnieć mogą obok siebie równoległe rzeczywistości...

Jest jeszcze na wystawie Evy Choung-Fux, w Galerii Sztuki BWA przy ulicy Wólczańskiej, cykl zatytułowany: **„Pismo-Haiku — Fotografie obrazów na piasku".** Cytat z katalogu: „Utwory poezji HAIKU napisane na piasku zostały utrwalone przez rzutowanie na nie elementów obrazu fotograficznego. Poematy HAIKU powstały w latach 1973 — 1983; fotograficzne obrazy są przeważnie zdjęciami celtyckich rytów w kamieniu i pochodzą z Norwegii z 1985 roku; unikatowa sekwencja została opracowana w 1987 roku".

ANDRZEJ GRUN

W tej okolicznościowej jednodniówce, oprócz kilku akcentów jubileuszowych, znaleźć można interesujące materiały pisarzy poetów, plastyków, fotografików, satyryków i dziennikarzy związanych z „Pojezierzem" Stanowi więc rodzaj magazynu kulturalno-literackiego. W roku przyszłym wydawca zamierza kontynuować taką właśnie formę promowania swojej działalności edytorskiej i przy jej pomocy szeroko prezentować twórczość środowiska.

Życzymy powodzenia.

NOWY FILM KUBRICKA

Nie udało się **Stanleyowi Kubrickowi** powtórzyć sukcesu swoich najlepszych obrazów („Mechaniczna pomarańcza" i „Dr. Strangelove") w najnowszym filmie pt. **„Full Metal Jacket",** w którym zmierzył się z tematem brudnej wojny w Wietnamie i wywołanych przez nią okaleczeń fizycznych i psychicznych. Zarzuca się reżyserowi zbytnie skupienie się na pokazaniu odczłowieczającego szkolenia rekrutów, który to wątek nie wypadł zbyt przekonywająco. Po **Francisie F. Coppoli, Tedzie Kotchefie,** którzy stworzyli na ten temat wybitne dzieła, film Kubricka (ponoć!) nie wnosi nic ciekawego.

Tytuł filmu nawiązuje do żargonu żołnierzy, którzy w ten sposób nazywali zarówno kuloodporne kamizelki, jak i metalowe trumny, w których wielu z nich wróciło do kraju.

OPERA „ERNEST HEMINGWAY"

Ormiański kompozytor **Jurij Kazarian** wraz z librecistą **Grigorijem Czyginianem** są twórcami opery **„Ernest Hemingway".** Przedstawienie odbyło się w Santiago de Las Vegas i w Hawanie, w ramach pierwszego w Ameryce Łacińskiej Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Operowej. Wykonawcami byli wybitni soliści Teatru Wielkiego z Hawany. **Zainteresowanie spektaklem było bardzo duże. Operę obejrzało wielu** dziennikarzy amerykańskich i europejskich. **Prasa podkreśla wysokie walory artystyczne dzieła.**

JĘZYKI ŚWIATA

Według (sceptycznych) ocen specjalistów mieszkańcy naszego globu posługują się trzema tysiącami języków i dwunastoma tysiącami dialektów. Jednakże radzą nam, abyśmy nie przejmowali się zbytnio faktem, że znamy zaledwie jeden bądź dwa języki. Dwie trzecie ludności zamieszkującej kulę ziemską używa zaledwie jedenastu języków, a są nimi: chiński, hindi, angielski, hiszpański, rosyjski, arabski, bengali, portugalski, niemiecki, francuski i japoński.

Aktualności sprzed lat

JAN CZARNY

Fraszki

OPTYMIZM

I ludzie mili, i **miłe bogi,**
gdy na talerzu **z masłem pierogi.**

SPOSÓB

Przy pomocy **stołka**
w **mędrca zmienia się matołka.**

Z KRYMINOLOGII

Najgorsi **wśród morderców wszystkich odcieni**
ci, co duszą, **rąk nie wyjmując z kieszeni.**

SNOBISZCZE

Połknąłby nawet kaktusa,
gdyby wiedział, że z USA.

NAWET...

Nawet chory umysłowo
powie **czasem mądre słowo.**

Fraszki pochodzą ze zbioru „300 Fraszki", Wydawnictwo Łódzkie 1959 r.

ANATOLIJ RYBAKOW

(25)

Dzieci Arbatu

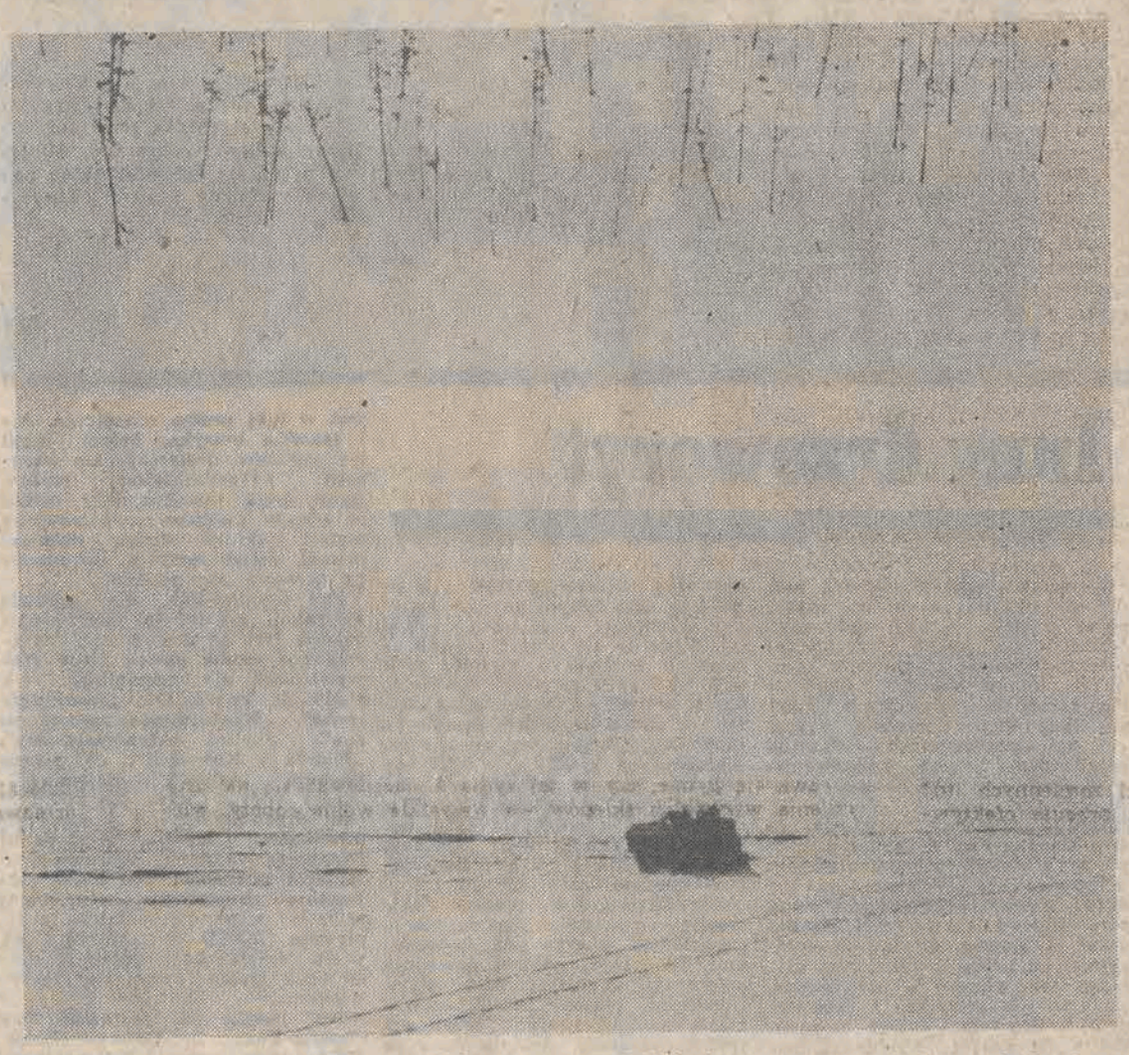

Karcew wystawiał chorą twarz do słońca, wykręcał głowę w stronę, gdzie odpełzał jego wąski zamglony promień.

Iwaszkin potakiwał i Wołodii, i Saszy, lubił inteligentne rozmowy. Swój zawód uważał za inteligentny, szczególny. Pośpieszysz — i pomyłka, no i pędzą na Sybir, chociaż nawet to nie ty składałeś. W wystąpieniu towarzysza Stalina zamiast „odkryć" złożyli „ukryć". Wsadzili sześciu. Iwaszkin zostawił w domu żonę i trzy dziewczynki — córeczki.

Chłopaczek-konwojent także przysłuchiwał się ich rozmowie, uśmiechał się. Kaszy zjadł całkiem mało, żeby nie objadać innych.

Woźnica był ponury, odmówił zjedzenia kaszy i wypicia herbaty, pożuł coś na wozie i zdrzemnął się, wyczekując, kiedy odpocznie i poszczypie trawki jego koń. Potem go zaprzągł. Rozleniwieni przy ognisku mężczyźni podnieśli się niechętnie. Partia ruszyła.

Uszli z pięć kilometrów i nagle zaświszczał wiatr w koronach drzew, od razu się ściemniło, zadęła zamieć, sypnął śnieg.

Przyśpieszył woźnica, przyśpieszył chłopiec-konwojent, chcąc jeszcze za dnia dojść do Czuny. Śnieg skończył się tak samo nieoczekiwanie, jak się zaczął, tylko nakrył krzaki białymi czapkami, i do reszty popsuł i bez tego złą drogę. Mężczyźni zaczęli popychać wóz. Szli szybko, tak jak poprzednio.

Tylko Karcew nie mógł iść, tracił oddech, zatrzymywał się i kaszlał, oparłszy się o drzewo.

— Siadaj, Karcew, na wóz — powiedział Sasza.

Ale woźnica nie pozwolił.

— Nie najmowałem się ludzi wieźć, koń nie uciągnie, drogi nie ma.

— Sumienia nie masz — rzekł Iwaszkin.

Sasza chwycił konia za uzdę.

— Stop! Karcew, siadaj!

— Nie rusz, chamie — wrzasnął woźnica. — Zawrócę nazad, pokażą wam się buntować!

— Ojczulku, nie będziemy się kłócić — swoim kierowniczym tonem wyrzekł Boris, podsadzając Karcewa na wóz.

Trzeba było zdjąć z wozu dwie walizki, które były najlżejsze, konwojent przytroczył je do siodła. Tylko Wołodia Kwaczadze nie wymówił ani słowa, obojętnie czekał, czym to się skończy. Nie ujmie się za „kapitulantem", nawet jeśli tamten będzie zdychać.

Przez Czunę przepłynęli na tratwie. Nie dochodziła do brzegu, przeszli wpław, nieśli rzeczy, wciągali wóz. Przemokli do nitki.

Trafili do dużej, ale podupadłej wsi, z zawalonymi, poczerniałymi chatami, porozwalanymi oborami. Odbywała się zabawa, w domach paliły się wczesne światła, słychać było pijackie krzyki i śpiewy, zataczając się, przeszli ulicą chłopi, mieszkańcy tajgi, pracownicy leśni, każdy innego wzrostu i koloru włosów, niepodobni do postawnych jasnowłosych Sybiraków ze strefy stepowej. Na balach siedzieli chłopcy i dziewczęta, śmiali się, krzyknęli do konwojenta, powiedzieli, że dzisiaj jest odpust. Konwojent od razu się pośpieszył, pobiegł szukać przewodniczącego, żeby jak najszybciej zdać partię.

Podczas, gdy czekali na przewodniczącego, podeszli miejscowi zesłańcy; postawny mężczyzna o bujnej czuprynie, nieśpiesznych ruchach, i uważnym spojrzeniu, dobrze znany Saszy z Piątego Domu Rad typ działacza państwowego i szczupła rudowłosa kobieta o surowej zmęczonej twarzy. Dotarli do nich jako pierwsza partia po roztopach i pośpieszyli się dowiedzieć, czy nie ma wśród nich swoich.

— Witajcie!

Wzrok kobiety zatrzymał się na Kwaczadze, w jego spojrzeniu w odpowiedzi poczuła współnotę poglądów. Wołodia wymienił swoje nazwisko, znali je, ich nazwiska były znane jemu. Objęli się, ucałowali, a z pozostałymi nie zawierali znajomości. Mężczyzna niby życzliwie się uśmiechnął, ale nikomu ręki nie podał — mógł ją podać temu, komu nie należy, albo temu, kto nie poda mu swojej w odpowiedzi. Kobieta nawet się nie uśmiechnęła.

Zabrali ze sobą Wołodię. Szedł pomiędzy nimi, wysoki, gibki, w czarnym waciaku, z workiem na ramieniu, odpowiadał im na pytania, widać, mieli wiele pytań — poczta nie przychodziła już dwa miesiące.

— Adieu! — powiedział za nimi obrażony Boris: Wołodia złamał solidarność wyższego szczebla niż solidarność polityczna.

Przybiegł mordziasty, przeżuwający coś w biegu chłopak, pijany, podekscytowany, wytrzeszczył oczy.

— Które tu som zesłane? Te tu? E, coś ty taki czarny, chyba nie Rusek cie zrobił? No, jazda!

Zaprowadził ich do opuszczonego domu na skraju wsi, z rozwalonym piecem, a oni potrzebują się ogrzać, wysuszyć ubranie, położyć w cieple chorego Karcewa. Ale kiedy tak rozglądali się po tej dawno opuszczonej ludzkiej siedzibie, po mordziastym nie było już ani śladu. Odjechał też woźnica, zrzuciwszy na ziemię ich rzeczy.

— Naciśniemy miejscowe władze — powiedział Boris — idziemy, Iwaszkin.

— Dokąd mamy iść? Wieś się bawi.

— Ja będę mówił, a pan pomoże przynieść szamunek — uspokoił go Boris.

Wyszli. Sasza wyjął z walizki czystą bieliznę, wełniane skarpetki, koszulę, podał Karcewowi.

— Przebierz się.

Saszę przeraziła jego chudość. Skóra, mocno naciągnięta na żebrach, ostre kolana, nogi bez ciała, długie, bezsilnie zwisające ręce, łopatki sterczące jak obrzeżki podciętych skrzydeł.

— Wychudłeś przez tę głodówkę — zauważył Sasza.

— Karmili mnie sondą, przymusowo — Karcew niezręcznie wkładał koszulę w kalesony — potem przestawili na szpitalną, odkarmiali mlekiem. Otworzyłem sobie żyły, dużo krwi straciłem.

Oczy mu błyszczały gorączkowo, twarz miał w czerwonych plamach, na pewno temperatura, ale nie mają termometru, ale i tak nawet nie ma po co mierzyć, i tak jutro trzeba w drogę.

Wreszcie się przebrał, okutał się w bajowy koc Saszy, usiadł na ławce, przytulił się do ściany, zamknął oczy.

— Z jakiego powodu podrzynałeś sobie żyły? — spytał Sasza.

Karcew nie odpowiedział, nie dosłyszał, a może zdrzemnął się.

Sasza obejrzał piec. Przy palenisku i popielniku sterczały końce drutu, ktoś już porywał szybry. Sasza chciał napalić, ale się rozmyślił — a nuż Boris wystara się o nowe pomieszczenie.

Boris i Iwaszkin przynieśli bochenek chleba i brzozowy garnek ze śmietaną, nic więcej nie dostali. Innego pomieszczenia też nie zdobyli — wszyscy są pijani, nie ma z kim gadać, nikt nie puszcza na nocleg.

Iwaszkin znalazł na podwórzu drewna, narąbał szczap, ale nie dawało się rozpalić, tylko zapałki na próżno marnowali.

W ciemności zjedli śmietanę z chlebem.

— Zimna kolacja jest lepsza niż brak kolacji — wygłosił sentencjonalnie Boris.

Karcew nie chciał jeść, poprosił pić. Wody nie mieli.

— Pójdę do przyjaciół Wołodi, niech go wezmą na noc — powiedział Sasza.

Boris wątpiąco pokręcił głową.

— Nie wezmą. Zresztą, popróbować można. Pójdę z tobą.

— Po co?

— Wieś jest pijana w sztok i tamto towarzystwo na belkach jest nastrojone agresywnie.

Na ulicy było widniej niż w chacie, księżyc w pełni wisiał na bezchmurnym niebie. Na belkach jak przedtem siedzieli chłopaki i dziewczyny. Jeden z chłopaków, widać tutejszy dowcipniś i zabijaka, opowiadał coś zabawnego, wymachiwał rękami, odpowiadano mu wybuchami śmiechu. Zobaczywszy Saszę i Borisa, zawołał:

— Hej, ty tam, przybłędo, chodź no!

— Nie zwracaj uwagi — półgłosem powiedział Boris.

— A to dlaczego? — Sasza skierował się w stronę belek — Czego chcecie?

— Czego po ulicy łazicie? Dziewczyn szukacie? A guza nie chcecie?

Na belkach siedział młodziutki konwojent, uśmiechał się w milczeniu. Ale było jasne: jak zaczną ich bić, będzie się tak samo uśmiechał.

Sasza odwrócił się do Borisa.

— Rzeczywiście. Patrz, jakie tu są ładne dziewczyny.

— Ładne, ale nie dla was! — krzyknął chłopak.

— Tylko dla ciebie jednego? — uśmiechnął się Sasza. — A dasz radę?

Na belkach zaśmiali się.

— No, no — wkroczył chłopak — ty tam, cheba za dużo se!

— Cheba se, pstre — przedrzeźnił go Sasza — ty w jasną...

Sasza rąbnął coś takiego, czego by mu pozazdrościł każdy ładowacz, z tamtych, z którymi pracował w zakładach chemicznych.

I poszedł dalej.

— Nie należy zaczepiać ludzi, chłopcy, trzeba być poważniejszym — po mentorsku dodał Boris i ruszył za Saszą.

Po drodze powiedział mu:

— Jeśli nas tu nie zabiją, to będziesz żył długo. Umiesz coś narzucić.

Drzwi do chaty nie były zamknięte. Wołodia, kobieta i mężczyzna siedzieli za stołem. Paliła się lampa naftowa.

— To są Pankratow i Sołowiejczik — powiedział Wołodia — mówiłem wam o nich.

Widać, mówił coś dobrego, bo mężczyzna się uśmiechnął.

— Siadajcie, koledzy, napijcie się z nami herbaty.

— Dziękujemy.

Sasza nie usiadł, zwrócił się do Wołodi.

— Co zrobimy z Karcewem?

— A co ja mam zrobić?

— Ty, jak widzę, zamierzasz tu nocować. A może odstąpisz swoje miejsce?

Zamiast Wołodi odpowiedział mężczyzna:

— Do pewnego stopnia to ja decyduję, kto będzie u mnie nocował.

— A może wiecie, u kogo można zatrzymać się na jedną noc? — spytał Boris.

— Tu nikt nie bierze na nocleg, tym bardziej chorych.

Kobieta odwróciła się do Wołodi:

— Kiedy ostatni raz widzieliście się z Iljinem?

Już na ulicy Sasza powiedział z goryczą:

— A ty mówisz, że umiem coś narzucać.

— Mój drogi — odrzekł Boris — tutaj w grę wchodzą namiętności polityczne, a te są najbardziej nieokiełznane.

9.

Pod koniec dnia Poskriebyszew położył Stalinowi na stole przeczytany przez członków Biura Politycznego list o artykule Engelsa. Wszyscy zgodzili się z tym, że artykułu drukować nie należy. Podjęta przez zebranie decyzja o zmianach w kolegium redakcji „Bolszewika" także była jednogłośna.

Stalin nie wątpił, że obydwie decyzje przejdą: posunięcie ze Steckim było posunięciem prawidłowym. Stecki jest człowiekiem Bucharina, a oni Bucharina trzymają w rezerwie. Na razie Bucharina nie poświęcą, jak nie chcieli poświęcić w zeszłym roku Smirnowa, Tołmaczewa i Ejsmonta, a w pozaprzeszłym Riutina.

A jednak wszyscy przeciwnicy — byli, obecni i przyszli — powinni być zniszczeni i będą zniszczeni. Jedyne w świecie państwo socjalistyczne może przetrwać tylko wówczas, jeśli będzie niezachwianie stabilne wewnętrznie, jest to gwarancja jego stałości także na zewnątrz. Państwo powinno być silne na wypadek wojny, państwo powinno być silne, jeżeli chce pokoju, powinni się go bać.

Aby w jak najkrótszym czasie kraj rolniczy przekształcić w kraj przemysłowy, potrzebne są niezliczone materialne i ludzkie ofiary. Naród musi się z tym pogodzić. Ale samym entuzjazmem tego się nie osiągnie. Naród trzeba zmusić do poświęceń. Do tego potrzebna jest silna władza, napawająca naród strachem. Strach trzeba podtrzymywać wszelkimi środkami, teoria nieustającej walki klasowej stwarza po temu wszelkie możliwości. Jeśli zginie przy tym parę milionów ludzi, historia wybaczy to towarzyszowi Stalinowi. Jeżeli pozostawi państwo bezbronnym, skaże je na upadek — historia nie wybaczy mu tego nigdy. Wielki cel wymaga wielkiej energii, z zacofanego narodu wielką energię można wydobyć jedynie przy pomocy wielkiego okrucieństwa. Wszyscy wielcy władcy byli okrutni. Kamieniew, obecnie dyrektor wydawnictwa „Akademia", nieprzypadkowo wydał Machiavellego. Dla NIEGO go wydał, chce JEMU pokazać, że metody, stosowane przez NIEGO, znane były już w piętnastym i szesnastym wieku. On, Kamieniew, się myli. Zalecenia Machiavellego są przestarzałe. Zresztą, nie wiadomo, czy nadawały się do czegoś w piętnastym wieku. Błyskotliwe, ale powierzchowne, niedialektyczne, schematyczne. „Władza, oparta na miłości narodu do dyktatora jest słabą władzą, albowiem zależy od narodu, władza, oparta na strachu przed dyktatorem, jest silną władzą, albowiem zależy jedynie od samego dyktatora". To założenie jest słuszne tylko częściowo; władza, oparta tylko na miłości narodu jest władzą słabą, to prawda. Ale władza, oparta tylko na strachu, także jest władzą niepewną. Pewna władza opiera się i na strachu przed dyktatorem, i na miłości do niego. Ten jest wielkim władcą, kto przy pomocy strachu potrafił wpoić miłość do siebie. Taką miłość, gdy wszystkie okrucieństwa jego rządów naród i historia przypisują nie jemu, ale wykonawcom.

Wysłanie Trockiego za granicę było aktem humanitarnym i co za tym idzie, błędnym: Trocki jest na wolności i działa. Zinowjewa i Kamieniewa on za granicę nie wyprawi, oni legną jako pierwsze kamienie w bastionie strachu, który koniecznie należy wznieść, ażeby obronić naród i kraj. Za nimi pójdą ich sojusznicy, Bucharin to ich sojusznik, chodził do Kamieniewa tylnym wejściem, prowadził z nim sekretne rozmowy, mówił, że woli widzieć w Biurze Politycznym zamiast Stalina Zinowjewa i Kamieniewa. Sam sobie znalazł sojuszników i podzieli ich los.

W polityce nie ma miejsca na litość. Jeśli kogoś mu szkoda, to tylko jednego człowieka — Kamieniewa. Szkoda mu w tym sensie, że Kamieniew jest nie z nim, tylko z Zinowjewem. „Przytulny" człowiek, miękki, ustępliwy, do tego także tyflisczyk, w Tyflisie ukończył gimnazjum, w Tyflisie żył wiele lat. Jest w nim coś i z żydowskiego, i z gruzińskiego inteligenta — życzliwość, delikatność, serdeczność, trochę cynik, ale cynik dobroduszny. Wykształcony, zorientowany w sytuacji politycznej, umie precyzyjnie i przejrzyście formułować wnioski, za to go słusznie cenił Lenin. Nie jest zadufany, nie pretenduje do lideorowania, tradycyjnie drugi człowiek. Tym był przy Leninie, tym mógłby być i przy towarzyszu Stalinie. Nie zechciał. Wolał od NIEGO gadułę Griszkę. Kiedyś dobrze się im współdziałało, rozumieli się wybornie. Właśnie Kamieniew wysunął jego, Stalina, kandydaturę na funkcję sekretarza generalnego partii. Ale wysunął tylko dlatego, żeby go użyć przeciw Trockiemu, wymyślili to razem z Zinowjewem — zrobić z aparatu partyjnego kij na Trockiego, przyzwyczaili się wyciągać cudze kasztany z ognia. Nie zrozumieli jednego: aparat partyjny — to nie kij, aparat partyjny — to motor władzy. Przekazawszy mu ten motor, tym samym dali mu do rąk całą pełnię władzy. JEGO geniusz polega na tym, że on jako jedyny to pojął. Zresztą, Lenin też to zrozumiał, tylko że nie od razu, ale po roku bez mała, za późno zrozumiał. Ale nawet wówczas, gdy Lenin zażądał zdjęcia GO z funkcji sekretarza generalnego, nawet wtedy Kamieniew nic nie zrozumiał i zaproponował zjazdowi, żeby nie brał pod uwagę listu Lenina. Pojął to dopiero później, gdy okazało się, że od spuścizny Lenina został odsunięty nie tylko Trocki, ale także Kamieniew z Zinowjewem. Wtedy powinien dokonać słusznego wyboru politycznego, wtedy powinien pójść z całą partią za towarzyszem Stalinem. Poszedł za tą miernotą, za Griszką. Dlaczego? Czy wierzył w wielkie talenty Griszki? Bzdura. Przeliczył się dlatego, że nigdy naprawdę nie rozumiał GO, nie rozumiał, że tak zwany prymitywizm, tak zwana przeciętność towarzysza Stalina w rzeczywistości jest prostotą przywódcy, który nie tylko prowadzi wykłady w Akademii Komunizmu, ale przede wszystkim rozmawia z masami, prowadzi za sobą masy.

Żydzi nie rozumieli nigdy, czym jest WÓDZ. Nigdy nie umieli podporządkować się naprawdę, to są ich zaszłości historyczne, w tym tkwi ich narodowa tragedia. Wszystkie narody podporządkowały się Rzymowi i jako narody przetrwały. Jako jedyni nie podporządkowali się Żydzi. We wszystkich religiach Bóg wciela się w człowieka: Chrystus, Mahomet, Budda... Tylko Żydzi nie mieli przywódcy ze znamieniem boskości, tylko religia żydowska nie dopuszcza ucieleśnienia Boga w człowieku. Nie istnieje dla nich autorytet absolutny, dlatego też nie mogli zachować swojej państwowości — najwyższa władza w państwie powinna się ucieleśniać w najwyższym wodzu. Żydzi swoją historię zatracili w sporach, demokracja oznacza dla nich możliwość toczenia sporów, poglądowi większości muszą przeciwstawiać swoje własne poglądy.

Są, rzecz jasna, także Żydzi, potrafiący uznać przywódcę i jemu służyć, taki na przykład Kaganowicz. Właśnie Kaganowicz jako pierwszy, jeszcze w 1929 roku, występując w Instytucie Czerwonej Profesury, nazwał GO wodzem... Ale Kamieniew wolał czyjąś powierzchowną erudycję i skłonność do frazesów. Przeliczył się. Erudycja i frazesy to za mało dla wodza. Gdzie podzieli się wszyscy przedrewolucyjni „przywódcy" z inteligentów i „literatów"? Wszyscy ci Łunaczarscy, Pokrowscy, Rożkowowie, Goldbergowie, Bogdanowowie, Krasinowie? A Noginowie, Łomowowie, Rykowowie? Nie ma ich i nic po nich nie zostało. Trocki miał pewne cechy wodza. Ale intelektualna pycha czyniła go nie do zniesienia dla kadr partyjnych. Na każdym kroku podkreślał swoją wyższość umysłową, kiedy ich uważają za głupców. Ludzie uznają wyższość umysłową, kiedy łączy się ona z wyższością władzy. Wyższość umysłowa jest dla nich do przyjęcia tylko z osobą rządzącego, znaczy to, że podporządkowują się mądremu władcy, to nie poniża ich, ale odwrotnie, wywyższa i usprawiedliwia w ich oczach ich podporządkowanie się bez szemrania, pocieszają się myślą, że rzekomo podporządkowują się nie sile, lecz rozumowi. A dopóki przywódca nie zdobył władzy absolutnej, powinien umieć przekonywać, budować w ludziach przekonanie, że są jego dobrowolnymi sojusznikami, że on tylko wypowiedział, sformułował ich własne myśli. Trocki nie rozumiał tego, tak jak nie rozumiał też znaczenia aparatu. Uważając siebie za przywódcę, sądził, że sam jeden może pociągnąć za sobą masy swoim krasomówstwem, swoim intelektem. Nie. Żeby zawładnąć masami, nie wystarczą błyskotliwe przemówienia, potrzebne jest narzędzie, tym narzędziem jest aparat. „Dajcie nam organizację rewolucjonistów — i przewrócimy Rosję!". — tego głównego leninowskiego twierdzenia Trocki nigdy nie rozumiał. To właśnie był jego „niebolszewizm", o którym Lenin mówił w swoim „testamencie".

Być może, Lenin na serio brał myśl o kolektywnym kierownictwie? Nie. Lenin rozumiał znaczenie przywódcy. „Radziecki centralizm socjalistyczny absolutyzmu ani dyktatury bynajmniej ne wyklucza... wolę klasy spełnia nieraz dyktator, który nieraz sam zrobi więcej i częściej jest bardziej niezastąpiony..." i dalej... „Dojść... do przeciwstawienia w ogóle dyktatury mas dyktaturze przywódców to śmiechu warta niedorzeczność i bzdura...". Lenin rozumiał to, ale zamierzał rządzić Rosją europejskimi metodami, a w NIM, Stalinie, widział Azjatę.

C.D.N.

Tłumaczyła:
EWA-KATARZYNA NOWAK

Polemiki • Listy • Opinie

Na kolumnie „Polemiki, listy, opinie" publikujemy tylko listy podpisane imieniem i nazwiskiem, z podaniem adresu. Adres i nazwisko na życzenie zainteresowanego zatrzymujemy do wiadomości redakcji. Zastrzegamy sobie możliwość skrótów.

„JEŚLI NIE MY, TO KTO"

W artykule pt. „Jeśli nie my, to kto" („Odgłosy" nr 44 z 31.10.87 r.) czytamy: „Ulubioną rozrywką Polaków jest zbawianie ojczyzny. Niech tylko zbierze się „doborowe grono", niech sobie nieco wypiją, a już nad stołem krzyżują się recepty na lepsze jutro".

Niejednokrotnie brałem udział w takich dyskusjach i rzeczywiście tylko ja i moi rozmówcy znajdowaliśmy środki mogące poprawić sytuację gospodarczą kraju. Dziś, zmobilizowany do myślenia wypowiedziami uznanych autorytetów chciałbym — mimo że nie piłem, co stwierdzam z całą odpowiedzialnością — podzielić się własnymi refleksjami na temat niektórych zjawisk występujących w naszej gospodarce.

O konieczności przeprowadzenia zmian w gospodarce kraju nie trzeba nikogo przekonywać. Wszyscy jesteśmy zniechęceni powtarzającymi się kryzysami gospodarczymi, brakiem widocznej poprawy w gospodarstwach domowych. Tak, przede wszystkim w gospodarstwach domowych, gdyż bez względu na to, w jakim żyjemy ustroju, jakie idee są nam wpajane, jakimi hasłami jesteśmy na co dzień karmieni, pracujemy przede wszystkim dla siebie. Praca jest dla nas sposobem zarobienia na życie, przymusem ekonomicznym gwarantującym byt, obowiązkiem wobec rodziny. Z zazdrością patrzymy na wysoką stopę życiową robotników krajów rozwiniętych (niestety — są to kraje kapitalistyczne) i chcielibyśmy im dorównać. Gdzie leży przyczyna, że żyją lepiej od nas? Czy po pierwsze, jedna z przyczyn nie leży w nieprzestrzeganiu obiektywnego charakteru praw ekonomicznych, a które istnieją i działają niezależnie od woli i świadomości ludzi? Przykład, bardzo proszę:

1 listopada wprowadzono skup bonów dolarowych przez banki po cenie czarnorynkowej, którą pierwszego dnia ustalono na 980 zł za bon jednodolarowy. Zapomnieliśmy jednak, że ludzie nie tylko sprzedają, ale i kupują bony, a więc cenę ich, jak każdego towaru, kształtuje prawo podaży i popytu. W rezultacie ceny skupu na czarnym rynku skoczyły na 1100 zł, sprzedaży na 1200 zł za bon jednodolarowy, a banki w Łodzi skupiły pierwszego dnia, jak podała prasa, bony wartości 100 dolarów.

Po drugie, kiedy wreszcie skończymy z pojęciami takimi, jak to: przedsiębiorstwo jest deficytowe, do produkcji tego artykułu państwo musi dokładać, inny artykuł natomiast jest luksusem. Czy pojęcia te są nierozerwalnie związane z gospodarką socjalistyczną?

Z artykułu „Huragan w City" („Polityka" nr 44 z 31.10.87 r.) dowiadujemy się, że przez oddanie przedsiębiorstw państwowych w prywatne ręce pani Margaret Thatcher zmusiła firmy państwowe do konkurencji i lepszego funkcjonowania.

Gdyby tak u nas stał się cud i przedsiębiorstwa deficytowe zaczęły przynosić zyski. Przecież pomysł pani Thatcher jest u nas znany i praktykowany od dawna w sieci gastronomicznej — bary i restauracje przynoszące deficyt pod zarządem państwowym, oddane w ajencję dają zyski.

Po trzecie. Przeglądając codzienną prasę, rzucają się w oczy ogłoszenia przedsiębiorstw szukających pracowników. Zadaję sobie pytanie, czy odczuwamy rzeczywisty brak rąk do pracy, czy są to tylko pozory. W artykule redaktora Jerzego Kwiecińskiego „Nauka japońskiego" czytamy: „do pracy przychodzi się punktualnie, a to znaczy z dwudziestominutowym wyprzedzeniem" itd., czyli pracują efektywnie 8 godz. dziennie.

Jak w kontekście tylko tej wypowiedzi wygląda nasz efektywny czas pracy, nie mówiąc o stratach czasu spowodowanych złą organizacją, brakiem surowca, części zamiennych itd? Sądzę, że stwierdzenie, że statystyczny Polak pracuje efektywnie 6 godz. dziennie, nie będzie mijało się z prawdą.

Wniosek nasuwa się jeden:

— należy wprowadzić konkurencję pracy opartą na współzawodnictwie zmierzającym do zmniejszenia zatrudnienia poprzez eliminowanie obiboków i leni

Według danych statystycznych rocznie około 300 tys. osób porzuca pracę. Są to notoryczne obiboki, pasożyty, którzy podejmują zatrudnienie tylko po to, aby pobrać odzież roboczą i sprzedać na rynku lub aby uzyskać wpis w dowodzie osobistym o zatrudnieniu. Sądzę, że ze społecznego punktu widzenia byłoby o wiele korzystniej stworzyć planowe bezrobocie, niż abyśmy wszyscy ponosili koszty ich bezefektywnego zatrudnienia. Jest takie powiedzenie: „Każdy jest kowalem swojego losu". Zastosujmy je w życiu i nie bawmy się w instytucję charytatywną kosztem całego społeczeństwa.

JERZY PIASECKI

„W IMIĘ EKUMENIZMU I TOLERANCJI"

Reakcja na moją notatkę „W imię ekumenizmu i tolerancji", w której pozwoliłem sobie wyrazić niezadowolenie z pewnych zewnętrznych przejawów działalności parafii na Julianowie wywołała takie reakcje, jakich — niestety — należało się spodziewać. Kilka niemal obrażonych osób, no i polemika ze strony Tadeusza Michalskiego, jak mniemam mojego byłego sąsiada. Innych wypowiedzi (negatywnych, bo pozytywne też były) niestety, nie znam.

Dlaczego do sprawy wracam? Bo potwierdziło się, iż znakomita część społeczeństwa mając o sobie może i słusznie jak najlepsze mniemanie wciąż popełnia ten sam błąd: stawia znak równości między wiarą, kościołem (oczywiście koniecznie rzymskokatolickim), klerem, Polską i Narodem Polskim, działalnością duszpasterską i działalnością stricte polityczną prowadzoną przez tenże kler. Można by tych pojęć i porównań przytoczyć więcej. Można się zastanowić, czy Krzyż, „Biało-Czerwona" i Orzeł Biały (oczywiście z koroną!) to rzeczywiście w wymiarze historycznym zawsze to samo i czy naprawdę to samo?

Aż dziwne, że moi adwersarze nie kwestionują tej części wypowiedzi, w której łajam Świadków Jehowy za ich natręctwo i nietolerancję! Czyżbyśmy w tym przypadku byli zgodni?

Bądźmy ściśli: nie twierdziłem, że emitowanej melodii nie znam, z czego dowcipnie T. Michalski wywiódł, że możliwość jej poznania przekraczałaby moje możliwości, możliwości „skażonego" melodiami masowymi, oczywiście z lat czterdziestych czy pięćdziesiątych. Tak — przyznaję, że w tych latach budowałem, jak to się obiegowo i brzydko nazywa, „zręby Polski Ludowej" i targałem torf w Józefowie koło Elbląga przez kilka tygodni, wierząc, że robię dobrze i śpiewając pieśni masowe jak np. „Wykonaj plan". Co w tym czasie robił Tadeusz Michalski dla Polski Ludowej nie wiem i nie śmiem zgadywać. I czy robił źle, czy dobrze, lub nic nie robił, co pozwoliłoby zrzucić całą odpowiedzialność na innych...

W innej kwestii: jeśli rzeczywiście byłbym przywiązany do doktryn określonej wiary i dbał o szacunek dla niej — nigdy bym nie pozwolił na wykorzystywanie symbolu krzyża dla celów innych niż wiara. Chyba że utożsamiałbym działalność instytucji z działalnością inną niż duszpasterska. Czy przypadkiem właśnie o to nie chodzi, jeśli obserwuje się krzyże pod hasłami „Solidarności"?

Czytam dalej, że moje uwagi są „niesmaczne". I zastanawiam się, czy w tym przypadku niesmaczne nie jest to, co jest wstydliwe? Nie sądzę, abym „naigrywał się" ze świętych męczenników. Po prostu nadal nie rozumiem, dlaczego są u nas tendencje do wrzucania do jednego worka spraw wiary, działalności kościoła i jego funkcjonariuszy (tak, tak!), działalności duszpasterskiej i politycznej? A propos funkcjonariuszy: modne obecnie powiedzenie o „arogancji władzy" należy chyba rozciągnąć na każdą arogancję w postępowaniu, nieszanowaniu i nieliczeniu się z innymi...

Czy „chowam się" za inicjałami? Pewno też nie, skoro, jak szczerze przyznałem, rozpoznało mnie szereg osób, co nie jest szczególnie trudną rzeczą, jeśli śledzi się publikacje w „Odgłosach".

Czy „brak mi odwagi"? Uważam, że aktem szczególnej odwagi jest poruszenie takich, jak w „Ekumenizmie i tolerancji", tematów wobec tendencji niektórych grup społecznych od podlewania wszystkiego patriotyczno-klerykalnym sosem. A nie ma w tym przypadku miejsca na rozum, tylko na emocje, co łacno można stwierdzić na co dzień.

Nie mam sobie zatem nic do zarzucenia. A swoją drogą byłbym ciekaw dyskusji z moimi adwersarzami na temat sekowania dzieci rodziców, którzy ośmielają się mieć inne niż obiegowe zdanie, przez dzieci innych rodziców, którzy czują się moralnie upoważnieni do prezentowania postawy: Polak — jedyny patriota, to oczywiście katolik! Inaczej być nie może, wręcz nie przystoi!

Kto to jednak potrafi zrozumieć? I jak to jest z tą tolerancją? Stawiając to retoryczne pytanie kreślę się nadal inicjałami.

W.A.

OD REDAKCJI: Udzielając miejsca na odpowiedź zaatakowanemu, proponujemy zakończyć na tym ten nigdy nie kończący się spór o tolerancji i nietolerancji.

„CZY TEGO NIE MOŻNA ZMIENIĆ"

W związku z artykułem pt. „Czy tego nie można zmienić" opublikowanym w nr 45 „Odgłosów" z dnia 7.11.87 r. — Zarząd „Społem" PSS w Łodzi uprzejmie wyjaśnia problem funkcjonowania placówek handlowych w wolne soboty.

Spółdzielnia nasza od czasu ustanowienia wolnych sobót w miarę poprawy sytuacji rynkowej powiększała liczbę sklepów czynnych w wolne soboty z 20 proc. ogólnego stanu sieci w 1981 r. do 65 proc. aktualnie, w tym: 794 sklepy żywnościowe, 186 punktów sprzedaży drobnodetalicznej pracujących we wszystkie soboty w sezonie wiosenno-letnim, 350 sklepów nieżywnościowych pracuje w pierwszą i ostatnią sobotę miesiąca.

Zarząd i Związki Zawodowe Spółdzielni na naradzie w czerwcu br. z udziałem przedstawicieli Wydziału Handlu UML w sprawie pracy wszystkich sklepów w centrum Łodzi nie zajęły negatywnego stanowiska. Zgłosiły swoje wnioski, których realizacja winna przyczynić się do spełnienia minimum warunków dla funkcjonowania placówek handlowych w wolne soboty, a mianowicie:

1) umożliwienie pracującym w handlu kobietom opieki nad dziećmi w żłobkach, przedszkolach, szkołach oraz dojazdów środkami MPK,

2) zagwarantowanie niezbędnych ilości środków transportowych dla dostaw towarów,

3) zapewnienie przez dostawców dostaw towarów do sklepów w terminach i ilościach zamawianych przez handel. Aktualnie w wolne soboty realizowane są dostawy tylko podstawowych artykułów żywnościowych, co stanowi ca 50 proc. ogółu dostaw,

4) zwolnienie z 12 proc. progu podatku od przyrostu ponadnormatywnych wynagrodzeń pracowników detalu,

5) pozyskanie obsady kadrowej do stanu pełnego zatrudnienia, występuje stały niedobór około 300 osób.

Stan na dzień dzisiejszy jest taki, że tylko problem 12 proc progu został załatwiony i to tylko w odniesieniu do wypłat za pracę w dni wolne od pracy.

Na rynku pracy nie nastąpiły zmiany korzystne dla handlu — braki kadrowe występują w takich samych rozmiarach jak w czerwcu br.

Nasuwa się pytnie, czy w tej sytuacji decydować się na uruchomienie wszystkich sklepów we wszystkie wolne soboty, wiedząc, że:

— około 50 proc. kobiet (na 90 proc. ogółem zatrudnionych) nie będzie mogło podjąć pracy w soboty nawet za godziwe wynagrodzenie. Nie będzie zatem możliwe zapewnienie sprawnej obsługi klientów,

— wprowadzenie obowiązku pracy w soboty i oddawanie wolnego dnia w innym dniu tygodnia wpłynie na pogorszenie sprawności obsługi (już i tak krytykowanej) w dni robocze z powodu zmniejszonych obsad personelu. Sygnały z Poznania potwierdzają nasze obawy,

— zaopatrzenie zarówno w artykuły spożywcze, jak i przemysłowe, o niedostatecznej podaży relatywnie pogorszy się, gdyż taka sama masa towarowa będzie rozłożona nie na 5, a na 6 dni.

Ponadto pragniemy poinformować, że zagadnienie pracy sieci w wolne soboty będzie nadal przedmiotem wnikliwej analizy Zarządu Spółdzielni, Oddziałów i Związków Zawodowych. W miarę usuwania istniejących barier będziemy dążyli do dalszego rozszerzania sieci sklepów czynnych w dni wolne od pracy.

inż. WŁODZIMIERZ PODGÓRSKI
wiceprezes zarządu ds. technicznych

TELEFON 36-77-70

W odpowiedzi na notatkę zamieszczoną w „Odgłosach" nr 46 z 14.11.1987 r. str. 14 (tel. 36-77-70) w sprawie oczekiwania przez Obywatelkę Irenę Lenarczyk na zainstalowanie telefonu Urząd Telekomunikacyjny Łódź-Północ wyjaśnia.

1. Oczekiwanie na telefon przez ob. I. Lenarczyk od 1978 r. oraz instalowanie telefonów w rejonie centrali z lat późniejszych nie jest pomyłką, przeoczeniem ani... złośliwością ze strony Urzędu. Urząd Telekomunikacyjny zgodnie z obowiązującymi zasadami jest zobowiązany do realizowania wniosków o instalację telefonów według następującej kolejności:

„Grupa A" — wnioski instytucji o instalacje telefonów, w tym wnioski o telefony służbowe

„Grupa B" — wnioski osób prywatnych: 1. Przeniesienia, 2. Wnioski pracowników resortu łączności, 3. Wnioski inwalidów I grupy zamieszkujących samotnie, 4. Wnioski rzemieślników prowadzących zakłady w lokalach użytkowych, 5. Pozostałe wnioski zgodnie z datą złożenia wniosku.

2. W rejonie centrali obsługującej rejon ul. Inflanckiej brak jest wolnych numerów centrali. Urząd rozdziela jedynie niewielką liczbę numerów zwalnianych w ramach ruchu ludności. Jednocześnie zalega 40 wniosków o przeniesienia, około 200 wniosków z pozostałych grup uprawnionych do załatwienia poza kolejnością i około 2.000 wniosków z lat 1976—78, które muszą być załatwione wcześniej niż wniosek obywatelki I. Lenarczyk. Z uwagi na to, że liczba wniosków uprawnionych do pominięcia kolejności jest 5-krotnie większa niż liczba zwalnianych numerów, numery te są przydzielane w większości przypadków na wnioski grupy A i przeniesienia, a w wyjątkowych przypadkach na wnioski ciężko poszkodowanych inwalidów I grupy samotnie zamieszkałych (osoby po amputacji kończyn, niewidomi).

3. Ob. Irena Lenarczyk złożyła wniosek o zainstalowanie telefonu 14.07.1978 r. Wniosek ten nie jest traktowany jako wniosek uprawniony do pominięcia kolejności, gdyż ob. I. Lenarczyk nie załączyła do wniosku orzeczenia KIZ o inwalidztwie I grupy oraz zaświadczenia o samotnym zamieszkiwaniu. Złożenie dokumentów jest warunkiem zaliczenia wniosku do wniosków uprawnionych do pominięcia kolejności. W odwołaniach obywatelka nie pisze, że jest inwalidką I grupy.

4. Urząd nie zobowiązał się do zainstalowania ob. I. Lenarczyk telefonu w 1986 roku. W ostatniej odpowiedzi na złożone w dniu 28.01.1983 r. odwołanie urząd informował obywatelkę że ponowne rozpatrzenie sprawy nastąpi w latach 1985—90.

5. W wyniku interwencji prasowej (artykuł w „Odgłosach" nr 46 z 14.11.1987 r.) sprawa została rozpatrzona przez komisję ds. przyznawania telefonów 13.11.1987 r. Komisja zaopiniowała wniosek negatywnie z ww. przyczyn.

Wnioski z lat 1976—78, w tym i wniosek ob. I. Lenarczyk zostaną ponownie rozpatrzone po rozbudowie sieci i centrali, co ma nastąpić w latach 1990—93. Przesunięcie terminu jest spowodowane zmianą terminu realizacji inwestycji w rejonie ul. Inflanckiej.

6. Proszę o zamieszczenie stosownego sprostowania z art. 31 i 32 Ustawy z dnia 26.01.1984 r., ponieważ użycie zwrotu „A może..." sugeruje czytelnikom, że dyrektor urzędu oczekuje od abonentki korzyści materialnej w zamian za pozytywne załatwienie sprawy.

BOLESŁAW DZIĘGIELEWSKI
dyrektor
Urzędu Telekomunikacyjnego Łódź-Północ

OD REDAKCJI: Nie bardzo rozumiemy, co mamy stosownie prostować, gdyż pełny tekst zdania zakończony słowami: „A może..." brzmi:

„Termin nie został jednak dotrzymany, co naszej Czytelniczce wydaje się tym dziwniejsze, iż zna osoby z bliskiego sąsiedztwa, które złożyły podania później, a mają już telefony. Pomyłka? Przeoczenie? A może...".

Stwierdzenie: „A może..." może też oznaczać, że zrobiły to krasnoludki. Lub co innego, co sobie każdy zechce dopowiedzieć.

Jeśli chodzi o art. 31 i 32 „Prawa prasowego", to zobowiązują one naczelnego redaktora do zamieszczenia sprostowania „na wniosek zainteresowanej osoby fizycznej, prawnej lub innej jednostki organizacyjnej", przy czym sprostowanie to ma być „rzeczowe i odnoszące się do faktów sprostowania wiadomości nieprawdziwej lub nieścisłej" oraz dotyczy „rzeczowej odpowiedzi na stwierdzenia zagrażające dobrom osobistym". Jakiż natomiast fakt tkwi w słowach: „A może..."?

Art. 31 i 32 „Prawa prasowego" odnoszą się do sprostowań nadsyłanych do redakcji a nie zamieszczanych przez redakcję z własnej woli. Autorowi należałoby najpierw udowodnić, że sugestia, jaką przyjął dyrektor UT jest prawdziwa. A przecież to jest tylko subiektywne odczucie, a nie żaden fakt lub naruszeni czyichś dóbr osobistych.

A tak na marginesie. Pytaliśmy, kogo miał na myśli Paweł Tomaszewski? Przysięga, że krasnoludki.

„KONFLIKT W KLUBIE JEŹDZIECKIM"

Proszę o wydrukowanie mojej wypowiedzi w sprawie tak zwanego „Konfliktu w Klubie Jeździeckim" w kolumnie „Polemiki, Listy, Opinie". Jako członek Zarządu Łódzkiego Klubu Jeździeckiego odpowiedzialny za sport mam prawo oczekiwać, że redakcja, mając na względzie zasadę obiektywizmu w podawanych informacjach, umożliwi Czytelnikom zapoznanie się ze stanowiskiem strony krytykowanej.

Łódzki Klub Jeździecki ma, szczególnie ostatnio, wyjątkowo przychylną opinię w oczach i piórach dziennikarzy piszących na tematy sportowe. Dlatego też z dużym zdumieniem przeczytałem artykuł red. Koprowskiego pt. „Konflikt w Klubie Jeździeckim", a później list Czytelnika podpisującego się inicjałami J.M. deklarującego swą miłość do koni i potępiającego w czambuł osiągnięcia sportowe jeźdźców ŁKJ. Nie będę ustosunkowywał się do krytycznych uwag zawartych w artykule p. Koprowskiego. Nie dotyczyły one działalności sportowej ŁKJ. Podczas konferencji prasowej (z udziałem red. Koprowskiego) przedstawiono dokumenty i fakty wyjaśniające bezzasadność zarzutów. Myślę, że sprawa tak zwanego „Konfliktu w Klubie Jeździeckim" została ostatecznie wyjaśniona i zakończona. Poinformowanie o tym Czytelników nie do mnie już należy. Czytelnik J.M. pokusił się o analizę osiągnięć sportowych jeźdźców ŁKJ w oparciu o artykuł panów J. Chachuły, D. Kędzierskiego i J. Łojka, który ukazał się w numerze 1/87 „Konia Polskiego". Podejrzewam, że Czytelnik J.M. niezbyt uważnie ten artykuł przeczytał. Tytuł tego artykułu brzmi „Czołowe Kluby i Sekcje Jeździeckie z lat 1981—1985" i omawia ocenę koni sportowych (nie jeźdźców!) 50 najlepszych Klubów i Sekcji Jeździeckich spośród około 200 istniejących w Polsce. Już sam fakt, że ŁKJ znalazł się w omawianej pięćdziesiątce jest godny raczej pochwały niż nagany, co zresztą jasno podkreśla tytuł artykułu. Tabela, na którą powołuje się Czytelnik J.M., a będąca integralną częścią artykułu, zatytułowana jest „Niektóre Dane Dotyczące Działalności Sportowej Klubów i Sekcji Jeździeckich w latach 1981—1985" (podkreślam słowo — „Niektóre") i nie jest rankingiem, ani żadnym innym zestawieniem wyników sportowych osiągniętych w 1986 r. — jak błędnie informuje Czytelnik J.M. Ma ona za zadanie wskazanie, przede wszystkim hodowcom koni, które ośrodki i w jakich konkurencjach jeździeckich najlepiej pracują z końmi przygotowując je do udziału w sporcie. Wynika to jednoznacznie z treści artykułu i tytułu tabeli.

Czytelnikowi J.M. proponuję ponowne uważne przeczytanie artykułu w „Koniu Polskim", a wówczas zapewne sam znajdzie rozwiązanie nurtujących go wątpliwości. Osobiście uważam, że 29 miejsce wśród około 200 ośrodków jeździeckich w Polsce jest miejscem dobrym. ŁKJ nigdy nie miał, nie ma i nie będzie miał takich możliwości, jak na przykład Stadnina Koni Rzeczna, która spośród kilkuset koni może co roku wybrać kilkanaście najlepszych do uprawiania sportu jeździeckiego, a która to stadnina, w omawianej tabeli oceniona została tak samo jak ŁKJ dysponujący 25 końmi. Stawka tych koni musi zresztą wystarczyć do obsługi jeźdźców wyczynowych, juniorów rozpoczynających swe starty i adeptów sportu jeździeckiego. W omawianym przez artykuł okresie, to znaczy w latach 1981—1985 jeźdźcy ŁKJ uzyskali najbardziej znaczące wyniki sportowe w historii ŁKJ. W okresie tym największa liczba zawodników ŁKJ dostąpiła zaszczytnego miana członka Kadry Narodowej.

Łódzki Klub Jeździecki stanowi enklawę w skomercjalizowanym sporcie polskim. Zawodnicy ŁKJ nie otrzymują żadnych stypendiów ani innych gratyfikacji z tytułu uprawiania sportu jeździeckiego. Jeżdżą konno sportowo wyłącznie dlatego, że naprawdę kochają konie. Dla nich szczególnie list Czytelnika J.M. jest wielce krzywdzący.

Zapraszam Czytelnika J.M. do Łódzkiego Klubu Jeździeckiego, aby mógł naocznie przekonać się jak wygląda praca statutowa w klubie i aby mógł szczegółowo zapoznać się ze wszystkimi osiągnięciami w całej historii ŁKJ — może zmieni zdanie.

WOJCIECH FRANKOWSKI
wiceprezes ds. sportu

„KAŻDEMU — ILE SOBIE ZAŁATWI"

W numerze 45 tygodnika „ODGŁOSY" z dnia 7 listopada 1987 roku, ukazał się mój tekst pt. „Każdemu — ile sobie załatwi". W zakończeniu podano informację, iż wszelkie dane personalne zostały zmienione. Niestety, na skutek mojego błędu nie uzupełniono tego zastrzeżeniem, że także nazwy miejscowości zostały zmienione. Użycie tego niezręcznego kamuflażu spowodowało zrozumiałe zaniepokojenie osób prywatnych i instytucji w miejscowościach Płoty i Gryfice w woj. szczecińskim. Niniejszym więc przepraszam wszystkich, którzy w żaden sposób nie są powiązani z faktami opisanymi w moim tekście, a z powodu mojego błędu mogli mieć jakiekolwiek komplikacje prywatne lub zawodowe.

JOLANTA WROŃSKA

Co łączyło Leona Kozłowskiego z Vidkunem Quislingiem?

Przeklęte imię zdrady

WITOLD BOROWY (1)

Na początek kilka opinii i poglądów

Z listu Mirosława Ponieckiego do redakcji:

„Niemcom nie udało się zorganizować nawet najmniejszego oddzialku, nawet kompanii czy plutonu, który by wsparł militarnie Wehrmacht. Fiasko było całkowite...

Podobną agitację hitlerowskie dowództwo wojskowe prowadziło i wśród innych narodowości. We wszystkich podbitych przez Niemcy faszystowskie krajach udało się im stworzyć sojusznicze formacje wojskowe — mniejsze lub większe jednostki zdrajców i kolaborantów.

Spośród powołanych do życia przez hitlerowców wojskowych formacji kolaboranckich szczególną rolę odegrali tzw. własowcy, tak ze względu na liczebność, jak i ogrom popełnionych zbrodni...

Szczególnie okrutną „sławą" okryli się własowcy podczas Powstania Warszawskiego, gdzie ich przeważnie pijane hordy dopuszczały się licznych zbrodni zarówno na powstańcach, jak i ludności cywilnej...

Wyjątkiem była Polska, gdzie nie powstał nie tylko planowany „Legion polski", ale nawet najmniejszy oddzialek, kompania, pluton w służbie okupanta".

Zapytałem młodą dziewczynę: — kim byli własowcy? — i otrzymałem następującą odpowiedź.

— Byli to Ukraińcy, którzy służyli Niemcom w czasie drugiej wojny światowej.

L. Karaczko napisał w „The Ukrainian Quarterly":

„...oskarżenie, że Ukraińcy uczestniczyli w zdławieniu Powstania Warszawskiego stoi w sprzeczności z oświadczeniami uczciwych i obiektywnych polskich historyków i obserwatorów. Prawdą jest, że winowajcami byli nie Ukraińcy, ale „własowcy" pod dowództwem Polaka, gen. Mieczysława Kamińskiego (który miał ojca Polaka i matkę Niemkę)".

Fragment z rozmowy I. Łariny ze znanym radzieckim historykiem A. Samsonowem opublikowanej w tygodniku „Argumenty i Fakty" pod tytułem „Wiedzieć i pamiętać":

Pytanie I. Łariny: — *Jeszcze jedna „biała plama" — losy armii generała Własowa. Nie znam książek historyków, w których mówiłoby się o tym bezpośrednio i otwarcie.*

Odpowiedź A. Samsonowa: — *Specjalnych badań i oddzielnej książki o generale Własowie i jego armii rzeczywiście nie ma. Własow dowodził 2 armią szturmową pod Leningradem. Po dostaniu się w okrążenie armia pozostała wierna przysiedze, natomiast sam Własow i niektórzy inni zdrajcy przeszli na stronę Niemiec.*

Kilka wypowiedzi, a ile w nich nieporozumień, błędnych opinii, wreszcie zwykłej niewiedzy. Wszędzie szukamy „białych plam" a jakoś nie potrafimy krytycznie spojrzeć na własne najnowsze dzieje. I w naszej historii są „białe plamy" które powstały nie dlatego że ktoś komuś nie pozwalał, ale dlatego, że lepiej pewnych spraw nie ruszać, bo... po prostu wstyd. Spróbujmy zatem wyjaśnić sobie niektóre sprawy, nie dlatego, aby kogokolwiek z tych, którzy zdradzili „rehabilitować", o tym nie może być w ogóle mowy, ale po to, aby wiedzieć, aby rozumieć, aby nie było mitycznych „białych plam".

Wyjaśnijmy może sobie na początku to,

CZY W POLSCE NIE BYŁO CHĘTNYCH DO WSPÓŁPRACY Z HITLEROWSKIMI NIEMCAMI?

Edmund Dmitrów wydał niedawno książkę pt. „Niemcy i okupacja hitlerowska w oczach Polaków. Poglądy i opinie z lat 1945—1948". Ryszard Marek Groński omawiając tę książkę na łamach „Polityki" wspomina refleksję Władysława Gomułki z października 1944 roku:

„Gdyby Hitler zaproponował reakcji polskiej takie warunki współpracy, jak np. reakcji francuskiej — polscy Quislingowie gryźliby się między sobą o możliwość współpracy z Hitlerem..."

Ale Adolf Hitler przygotowując atak na Polskę wyraźnie określił jego cel. Stwierdził to 22 sierpnia 1939 roku. Powiedział wówczas:

„Celem zaś naszym jest całkowite zniszczenie Polski".

Innym razem, tuż przed atakiem na Polskę mówił:

„Bądźcie brutalni. Słuszność jest po stronie silniejszego. Działajcie z największym okrucieństwem".

Teofil Kierski komendant XXVI komisariatu policji granatowej w okupowanej Warszawie zanotował w swoim pamiętniku pod datą 30 października 1939 roku:

„Wczoraj rozlepiono na murach Warszawy obwieszczenie nowego general-gubernatora ziem zajętych Franka. Z obwieszczenia wynika, że Polski nie ma i nie będzie. Polacy będą mogli kultywować swoje obyczaje. Żydzi nie będą mieli żadnych praw".

Jak w tych warunkach można było myśleć o jakiejkolwiek współpracy? A przecież Polacy próbowali traktować Niemców trochę na podobieństwo tych z czasów I wojny światowej. Gdy w Krakowie wezwano profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego, niby to na wykład o nauce, a w gruncie rzeczy, aby ich aresztować i wymordować w obozach śmierci, poszli jak gdyby nigdy nic, gdyż nie mogło im przejść przez myśl nawet, aby „kulturalni" Niemcy mogli być okrutnymi mordercami.

Były wszakże próby ze strony różnych sił niemieckich, aby przyciągnąć Polaków do współpracy. Czyniono to potajemnie i wbrew głównej linii polityki Adolfa Hitlera. Zwracano się do Zdzisława Lubomirskiego, Leona Sapiehy, Alfreda Potockiego, Adama Ronikiera, Stanisława Estreichera, Władysława Kucharzewskiego, Wincentego Witosa, Macieja Rataja, Błażeja Stolarskiego, Władysława Studnickiego. Bez rezultatu. Nikt nie zdobył się na akt kolaboracji, nikt nie odważył się zdradzić Polski.

A przecież znalazł się kandydat na „polskiego Quislinga". Był nim prof. Leon Kozłowski — premier rządu polskiego w latach 1934—1935. Bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego. Po zakończeniu kampanii wrześniowej 1939 roku znalazł się w ZSRR, a po podpisaniu 30 lipca 1941 roku układu między premierem rządu polskiego w Anglii Władysławem Sikorskim a ambasadorem ZSRR w Londynie Iwanem M. Majskim o wzajemnej współpracy — której zresztą był zaciekłym przeciwnikiem — znalazł się w kręgu współpracowników ambasadora polskiego Stanisława Kota (raczej technicznych niż politycznych). To go wyraźnie złościło, bo nie zaspokajało megalomańskich ambicji. Dążył usilnie do tego, aby stać się referentem politycznym gen. Władysława Andersa, który na wieść o tych zamiarach gwałtownie zareagował okrzykiem:

— Nie potrzebuję żadnych referentów politycznych, a Leosia do niczego!

Rozczarowany w swoich politycznych ambicjach przeszedł na stronę Niemców z zamiarem utworzenia „rządu". Niemcy to chętnie wykorzystali i zorganizowali mu 11 stycznia 1942 r. konferencję prasową dla dziennikarzy zagranicznych. Co ciekawe organizatorem tej konferencji było MSZ a nie Ministerstwo Propagandy. Konferencja odbyła się w Berlinie. Stało się to w miesiąc po rozmowach gen. Władysława Sikorskiego z Józefem Stalinem.

„Ta propagandowa szopka — pisał w „Przeglądzie Tygodniowym" nr 38 z 1986 r. Jacek Wilamowski — *wywołała, rzecz jasna, oburzenie zarówno Sikorskiego, jak i Stalina, była też przedmiotem specjalnych oświadczeń ministrów spraw wewnętrznych i informacji rządu emigracyjnego. W bezpośredniej rozmowie ze Stalinem, 18 marca 1942 r. Anders próbował załagodzić incydent tłumacząc, że Kozłowski nie ma żadnego wpływu politycznego zarówno na emigrację, jak i w kraju, a jest jedynie niepoprawnym i uciążliwym dla otoczenia megalomanem, postacią nędzną i raczej komiczną. Stalin jednak zdania nie zmienił".*

Inicjatywa ta wywołała wiele niepotrzebnego i szkodliwego zamieszania. Nic z tego nie wyszło. Leon Kozłowski zmarł 11 maja 1944 roku w Berlinie na atak serca. Stało się to podczas alianckiego nalotu, co pozwoliło snuć różne domysły i domniemania, że mu ktoś pomógł rozstać się z tym światem.

Czyn Leona Kozłowskiego i jego intencje historia oceniła surowo i jednoznacznie, ale przecież tu i ówdzie spotyka się nieśmiałe próby jego jakby rehabilitacji. Jacek Wilamowski we wspomnianym artykule pisze, że w 1950 roku *„żołnierskie koło 1 p. ułanów Legionów Beliny wystąpiło na emigracji z wnioskiem o rewizję procesu Leona Kozłowskiego. Gen. Anders uchylił się jednak od podjęcia tej sprawy".*

Gwoli prawdy trzeba wspomnieć również o podziemnej organizacji „Miecz i Pług" Anatola Słowikowskiego, która zabiegała o przychylność okupanta, o grupach NSZ, które próbowały współpracy, a także o tym, że gestapo miało wśród Polaków swoich wypróbowanych agentów. Do dziś przecież — mimo wielu hipotez — nie wiemy dokładnie, kto wydał gen. Stefana Roweckiego „Grota" jak też wiele innych spraw pozostaje nadal nie wyjaśnionych, a rodzą one bardzo brzydkie podejrzenia.

I wreszcie ostatnia sprawa: granatowa policja. W świadomości Polaków powoli utrwala się stereotyp, że byli to wspaniali konspiratorzy, którzy poszli na służbę do Niemców tylko dlatego, że tak kazały im ich tajne organizacje, do których należeli. W poszczególnych wypadkach tak było istotnie, ale również wśród granatowych policjantów byli ludzie podli, bez sumienia, którzy wysługiwali się Niemcom, wcale nie z konspiracyjnego nakazu. Niestety, jak do tej pory nikt nie podjął tego tematu. Nie napisano żadnej dobrze i rzetelnie udokumentowanej książki. Ot i mamy wcale niemałą własną „białą plamę". Temat to „tabu", bo może się okazać przykrym dla naszego dobrego narodowego samopoczucia. A przecież powinniśmy znać prawdę. Już choćby dlatego, żeby próbując osądzać innych, wiedzieć, że sami tak zupełnie bez grzechu tośmy też nie byli...

Skoro padło tu już nazwisko Quislinga, to może warto byłoby przypomnieć

KIM BYŁ VIDKUN ABRAHAM LAURITZ QUISLING?

A warto wiedzieć dlatego, że jest to jedno ze znienawidzonych imion zdrady. Tym mianem do dziś określa się wszystkich, którzy próbowali kolaborować z hitlerowskimi Niemcami w czasach II wojny światowej.

Vidkun A. L. Quisling urodził się w 1887 roku. Był zawodowym wojskowym, dyplomatą. W latach 1931—1933 był ministrem wojny rządu norweskiego. Z przekonań był faszystą. Już w 1930 roku usiłował nawiązać kontakt z ruchem nazistowskim w Niemczech, ale nikt go poważnie nie potraktował. Jako minister wojny próbował wmontować Norwegię w wojnę z Danią, próbując oderwać wschodnią Grenlandię od Danii. Rząd norweski przeciwstawił się takim próbom i Vidkun Quisling musiał odejść ze stanowiska ministra wojny. Rozpoczął więc działalność partyjną i założył na wzór faszystów niemieckich partię faszystowską pod nazwą: Nasjonal Samling.

W 1933 roku doszło do jego spotkania z ideologiem rasizmu w NSDAP Reichsleiterem nie i Norwegię stał się mo- Alfredem Rosenbergiem. Podczas pobytu w Berlinie Vidkun Quisling nawiązał liczne znajomości z hitlerowskimi osobistościami i otrzymał — na rozwój Nasjonal Samling — 6 milionów marek. W zamian pomógł Alfredowi Rosenbergowi opracować memoriał o polityczno-strategicznym położeniu Norwegii. Można powiedzieć, że już wtedy sprzedał Norwegię hitlerowcom za przyszłe osobiste korzyści.

Po wybuchu II wojny światowej zamierzał dokonać zamachu stanu przy pomocy bojówek Nasjonal Samling i dosłanych mu z Berlina „turystów", którymi w rzeczywistości byliby bojówkarze SA. Wsparcia miała mu też udzielić Kriegsmarine. Ale Niemcy plan taki przyjęli do wiadomości i na tym poprzestali. Mieli własny plan opanowania Norwegii bez udziału i pomocy Vidkuna Quislinga.

Irena Bednarek i Stanisław Sokołowski w książce „Fanfary i werble. Kulisy wielkiej zbrodni" cytują fragmenty dyrektywy Adolfa Hitlera dotyczącej jednoczesnego podboju Danii i Norwegii.

„Rozwój wypadków na Półwyspie Skandynawskim wymaga poczynienia przygotowań do okupacji Danii i Norwegii przez część niemieckich sił zbrojnych. W ten sposób zapobiegnie się zamachowi Anglii na Półwysep Skandynawski i Bałtyk; poza tym zabezpieczy to nam dowóz rudy ze Szwecji i da naszej marynarce i lotnictwu szersze bazy wyjściowe przeciwko Wielkiej Brytanii..."

Chociaż w opanowaniu Danii i Norwegii nie liczono się z pomocą Vidkuna Quislinga i jego bojówek, to atak na Danię i Norwegię nastąpi w najbliższych dniach. Wrócił do Oslo, aby nie przegapić tego momentu.

9 kwietnia 1940 r. o godzinie 4.20 rano ambasador III Rzeszy w Oslo Curt Bräuer przedstawił rządowi norweskiemu ultimatum, które było fikcją, gdyż już na norweskich lotniskach lądowali niemieccy spadochroniarze. Norwedzy jednak podjęli walkę.

W ambasadzie III Rzeszy w Oslo przebywał specjalny wysłannik gen. Nikolausa Falkenhorsta — płk. Polhman. Byli razem, z ambasadorem Curtem Bräuerem, gdy zjawił się młody SA-man, wysłannik Reichsleitera Alfreda Rosenberga i zakomunikował im, że Vidkun Quisling zostaje premierem i mianuje ministrów. Bardzo ich to zaskoczyło. Podobnie jak dowódcę dywizji niemieckiej, która zajęła Oslo, gen. Erwina Engelbrechta. Chciał on w hotelu „Continental" rozlokować swój sztab i dowiedział się, że trzecie piętro zajął niejaki Vidkun Quisling ze swoimi bojówkami. Zadzwonił więc do ambasady III Rzeszy w Oslo i zapytał:

— Czy mógłbym go aresztować?

— *Nie* — usłyszał w odpowiedzi. — *Pan Quisling jest pod opieką Reichsleitera Alfreda Rosenberga.*

Na wszelkie interwencje u gen. Nikolausa Falkenhorsta słyszano tylko:

— Ręce precz!

Na Vidkuna Quislinga postawili bowiem: Adolf Hitler, Reichsführer Heidrich Himmler i Reichsleiter Alfred Rosenberg. I to mimo tego, że wojskowi: gen. Franz Halder i wielki admirał Erich Raeder przestrzegali, że za Vidkunem Quislingiem nikt nie stoi — poza grupą awanturników, którzy wszędzie się znajdą — że nie popiera go żadna z liczących się norweskich osobistości. Przestrogi te sprawdziły się. Naród norweski przystąpił — mimo klęski i hitlerowskiej okupacji — do walki o swoje wyzwolenie i nienawiścią obdarzył Vidkuna Quislinga i jego zwolenników. Zresztą nie spełniły się też marzenia o nieograniczonej władzy norweskiego zdrajcy, gdyż nad nim był hitlerowski namiestnik — Joseph Terboven.

Po klęsce III Rzeszy Vidkun Quisling został pojmany i osadzony. Spotkała go zasłużona kara. Został stracony w 1945 roku. A w pamięci ludzi jego nazwisko pozostało jako synonim zdrady.

Panorama

ALBANIA

Claus Gennrich z „Frankfurter Allgemeine Zeitung" który był w Tiranie podczas wizyty ministra spraw zagranicznych RFN — Hansa-Dietricha Genschera tak opisuje główną ulicę stolicy Albanii — Bulwar Bohaterów Narodu.

„Bulwar zakończony jest z jednej strony pomnikiem Skanderbega na koniu, narodowego bohatera walczącego w przeszłości z Turkami, z drugiej fontanną. Niedaleko stąd na białych marmurowych postumentach, naprzeciw siebie stoją Jossif Wissarionowicz Dżugaszwili, zwany Stalinem oraz Władimir Iljicz Lenin. Lenin trochę przygarbiony, Stalin wyprostowany, z żołnierską czapką na głowie i z ojcowskim uśmieszkiem na ustach, jedna ręka w napoleońskim geście schowana pod płaszczem, w drugiej zwój dokumentów. Na pomnikach nie ma żadnych napisów. Pinie i cedry okalają żelaznego dyktatora. W jego cieniu odpoczywają obywatele Tirany, niektórzy śmieją się skrycie z obcych, którzy oglądają go, jak by był czymś niecodziennym. W jednej z bocznych uliczek, tuż za jakąś budową znowu spotykamy Stalina, ale tym razem tylko jego popiersie".

BUŁGARIA

Władze postanowiły stworzyć ludziom możliwość rozwijania hodowli i dostarczania żywca do punktów skupu. Pojawili się jednak ludzie, którzy próbowali taką inicjatywę storpedować. Telewizja bułgarska pokazała niedawno reportaż o skutkach takiego działania. Pokazano zdemolowane pomieszczenia wybudowane wysiłkiem obywateli, które decyzją władz lokalnych zaplombowano oraz wydano zakaz wytwarzania potrzebnych artykułów spożywczych. Pokazano też chlewnię, w której było 20 świń, kurnik, w którym były nioski dające 200 tysięcy jaj rocznie, zrujnowane pieczarkarnie i szklarnie. Decyzje władz lokalnych, które doprowadziły do likwidacji rolnej produkcji, uznano za samowolne. Jeden z uczestników rozmowy o tej sprawie, zapytany o powód takiego działania, powiedział: — *Nie chodzi o to, aby było lepiej, ale żeby sąsiadowi nie powodziło się zbyt dobrze.*

Skąd my to znamy?

CSRS

Z okazji obchodów 70 rocznicy Rewolucji Socjalistycznej w Rosji w Ostrawie odbyła się manifestacja, podczas której młodzież niosła w pochodzie portrety Józefa Stalina. Jeden z uczestników tej demonstracji powiedział o Józefie Stalinie, którego pomnik znajduje się w Ostrawie: — *Wielu z nas ma go nie tylko na cokole, ale i w sercu.*

Również w Ołomuńcu, gdzie znajduje się pomnik Włodzimierza Lenina i Józefa Stalina na jednym cokole, złożono wieńce i kwiaty. W Czechach i na Słowacji w tym czasie odsłonięto kilka pomników Włodzimierza Lenina.

Korespondent PAP w Pradze, Leszek Mazan przypomina, że przed kilkoma miesiącami telewizja CSRS emitowała film o Klemensie Gottwaldzie, w którym Józef Stalin *„występował jako wielki, troskliwy przyjaciel czechosłowackich komunistów oraz narodu czeskiego i słowackiego".*

JUGOSŁAWIA

Warszawski korespondent belgradzkiego dziennika „Politika" — Ilija Marinković w artykule o sporze o podręcznik dla szkół związany z wychowaniem w rodzinie tak pisze:

„Podręcznik wychowania seksualnego, po raz pierwszy wydany i wykorzystywany w polskich szkołach średnich, wywołał w kołach katolickich falę protestów, która szybko przerodziła się w prawdziwą nagonkę przeciwko autorowi tej książki i władzom oświatowym. Do kampanii przyłączył się przewodniczący PRON, znany działacz katolicki i pisarz, Jan Dobraczyński, co wpłynęło, że ministerstwo czasowo zawiesiło korzystanie z podręcznika „Przygotowanie do życia w rodzinie". Cała sprawa stała się nie planowaną reklamą książki, której półmilionowy nakład rozszedł się, zanim różni mo-raliści rozpalili ogień na przygotowanym stosie".

Ano, jak nas widzą, tak nas piszą!

ZSRR

Wysłannik jugosłowiańskiego tygodnika „NIN" Aleksander Novaczić przeprowadził rozmowę z autorem znanej już i w Polsce książki „Ludzie Stalina", Royem Miedwiediewem. W czasie tej rozmowy Roy Miedwiediew opowiedział o okolicznościach znalezienia notatki Josipa Broz Tito do Józefa Stalina. Oto treść tej sensacyjnej notatki:

„Towarzyszu Stalin, przestań wysyłać swoich agentów do Jugosławii z rozkazem, by mnie zabili. Złapaliśmy siedmiu twoich ludzi, którzy zamierzali to uczynić. Jeśli to się nie skończy, będę zmuszony wysłać swego człowieka do Moskwy, a jeśli to zrobię, nie będzie potrzeby wysyłać następnego. Tito".

Notatkę tę znaleziono po śmierci Józefa Stalina w szufladzie jego biurka, pod papierem wykładającym szufladę. Roy Miedwiediew przytoczył ją w swojej książce „Stalin i stalinizm".

JANUSZ JARZĄBSKI

Charles de Gaulle był politycznym wizjonerem.

Stawiać wielkie kroki

Rozmowa z ANDRZEJEM BILIKIEM, dyrektorem Programów Informacyjnych Telewizji Polskiej

Zacznijmy naszą rozmowę od postaci — dziś już historycznej — która jest panu bliska: od Charles'a de Gaulle'a. Skąd się wzięło u pana zainteresowanie generałem? Czy jest to fascynacja osobowością tego człowieka czy też jego działalnością polityczną?

— Są to zainteresowania bardzo stare i bardzo dawne. Datują się jeszcze z moich lat studenckich i miały związek z faktem, że niemal trzydzieści lat temu, w 1958 roku, byłem po raz pierwszy jako student we Francji i de Gaulle wtedy akurat wrócił do władzy. We Francji wówczas dużo się mówiło na temat tego człowieka i siłą rzeczy ja także zainteresowałem się tą postacią, zwłaszcza widząc jak wielce zainteresowani nim są jego rodacy. Francja znajdowała się wtedy w trudnej sytuacji kryzysowej: ze względu — także — na prowadzoną wówczas wojnę kolonialną w Algierii, gdzie zginęło dużo młodych Francuzów. I wszystkie nadzieje na rozwiązanie tego problemu — i innych problemów gospodarczych — wiązano z de Gaulle'em. To był początek. Poza tym wiedziałem, że de Gaulle ma pewne związki z Polską.

— Jadąc do Francji musiał pan sporo wiedzieć o de Gaulle'u, bowiem był to polityk, o którym zawsze było głośno w powojennej Europie.

— Wiedziałem, choć nie wszystko do końca. W polityce zorientowany byłem słabo, natomiast podobał mi się człowiek, sama postać. Znałem mit wojenny de Gaulle'a, jego nieujarzmionego ducha w okresie, gdy Francja się poddała. Ponadto wiedziałem, że był w Polsce w latach 1919—1921, że już wtedy wypowiadał się w sprawach Polski, a wkrótce, to jest w trudnych dla nas czasach, jako pierwszy wśród polityków zachodnich wypowiedział się aprobująco o naszej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Następna sprawa: moje zainteresowania wzrosły dlatego, że de Gaulle okazał się bardzo szybko wizjonerem w sprawach polityki międzynarodowej...

— Myślę, że był po prostu realistą.

— De Gaulle był pierwszym mężem stanu na Zachodzie, który wypowiedział się za porozumieniem, współpracą i odprężeniem. To przecież on mówił o Europie od Atlantyku po Ural. I to wtedy, gdy nikt o tym nawet nie myślał.

— Zostawiając na chwilę wielką politykę, chcę pana zapytać o sprawę prywatną: skąd się wzięły te pańskie frankońskie zainteresowania?

— Tego już nie potrafię dziś wyraźnie określić. Myślę, że ze stosunkowo wczesnego kontaktu z językiem, co nie oznacza, że wtedy mogłem mówić o jakiejś głębszej znajomości francuskiego. Właściwie był to pierwszy język obcy, który dość przyzwoicie opanowałem. Potem już całe dorosłe życie, aż po dziś dzień, pozostawałem i pozostaję w kręgu tego języka, co mnie jednocześnie trochę ograniczyło, gdyż do tej pory słabo znam angielski.

— Mimo to kilkanaście lat spędził pan za granicą.

— Pierwszy raz wyjechałem na dłużej do Algierii jako attaché prasowo-kulturalny naszej ambasady. Było to w latach 1965—1969.

— A więc znów de Gaulle! Jego nazwisko na stałe zrosło się z wojną wyzwoleńczą Algierczyków.

— Tak, we Francji jest to ciągle jeszcze okres de Gaulle'a. Dla mnie osobiście był to wówczas okres pasjonujący, ponieważ był to wtedy kraj młody, mijały trzy lata od uzyskania niepodległości, a więc kraj tworzący się, powstający. Jednocześnie bardzo interesowałem się sprawami francuskimi.

— Jaki był stosunek Algierczyków do de Gaulle'a?

— Wyśmienity. Proszę pamiętać, że był to po pierwsze człowiek honoru, a oni bardzo sobie cenią ludzi honoru, po wtóre był to ten, który doprowadził Algierię do niepodległości. Można dziś powiedzieć, że walka wyzwoleńcza tego narodu, to była obiektywna konieczność, ale była to też i postawa de Gaulle'a, który tę konieczność zrozumiał, który doprowadził do rokowań, a w końcu do uzyskania niepodległości przez tę kolonię francuską.

— A więc niemal narodowy bohater dla Algierczyków?

— Jest bardzo szanowany po dziś dzień.

— Był pan następnie w Belgii...

— Tak, w Brukseli, jako korespondent radia i telewizji na kraje Beneluxu. Zajmowałem się sprawami Wspólnego Rynku, Paktu Północno-Atlantyckiego. Ale często jeździłem do Paryża. Później w latach 1981—1986 byłem już korespondentem we Francji. A więc pięć lat śledziłem wydarzenia francuskie na miejscu. Mogę więc powiedzieć, że przez piętnaście lat mego pobytu za granicą znajdowałem się nieustannie w kręgu spraw francuskich.

Z tych moich kontaktów powstało kilka publikacji. Przed rokiem wydałem reportaże o młodzieży francuskiej pt.: Paul, Nicol i inni", w tej chwili znajduje się u wydawcy książka moich wspomnień reporterskich pt.: „Piórem i kamerą". Wszystko to w wydawnictwie MAW. No i wreszcie piszę książkę o de Gaulle'u. Nie jest jeszcze gotowa. Będzie nosiła tytuł:, „Charles de Gaulle czyli mit współczesny" również dla wydawnictwa MAW. Jeśli mi się uda złożyć to na wiosnę 1988 roku, to książka ukaże się na stulecie urodzin de Gaulle'a, czyli w 1990 roku. Dlaczego piszę? Bo stwierdzam, że de Gaulle jest żywy dziś bardziej niż kiedykolwiek, że cała niemal Francja dziś do niego się przyznaje, że jego idee potwierdziły się w wielu miejscach, że wyprzedzał po prostu epokę zarówno własnego kraju, jak i w skali międzynarodowej. Słowem — jest mit de Gaulle'a, a wszyscy we Francji, nawet ci, którzy z nim walczyli — jak Francois Mitterrand — który dziś powiada, że walczył z de Gaulle'em politycznie, natomiast uważa, że była to wielka postać, wybitny Francuz. Inni natomiast, którzy wypowiadają się na temat Mitterranda, mówią, że walczył z de Gaulle'em, a w jego garnitur prezydencki wszedł jakby w garnitur krojony dla siebie na miarę. Czyli, że odpowiada mu ta rola prezydencka, jaką stworzył w swoim czasie de Gaulle, który przecież wprowadził system prezydencki V Republiki Francuskiej.

— A czy idee generała de Gaulle'a znajdują miejsce w dzisiejszej Francji? Myślę o Francji, która jest obecnie zarówno członkiem EWG jak i NATO, czemu jak wiemy, generał był przeciwny.

— Jak najbardziej jego idee są popularne, choć może nie do końca, bo nie ma de Gaulle'ów. Nie tylko bowiem epoka jest inna, ale przede wszystkim nie ma w ruchu gaullistowskim wielkich postaci, osobowości. Historyczni gaulliści są jakby na marginesie, zresztą są to dziś starsi panowie, wszyscy po siedemdziesiątce i więcej. Natomiast następcy, którzy przejęli berło, jak Jacques Chirac, premier, szef ruchu gaulistowskiego, jest raczej następcą Georgesa Pompidou. A przecież Pompidou nie był całkowicie następcą we wszystkich punktach generała de Gaulle'a. Przejął co prawda berło prezydenckie, ale przejął je jakby nie był to rodzaj pewnej schizmy w gaulliźmie. Proszę pamiętać, że Pompidou nie był uczestnikiem walk wyzwoleńczych, stał na uboczu w czasie wojny, a mit gaullistowski to była właśnie także walka o wyzwolenie Francji w czasie II wojny światowej przeciwko reżimowi Petaina.

— O ile sobie przypominam marszałek Philippe Petain był promotorem młodego oficera, jakim był na początku swej kariery Charles de Gaulle...

— Początkowo, ale skłócili się dość szybko, na początku lat trzydziestych. Petain wziął — wówczas majora — de Gaulle'a do pracy w swoim gabinecie wojskowym. W pewnym momencie Petain zamówił u swego podwładnego de Gaulle'a pracę na temat armii francuskiej. De Gaulle napisał. Kiedy miano ją wydać drukiem, okazało się, że Petain zamierza wydać ją pod własnym nazwiskiem. A więc potraktował de Gaulle'a jak przysłowiowego Murzyna. Doszło między nimi do sceny dramatycznej i drogi ich rozeszły się na zawsze. De Gaulle pracę wydał pod własnym nazwiskiem. Od tego czasu wszystko ich dzieliło. Z promotora Petain stał się zawziętym wrogiem de Gaulle'a. A w 1940 roku doszło między nimi do konfliktu totalnego. Resztę znamy z najnowszej historii.

— Powrócę do mojego pytania, gdyż pańska odpowiedź nie wyjaśnia ostatecznie sprawy, czy idee generała de Gaulle'a znajdują uznanie w dzisiejszej Francji. Proszę zatem o rozwinięcie tego zagadnienia.

— Ależ tak, znajdują. Proszę przypomnieć sobie: Europa od Atlantyku po Ural, odprężenie. Przecież o tym świat dopiero teraz zaczyna mówić. To dziś mówi się, że należy patrzeć na to co łączy ludzi, a nie na to co ich dzieli. Mówi o tym Michaił Gorbaczow, mówi Wojciech Jaruzelski. Ale w momencie, kiedy to samo mówił de Gaulle, uważano że staruszek żyje nie na tym świecie. Na to trzeba było czasu. Proszę przypomnieć sobie jego ideę o współudziale zatrudnionych w zarządzaniu przedsiębiorstwem. Czyż tym także nie wyprzedzał swojej epoki?

— Zapewne. Ale ta idea, między innymi, przyczyniła się do upadku generała. De Gaulle przegrał.

— Przegrał. Bo wielki kapitał nie chciał absolutnie na to pójść. Uważano go za Don Kichota. A dziś w tym kierunku się idzie, co prawda na Zachodzie Europy częściowo, ale się idzie. Wie pan, był to człowiek wielki i w tamtym czasie nie wszyscy za nim nadążali. Stawiał za wielkie kroki. Było w nim przemieszanie dwóch cech: poczucie własnej wielkości oraz skromność. Chcę zwrócić uwagę, że był to człowiek, który niczego nie miał, niczego się nie dorobił, niczego nie zagarnął, nie zostawił rodzinie żadnych zasobów materialnych.

— A co pana zafascynowało w tym człowieku: jego osobowość czy jego polityka?

— Jedno i drugie. Interesuję się polityką, więc de Gaulle interesuje mnie jako polityk i mąż stanu. Wie pan na czym polegała m.in. genialność tego człowieka? On pierwszy uświadomił, pierwszy spośród mężów stanu naszego stulecia, nie rolę propagandową informacji, ale rolę radia i telewizji. Znakomicie wykorzystał np. radio poczynając od apelu 18 czerwca 1940 roku w emisji BBC, a później rolę telewizji w oddziaływaniu na społeczeństwo. Ale to raczej marginesprawy. Fascynuje mnie jako wizjoner polityczny, jako człowiek bezinteresowny, w końcu jako ktoś, kto posiadał nieprzeciętne zdolności literackie. Przy tym miał do Polski słabość. Interesował się Polską, miał z nią bliskie związki, choćby z racji pobytu u nas w latach 1919—1921 jako młody oficer, wykładowca wojskowy w Rembertowie. Później interesował się Polską w latach ostatniej wojny zdając sobie sprawę z naszego losu. Wielokrotnie rozmawiał z polskimi przywódcami i politykami, miał bliskie kontakty z Władysławem Sikorskim, w sprawach Polski negocjował w 1944 roku ze Stalinem, a potem wypowiedział się — przypominam, jako pierwszy i jedyny z polityków Zachodu — o granicy na Odrze i Nysie. No i wreszcie ta wspaniała podróż do Polski przed dwudziestu laty 6—11 września 1967 roku.

— Wróćmy zatem do dnia dzisiejszego. Został pan dyrektorem Programów Informacyjnych tv. Co zamierza pan zmodyfikować lub zmienić w tych dość statycznych przekazach, jakim jest choćby wieczorne wydanie dziennika telewizyjnego?

— Wkrótce minie dwa lata od mojego powrotu do Polski. Przez długi czas miałem kłopoty z zatrudnieniem, ponieważ poprzednie kierownictwo tv nie wyrażało nadmiernego zainteresowania moją osobą. Ale wszystko jest dobre, co dobrze się kończy: we wrześniu przyjęto mnie do pracy i dano stołek dyrektorski. Z pozoru jest to rzecz prosta i łatwa. Obecna dyrekcja informacji obejmuje dawne dzienniki tv oraz nowe: Teleexpress, Panoramę Dnia, a także Teletext czyli telegazetę, którą będziemy tworzyli, no i pewnie jeszcze inne rzeczy. Sprawa jest trudna: bo jeżeli przyjęły się i bardzo dobrze idą Teleexpress i Panorama Dnia, o tyle tradycyjne dzienniki są oglądane, ale bez większego przekonania. Poza tym uważa się, że one są nazbyt oficjalne, propagandowe. I tu jest bardzo wiele do zrobienia. Pewne rzeczy już zaczęliśmy: otworzyłem studio szerzej i zapraszam do niego wiele osób z zewnątrz, w tym także artystów, literatów, polityków, słowem ludzi różnych zawodów, którzy na żywo u nas występują. Wydaje mi się, że jest to trochę świeżego powietrza, choć nie jest to jeszcze ostateczne rozwiązanie. Musimy ograniczyć protokół, ograniczyć wizyty, narady. Ale nie jest to proste, ponieważ nie wszyscy decydenci są przygotowani do nowych metod, a przy tym demokratyzacja w Polsce sprawia, że więcej osób zyskuje prawo do pokazywania się w telewizji o 19,30. Jednak myślę, że uda nam się przekonać jednych i drugich, że nie jest to najlepsza metoda, owe częste pokazywanie się w okienku tv. Czasami jest lepiej pojawić się rzadziej, jak to robił de Gaulle, natomiast ciekawiej.

Nie zawsze też mamy do czynienia z wielkimi indywidualnościami telewizyjnymi. Bywają okresy chudsze i tłustsze. Myślę że chudsze minęły i znajdą się nowe talenty. Trochę ich mamy wokół siebie — słowem, zdaję sobie sprawę ze słabości tych programów informacyjnych, ale jestem gotów mocno zawinąć rękawy, by coś zmienić na lepsze. Już prawie z telewizji nie wychodzę. Sojuszników mam, wśród ludzi światłych, przełożonych i politycznych decydentów. A tak na marginesie: bardzo bym sobie życzył, aby było trochę więcej życzliwości ze strony krytyki, która potrafi nas zmiażdżyć, co nie zawsze jest uzasadnione. Chciałbym, aby zdawano sobie sprawę z pewnych imponderabiliów, z kontekstu ogólnego, i żeby krytyka była życzliwa. Nie chciałbym, aby krytykowali nas ci, którzy odmawiają z nami współpracy.

— Wprowadził pan także własny program, poświęcony politykom...

— Nazywa się on „Polityka — politycy". Jest to program autorski i ma — poza innymi — i tę słabość, że nie doczekał się stałego pasma antenowego. Maszeruje w różne dni i o różnych porach, co sprawia, że nie ma on zbyt wielu widzów. Według oceny skupia przed telewizorami od 1,5 do 2 mln osób. A więc jest to raczej skromna liczba. Co to jest za program? Prezentuję sylwetki polityków, mężów stanu żyjących — wyjątek uczyniłem dla de Gaulle'a z okazji 20 rocznicy jego wizyty w Polsce — i to takich, z którymi bądź stykałem się, bądź czuję się z nimi w jakiś sposób związany, i pod których wpływem na „tak" lub na „nie" pozostaję. Pierwszy program z tego cyklu ukazał się w sierpniu 1986 r. i był o Francois Mitterrandzie, natomiast najbliższy ukaże się w niedzielę 22 listopada i jest poświęcony królowi Maroka Hassanowi II.

— Pański program w jakiejś mierze pozostaje paralelny z programami Zygmunta Broniarka pt. „Kulisy wielkiej polityki".

— Owszem, mają one pewien związek. Ale są z gruntu odmienne, jak zresztą my obaj z Broniarkiem stanowimy odmienne typy charakterologiczne i osobowe. W dodatku on ma lepszą pamięć, gdyż jest zdolny w ciągu paru godzin wyuczyć się ogromnego tekstu. Natomiast ja pracuję wiele godzin i nie potrafię się nauczyć, więc zdarza się, że improwizuję, a nawet jestem nieraz zmuszony zajrzeć do leżącej przede mną kartki.

— Zna pan dobrze Zachód. Proszę powiedzieć, jak nas tam dzisiaj odbierają?

— Bywało z tym różnie. Niegdyś z sympatią, ale ostatnie lata skomplikowały sprawy, przede wszystkim dlatego, że kwestia polska była rozumiana instrumentalnie, grano tą sprawą, manipulowano. We Francji szczególnie bardzo ostro. Załatwiano sprawy francusko-francuskie przy użyciu polskiej piłki, co sprawiło, że cały czas chwalono niby naród polski, natomiast krytykowano władze i rząd. Rozróżniano państwo i naród, co jest rzeczą w tym przypadku głęboko niesłuszną. Ale jest już trochę lepiej. Sytuację psuje ogromna liczba młodych Polaków—emigrantów, którzy nie zawsze wystawiają nam najlepsze świadectwo. Czyli o wielkiej miłości do Polaków w tej chwili nie można mówić, ale nie ma też i niechęci.

— A politycy? Jaki jest ich stosunek do Polaków?

— Politycy mówią z zainteresowaniem o Polsce i o Polakach, ale jest to zainteresowanie mylące. Kiedyś rozmawiałem z Jacquesem Chirac'iem o sprawach polskich. Mówił ciepło i życzliwie, a na końcu zaznaczył: nie wolno panu tego opublikować, bo mówiłem to prywatnie.

— A syn generała de Gaulle'a? Co on o nas sądzi?

— Admirał Philippe de Gaulle przysłał mi obszerny list, w którym zapewnia o swoim zainteresowaniu Polską, wspomina o ojcu itp. Jest to cenny dokument.

— Chciałbym teraz zadać panu prywatne pytanie, dotyczące pańskiego prywatnego życia. Ile godzin dziennie pan odpoczywa?

— Mam na odpoczynek bardzo mało czasu. Żona krytycznie — choć cechuje ją ogromna tolerancyjność — podchodzi do moich nowych zajęć, ponieważ widuje mnie rzadko. Dzieci tak samo. Przeważnie w telewizji siedzę do 22 wieczorem, a więc na pracę pozostaje noc.

— Sądzę, że w domu jest bodaj fotografia pana i dzieci mogą przypomnieć sobie jak wygląda ich ojciec...

— Zapewniam pana, że bardzo trudno mi jest godzić obowiązki i pewne ambicje z życiem rodzinnym. Pytał pan, jak odpoczywam? Czasem udaje mi się pójść na dobry koncert: ostatnio w Warszawie była Monserat Caballe, potem orkiestra izraelska Zubina Mehty. Byłem na tych koncertach. Czasem udaje mi się coś przeczytać. Proszę zwrócić uwagę, że powtarzam słowo „udaje". To bardzo charakterystyczne dla mojej obecnej pracy. Będąc we Francji nadrabiałem zaległości, ale przywiozłem stamtąd 700 książek, z których połowę już przeczytałem. Tak więc zaległości znów rosną...

— Kończąc rozmowę, życzę panu wielu znakomitych programów, a nam, widzom, abyśmy na nie nie psioczyli. Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał:
EUGENIUSZ IWANICKI

Foto: Grzegorz Gałasiński

Masz temat dla reportera? Coś cię drażni, niepokoi, szlag cię trafia – podnieś słuchawkę i wykręć numer: 56-77-70

Na twój telefon czekają redaktorzy:

3 grudnia — ROMAN KUBIAK — godz. 10—16

Ogólnie narzekamy, że nasze pieniądze są coraz mniej warte i lekceważymy je. Miło zatem odnotować, że są jeszcze ludzie, którzy przynajmniej żądają, aby ich pieniądze — ciężko przecież zapracowane — były traktowane trochę lepiej niż makulatura. **Elżbieta Zalewska** na przykład, zamieszkująca w bloku przy ul. Sienkiewicza 147 a, ma świadomość, że nie tylko wpłaciła sporą sumę na zakupienie własnościowego mieszkania, ale jeszcze co miesiąc wpłaca do kasy spółdzielni „Ogniwo" pieniądze za to, żeby w jej domu można było żyć na godziwym poziomie — a tymczasem... tymczasem pospolitość skrzeczy! (Tak, koledzy felietoniści, „pospolitość", a nie „rzeczywistość"!).

Oto lista życzeń naszej Czytelniczki:

1) Zreperować należy nieczynny od roku automat do przytrzymywania drzwi do klatki schodowej. Drzwi łomocą, że szyby lecą!

2) Zrobić coś z windami, bo nagminnie zatrzymują się między piętrami.

3) Włączyć wreszcie kaloryfery w klatce schodowej.

Na pierwszy rzut oka widać, że żądania naszej Czytelniczki są potwornie wygórowane. Toteż nic dziwnego, że pan prezes spółdzielni, indagowany o nieszczęsny automat do drzwi odpowiedział: — nie założymy, bo wy nie szanujecie własności społecznej!

Elżbieta Zalewska postuluje ponadto, aby zryczałtowane opłaty za używanie windy i wody nie były uzależnione od powierzchni mieszkań, a od ilości osób, zamieszkujących te mieszkania. Jest to postulat dziwaczny, godzący w dobro pracowników spółdzielni mieszkaniowych. Opłaty takie byłyby zmienne w zależności od ruchu mieszkańców. Wciąż trzeba by je zmieniać! Podczas gdy powierzchnia mieszkań jest stała i raz na zawsze ustalona. Nasza Czytelniczka proponuje, aby pracownicy spółdzielczej administracji, którzy pracy mają po uszy albo jeszcze więcej podjęli dodatkowy trud, żeby tylko dogodzić zachcianokm lokatorów, którzy — jak skądinąd wiadomo — „nie szanują własności społecznej"!

Niedoczekanie! Prawda, panie prezesie?

Joanna Wiśniewska z ul. Babickiego płaci miesięcznie 900 zł za „migawkę" MPK, dzięki której codziennie jeździ sobie autobusem pośpiesznym „K". Pani Wiśniewska za te pieniądze chciałaby jeździć we względnym komforcie. Nie zaraz na siedząco, ale żeby chociaż tłok był mniejszy, bo niemal codziennie ktoś w autobusie mdleje. Czytelniczka ma nawet pomysł — autobusy „79" i „79 bis" kursują częściej i tłok jest w nich mniejszy, można chyba część wozów z tych linii skierować na „ratunek" przeciążonemu „K"?

Andrzej Wiśniewski z Retkinii uważa, że tramwaj „12" powinien chodzić — przynajmniej w godzinach szczytu — do ul. Allende. Masa ludzi przesiada się przy Wróblewskiego, zupełnie — zdaniem naszego Czytelnika — niepotrzebnie.

Wyjaśniając, że pana Andrzeja nic poza nazwiskiem nie łączy z panią Joanną (a więc nie jest to rodzinny spisek przeciwko MPK) możemy państwa z góry uprzedzić, że szanse na urzeczywistnienie ich pomysłów są mizerne. MPK nie po to ma wyspecjalizowaną komórkę Koordynacji Ruchu, żeby kierować się opiniami amatorów, nie znających teorii ruchu komunikacji miejskiej.

MPK ponadto nikomu za jego marne 750 czy nawet 900 złotych miesięcznie żadnego komfortu nie obiecuje — od komfortu mamy taksówki, proszę szanownych pasażerów!

W poprzednim numerze „Odgłosów" (nr 48 z 28 listopada 1987 r.) można przeczytać interesujący list rzecznika prasowego MPK. Pani rzecznik pisze o wychowawczo-represyjnej działalności dyrekcji wobec nieuprzejmych kierowców i motorniczych, aby zaraz dodać, że „daje się zauważyć wzrost agresywności pasażerów wobec kierowców i motorniczych" i dalej o pobiciach tychże, dokonanych przez pasażerów.

Nie przez pasażerów pani rzecznik, nie przez pasażerów tylko przez chuliganów. Jestem pasażerem MPK co najmniej dwa razy dziennie i wcale się nie poczuwam do winy wobec pobitych.

Helenie Smutnej, zamieszkałej przy alei Unii 18 m. 61 zlikwidowano licznik gazowy, ponieważ był nieszczelny. To słuszne posunięcie odnośni funkcjonariusze wykonali w poniedziałek, 23 listopada. Lokatorka od tego czasu nie może korzystać z gazu, zamiast bowiem zainstalować nowy licznik funkcjonariusze owi zostawili lokatorce numer telefonu — 74-66-95. Pod tym telefonem nikt nic nie wie o liczniku. Reporterowi dyżurnemu w ogóle nie udało się pod ten numer dodzwonić.

Należy przypuszczać, że pracujący tam urzędnicy gazownictwa są bardzo zajęci wypełnianiem najróżniejszych dokumentów, związanych z wymianą uszkodzonych liczników. Pomysł, aby nowy licznik zakładać „za jednym zamachem" w momencie usunięcia poprzedniego nie ma szans. W głowie się nie mieści taka lekkomyślność! Najpierw zlecenie, protokół itp. Porządek musi być!

Piotr Krupiński z Retkini sygnalizuje, że w Parku Ludowym w pobliżu zoo, przy muszli koncertowej leje się woda z uszkodzonej rury. Leje się już od Wielkiejnocy!

Wody, proszę Szanownego Czytelnika to my żałować ani oszczędzać nie będziemy. Wysokie zużycie wody świadczy bowiem o higienie narodu i jego poziomie kulturalnym.

Dyżurnemu reporterowi zawsze dużo satysfakcji sprawiają telefony, które nie dotyczą jakichś jednostkowych bolączek, a mówią o sprawach natury ogólnej. Najlepiej jeśli jeszcze mają związek z jakimiś publikacjami w naszym tygodniku. Anonimowy (właściwie dlaczego?) Czytelnik przedstawiający się jako rencista-ekonomista przeczytał w przeglądzie prasy zamieszczonym w nr 48 „Odgłosów", że w ciągu ubiegłych trzech kwartałów 1987 r. wzrost kosztów utrzymania wyniósł przeciętnie 21,5 proc. Natomiast aż o 26 proc. koszty utrzymania wzrosły w rodzinach emerytów i rencistów. Gdzie jest działalność osłonowa? — pyta nasz Czytelnik.

Odpowiedź na pytanie znajduje się w tym samym tekście, akapit wyżej: przeciętne wynagrodzenie miesięczne w omawianym czasie wzrosło o 21,2 proc. Natomiast przeciętna emerytura i renta — o 33,6 proc.

Dyżurny reporter odebrał dwa interesujące telefony w sprawie reportażu Romana Kubiaka „Pan Turecki". Anonimowy Czytelnik pytał: skoro bohater reportażu to dużej klasy oszust i „mafioso", to czemu cieszy się jeszcze wolnością? Inna Czytelniczka (nazwisko znane redakcji) twierdzi natomiast, że Roman Kubiak skrzywdził schorowanego człowieka, żyjącego ze skromnej renty. Zniesławiony przez naszego autora „Pan Turecki" jest człowiekiem wielkiej szlachetności i dobroci, muchy by nie skrzywdził. Nasza Czytelniczka chciała się upewnić, czy reporter „Odgłosów" korzystał z informacji „jednego kapitana MO". Zarówno Roman Kubiak jak i „jeden kapitan" wkrótce staną przed sądem — oświadczyła telefonująca — oskarżeni o zniesławienie. Jeśli rzeczywiście tak się stanie, poinformujemy czytelników o przebiegu procesu i orzeczeniu sądu.

Józef Krawczyk odznacza się dobrą pamięcią i przypomina, że Urząd M. Łodzi zapowiedział na łamach prasy kompleksową kontrolę sprawności funkcjonowania administracji budynków mieszkalnych. Nasz czytelnik twierdzi, że akcja ta nie dała się zauważyć na szczeblu podstawowym i że zgodnie z zapowiedzią UML miał trwać w dniach 13—21 listopada, a więc już dawno się skończyła. A wyniki? — pyta nasz czytelnik. Przyłączamy się do pytania.

ANDRZEJ KAROLCZAK

PS. 1. Tadeusz Dzięciołowski, którego pretensje w sprawie reperacji zaworu gazowego zamieścił mój kolega dyżurujący w poprzednim tygodniu, poinformował nas, że 20 listopada 1987 r. gaz powtórnie włączono. Nasza interwencja okazała się zatem spóźniona.

PS. 2. Wszystkim Czytelnikom, którzy — być może — usiłowali do mnie zatelefonować bezskutecznie winien jestem przeprosiny i wyjaśnienie. Nasz redakcyjny aparat w dniu dyżuru (26.XI) nie był w pełni sprawny.

PRZEDSIĘBIORSTWO ROBÓT SPECJALISTYCZNYCH

„DEKAR" ZAKŁAD NR 7

W ŁODZI

PILNIE ZATRUDNI

pracowników z kwalifikacjami na stanowiskach:

- kierownik działu technicznego
- zastępca kier. działu technicznego ds. przygotowania produkcji
- kierownik działu administracyjno-socjalnego
- kierownik magazynu
- specjalista ds. technologii, kosztorysowania i rozliczeń materiałowych
- specjalista ds. normowania i kontroli wynagrodzeń
- specjalista ds. bhp i ppoż.
- inspektor ds. rozliczeń materiałowych
- kontystkę

Zapewniamy wysokie płace wg. zakładowego systemu wynagradzania.

Nie zatrudniamy osób po samowolnym porzuceniu pracy.

Szczegółowych informacji udziela się w siedzibie zakładu w Łodzi ul. Lipowa 81 tel. 36-40-45.

7008 k

Izraelski show

Dopiero od niedawna poszerza się nasza znajomość kultury artystycznej Izraela, w tym zwłaszcza muzycznej i baletowej. Ostatnio odwiedził Łódź Narodowy Izraelski Zespół Pieśni i Tańca SHALOM, istniejący od jedenastu lat i mający na swoim koncie liczne występy zagraniczne. Przewodzi zespołowi Gavri Levi — muzyk i choreograf w jednej osobie.

Z pojęciem narodowego zespołu łączy się u nas kultywację ludowych tradycji, głęboko zakorzenionych w kulturze narodowej i stanowiących o jej odrębnym obliczu, bez względu na stopień stylizacji rodzimego tworzywa. Gotowi bylibyśmy zresztą przyjmować bez zastrzeżeń i wątpliwości tę czy inną wizję kultury wokalno-tanecznej Izraela, ponieważ po prostu nie jest nam znana pierwotna (a dochowana do naszych czasów) kultura ludu zamieszkującego w okresie międzywojennym podległą brytyjskiemu mandatowi Palestynę, zanim zaczęła tam napływać wielka fala imigracyjna żywiołu żydowskiego, w znacznej mierze z obszarów Europy wschodniej.

Wsłuchując się w melodykę i w rytmy pieśni i tańców wykonywanych przez SHALOM trudno się uwolnić od nieodpartych podobieństw do pieśni funkcjonujących w języku jidisz i obrzędowych tańców z rejonu wschodniej Galicji lub może Podola i Wołynia, a także Mołdawii i Bukowiny czy z kręgu bałkańskiego, które najwyraźniej dostarczały inspiracji powstającym na Zachodzie licznym utworom artystycznym, a nie na ostatnim miejscu scenicznym, żeby wymienić choćby „Skrzypka na dachu" (sceny taneczne z tego musicalu należały do najatrakcyjniejszych punktów programu).

Występy izraelskich gości oglądało się i słuchało łatwo i przyjemnie, cała bowiem kilkudziesięcioosobowa grupa obdarzona jest wybitnym nerwem scenicznym i temperamentem tanecznym. Można też było podziwiać wdzięk i urodę izraelskich dziewcząt oraz żywiołowość i dynamikę ruchu mężczyzn. Taneczne pary przesuwały się w wartkim tempie na zasadzie non stop (jeśli nie liczyć występów obojga świetnych pieśniarzy), cieszyły oko barwne i efektowne kostiumy o nieco operetkowym posmaku, co nie dawało widzom odetchnąć, ale i... zastanowić się nad nieobecnością utworów o odrębnym i swoistym, a więc choćby w domniemaniu izraelskim kolorycie, który odcinałby się od dostrzegalnych przecież bałkańsko-słowiańskich motywów (owszem, było też i country i jakiś taniec latynoskiej proweniencji!).

Czy więc dzisiejszy Izrael nie ma w swoim dziedzictwie rodzimej kultury ludowej znad Jordanu i jeziora Genezaret, a niemal wyłącznie to, czym społeczności żydowskie różnych krajów nasiąkały w czasie diaspory? Występy tancerzy z Tel Awiwu nie dają na to odpowiedzi...

Uważam, że SHALOM należy po prostu traktować jako wielce sprawny zespół o charakterze rewiowym, który, wspomagany przez dwunastoosobową orkiestrę o musicalowym instrumentarium, ma wszędzie niezawodną szansę na sukces u publiczności spragnionej rozrywki „zgrabnie skrojonej". A to też trzeba umieć.

JERZY KWIECIŃSKI

„Konkurs na całe lato" rozstrzygnięty

Foto: Joanna Turek

ZAKŁADY PRZEMYSŁU KONFEKCYJNEGO „DANDYS"

Łódź, ul. Traktorowa 148/158

ogłaszają

PRZETARG NIEOGRANICZONY

na sprzedaż niżej wymienionych maszyn:

Rodzaj maszyny	Firma-Typ maszyny	Ilość sztuk	Procent zużycia	Rok prod.
Dziurkarka	Minerwa P-2	6	50	1974
Zygzak	Singer Kl 107 G 201	1	90	1974
Overlock	Juki MO-803	2	70	1974
Overlock	Juki MO-815	2	70	1974
Overlock	Textima Kl 8514	1	70	1974
Dziurkarka	Reece Ki 101	1	70	1978
Stębnówka	Juki KL MH-38	1	70	1974
Podszywarka	Strobel [illegible] 274	1	70	1974
Podszywarka	Lewis KL 16-265	3	30	1975
Stębnówka	Textima KL 8411	1	90	1971
Przekrawacz pionowy	Kuris KV 140	3	80	1974

Przetarg odbędzie się w dniu 9 grudnia 1987 r. o godz. 10 w sali konferencyjnej Przystępujący do przetargu winien wpłacić w kasie przedsiębiorstwa wadium w wysokości 10 proc. ceny wywoławczej do dnia 8 grudnia 1987 r. w godz. 11—14.

W przypadku niedojścia do skutku pierwszego przetargu drugi przetarg odbędzie się w tym samym dniu o godz. 12.

Bliższych informacji udziela Spec. ds. inwestycji i remontów tel. 52-06-30 wew. 203.

ZPK „DANDYS" zastrzegają sobie prawo do wycofania maszyn z przetargu bez podawania przyczyn.

2750 k

W ostatnich dwóch dziesiątkach lat wykluło się wiele plotek i mitów, które w powszechnej świadomości uwiły sobie wcale wygodne gniazdko. Szczególnie groźnie obsiadły — jak jemioła drzewo — sferę kultury. Jakkolwiek walka z mitem jest beznadziejna, jednakże warto pokusić się o skonfrontowanie rzeczywistości z plotką.

Naturalnym pragnieniem człowieka jest żyć dostatnio, a ponieważ żyjemy skromnie, to i lubimy posilać się wszelkiego rodzaju anegdotami, ploteczkami z „wielkiego świata", jakich nie skąpi nam codzienny serwis informacyjny. Z wypiekami na twarzy czytamy więc o Barbrze Streisand, Lizie Minnelli, ile to zażądały, ba, otrzymały!, za koncert, rolę w filmie. O Paulu Schraderze, Stevenie Spielbergu, Milošu Formanie — ile chapnęli za „Taksówkarza", „Szczęki", „Lot nad kukułczym gniazdem", nie mówiąc już o nazwiskach z pierwszych szpalt, jak Kirk Douglas, Jack Nicholson, Burt Lancaster, uchodzących za milionerów. A już wyjątkowo zazdrośnie, i podejrzliwie, spozieramy na naszych idoli, którzy wojażują po świecie. Czytamy i domyślnie widzimy natychmiast wypchane kabzy naszych, krajowych wyrobników kultury i sztuki. Takie wyobrażenia towarzyszą nie tylko sprzedawczyni, sekretarce z kombinatu, kierowcy w bazie transportu, lecz również inżynierowi, dyrektorowi. A i wśród decydentów, przedstawicieli różnych ogniw władzy, spotkać można liczne grono głoszących podobne opinie.

Jeżeli ten typ myślenia nałożymy na wypracowane latami powszechne przekonanie do tzw. urawniłowki, czemuż to pani sekretarka z aktorskimi tęsknicami, bądź kierowca, nie mieliby sobie zadać pytania: *„Dlaczego ci tyle zarabiają, a ja, człowiek pracy...?"* To groteskowe rozumowanie rozpowszechniło się tak dalece, że nawet w publicznych wypowiedziach, o życiu i kondycji świata artystycznego, daje się wyczuć pogłosie plotki: *„Artysta tu chapnie, tam zachałturzy i swoje utłucze"*. Zresztą, sami artyści są tu siłą sprawczą, lubią szpanować, brylować, błikować. Tyle, że artysta, jedynie w blasku jupiterów czuje się, jak ryba w wodzie, tylko w ostrym świetle zdolny jest żyć i tworzyć. Życie bezbarwne, a już ciemność — to unicestwienie.

Mało to, czy dużo

Mit mamony to jedna z najgroźniejszych trucizn, jaka niezauważalnie paraliżuje obszary kultury. Rozpowszechnione mniemanie o mitycznych zarobkach aktorów, reżyserów, pisarzy rodzi paradoksalne pytania i wątpliwości: ile to się dopłaca do kultury, albo że inwestowanie w człowieka — wszak taką funkcję ma do spełnienia kultura — winno być także opłacalne finansowo, skoro taka zasada musi obowiązywać w innych dziedzinach życia.

Kirka Douglasa stać na inwestowanie milionów dolarów w produkcję filmową nb. milionów zarobionych w branży aktorskiej. Woody Allen, Steven Spielberg, Forman, Schrader czy Altman uchodzą w świecie filmowym za milionerów. Nie wiem, ile dolarów kryje się za „Oscarem", wiem natomiast, że ta prestiżowa nagroda podnosi range aktora, reżysera i in., a w ślad za tym wysokość kontraktów, honorariów. Jednakże świat, w którym żyją i tworzą rządzi się innymi prawami. Tamten i nasz, to dwa przeciwległe brzegi oceanu. (Oba warte poznania, nie tyle by zajrzeć do kieszeni, ile zrozumieć, co znaczy sztuka, komu i czemu służy itd.).

Na naszym gruncie nagroda najbardziej prestiżowego festiwalu filmów fabularnych, jaką przyznano najwyżej ocenionemu reżyserowi wyniosła 150 tys złotych. Wyceniono ją o 10 tys. zł mniej od stawki pana tapeciarza za pokrycie czyjegoś M-4 powierzonymi sobie materiałami! Miesięczna pensja aktora wynosi 12,5 tys. zł. W jej ramach musi zagrać 5 spektakli, wtedy, za każdy następny, otrzyma dodatkowo niewiele ponad 800 zł. Ile może zagrać? W najlepszym razie 9 przedstawień. Przy czym jego praca to codzienne próby od 10 do 14, potem spektakl. Jeżeli mu szczęście dopisze w macierzystym teatrze, to po latach otrzyma wyższą gażę. Ba, może nawet stać się idolem. Ale i wtedy, zaproszony na gościnne występy w drugi koniec kraju, otrzyma 5 tys. zł. Jeden ze znakomitych aktorów, mający w swoim dorobku wiele znaczących ról filmowych, teatralnych i w TV, przeszedł w tym roku na tzw. zasłużony wypoczynek z emeryturą niespełna 50 tys. zł.

A reżyser, ten od którego wszystko zależy w teatrze? Za reżyserię spektaklu w miejscu zamieszkania może otrzymać maksymalną stawkę 180 tys. zł. Reżyserując poza miejscem zamieszkania otrzyma 270 tys. zł. Ile zdolny jest wyreżyserować w ciągu roku? W najlepszym razie dwa przedstawienia i niewiele więcej. Można zatem przyjąć, że stanowi to, powiedzmy, ok. 50 tys. zł miesięcznie. Minus podatek. A życie tego mitycznego krezusa, to życie w drodze, na dwa domy — teatr, jedzenie w byle jakim barze i hotel. Zarabia tyle, ile znajoma, obrotna sprzątaczka, pracująca na trzech etatach — jednym własnym, drugim zalegalizowanym na synową, a trzecim na męża — rencistę. Po dwie godziny dziennie, ma się rozumieć. Nasz teatralny krezus zarabia mniej niż dobra maszynistka, która za przepisanie strony tekstu pobiera dziś 50 złotych. Tylko że żadna nie wyreżyseruje niczego, poza własnym, wcale zacobnym życiem. I nie zagra Ofelii.

Podobne nieporozumienie, co do kondycji finansowej, panuje wokół pisarzy. Tutaj również stosuje się miarki zasłyszane z zachodniego świata plotek, jak to pisarz, po napisaniu sprzedawanej książki, zdolny jest pożyć czas jakiś, do napisania następnej pozycji. W naszych warunkach, za książkę liczącą 10 arkuszy (ok. 210 stron), otrzyma, w najlepszym razie 270 tys. zł. Na palcach jednej ręki zliczyć można tak sprawnych pisarzy, którzy zdolni są napisać książkę w kilka miesięcy. Ponad rok pracy nad książką, to przeciętny okres powstawania dzieła. Taka jest rzeczywistość. Wszystkie wyjątki, w jedną czy drugą stronę, jedynie potwierdzają regułę.

Na czerwcowym posiedzeniu Sejmowej Komisji Kultury, zatroskanego o los książki i jej twórcę posła, bulwersowały ceny książek. W 1980 roku średnia cena książki wynosiła 33 zł, obecnie — 230 zł. W latach 1980/81 za jedną średnią płacę można było kupić 180 książek, dziś...? W tej sytuacji — utrzymywał poseł — nie może budzić zdziwienia to, że 40 proc. rodaków wcale nie kupuje książek. Lecz ten fakt — wynikający m.in. z bariery ekonomicznej, jaką jest cena książki — musi budzić troskę o kondycję umysłową społeczeństwa. Ceny książek rosną. Wydawcy tłumaczą się wzrostem cen papieru, druku itp. argumentami. Lecz przemilczają znamienny szczegół, ten mianowicie, że zaledwie JEDEN procent w kosztach książki wynosi udział samego... autora! Jest to, jak twierdził poseł, światowy rekord!

I wreszcie inny, równie bałamutny pogląd, co do finansowania kultury, dotacji itd. 120 mln zł dotacji na teatr to dużo, czy mało? Ano przyjrzyjmy się: Z tych 120 mln zł dotacji 63 proc. wraca do kasy... państwa — 20 proc. w postaci podatku i 43 proc. w postaci kosztów ubezpieczenia. Żeby teatr funkcjonował musi kupować, bodaj produkty najprzyziemniejsze, lecz niezbędne, m.in. węgiel, drzewo — surowiec podstawowy w budowie scenografii. Kupuje po cenach wyższych niż klienci indywidualni. Zatem znaczącą część środków z dotacji przepływa jedynie przez księgowość teatru, by wrócić tam skąd przyszła.

Powtórzmy: 120 mln zł. dotacji na teatr to dużo, czy mało? Stawianie takiego pytania jest równie przewrotne, co bałamutne, jak plotka. Specjalista od... dźwigów np., będzie dumny, acz poruszony (swoją rangą, wynikającą z tego kontekstu), jako że dźwig kosztuje dziś 125 mln zł. Tyle kosztuje dźwig, który składa się z konstrukcji, silnika i z czegóż tam jeszcze?, poza robocizną środkami produkcji, nb. służącymi do budowy dziesiątków takich urządzeń. Rzecz jednak w tym, że czas i koszty budowy dźwigu są wymierne, zaś czasu i kosztów kształtowania ludzkich postaw, zachowań, świadomości człowieka — nie da się przeliczyć i wymierzyć. Szacuje się na.... pokolenia. Lecz to właśnie od stanu świadomości zależy, czy budować będziemy tylko dźwigi, czy też sięgać w obszary zasiedziałe już przez ludzi z zasobnego świata i razem, dogoniwszy, zdobywać nowe.

MARIAN ZDROJEWSKI

1 Spojrzenie znad szachownicy

Repetytorium z Lema

Jak pamiętamy, albo i nie pamiętamy, „Dzienniki gwiazdowe" Ijona Tichego poprzedziła nota informacyjna, którą w imieniu PRN ZITTTOPiP — czyli, mówiąc prościej, Prezydium Rady Naukowej Zjednoczonych Instytutów Tichologii, Tichografii i Tichonomiki Opisowej, Porównawczej i Prognostycznej — podpisał był prof. A. S. Tarantoga.

Staromodna rzetelność każe tu dorzucić, że Tichy, Tarantoga, a także Zjednoczone Instytuty są zmyśleniem, literacką fikcją, natomiast twórca tych postaci i instytucji Stanisław Lem podobno istnieje realnie. Jego bytowanie powinno wszelako wzbudzić zainteresowanie krytycznie nastawionych badaczy, nie jest bowiem zgodne z naturą, iżby nasz brat znad Wisły mógł wykazywać się przerażająco szeroką wiedzą z najróżnorodniejszych dziedzin od filozofii poczynając a na współczesnej fizyce kończąc, jednocześnie zaś dysponował przednim poczuciem humoru i pisarskim talentem.

Połóżcie na jednej kupce takie książki jak wszecherudycyjna „Summa technologiae", polemiczna wobec strukturalizmu „Filozofia przypadku", prześmieszna, wpadająca w ton opowiastki filozoficznej „Cyberiada", „Solaris", które trzeba otwierać kluczem psychoanalizy, zabawiający się wyższą matematyką „Głos pana", czerpiący natchnienie z fluktuacji statystycznych „Katar" i — powiedzmy — ostatnio wydane „Fiasko", do którego jeszcze wrócimy. Przeczytajcie to ciurkiem, a wyjdzie wam bez wątpienia, że nie mógł tego napisać j e d e n c z ł o w i e k.

Tertium non datur: albo nie jeden, albo nie człowiek. Koncept, że Lemów jest kilku, a brat bliźniak trzymany w okowach w piwnicy pisze niektóre przynajmniej kawałki, zbyt bardzo tchnie jednak awanturniczym romansem, musimy go więc odrzucić. Pozostaje domniemanie, że Lem bądź jest Obcym, przedstawicielem najwyraźniej życzliwej Ziemianom, wysoko rozwiniętej odległej cywilizacji, bądź zmajstrowanym przez tę cywilizację cyborgiem, bądź przynajmniej fenomenalnym mutantem, rzecz zrozumiała zdalnie zaprogramowanym genetycznie.

2.

Które z tych przypuszczeń jest słuszne, czas rozjaśni, tak czy owak wieszczę i prognozuję, że wprawdzie nie Instytut Tichologii lecz Katedra Lemologii gdzieś kiedyś powstanie, bo powstać musi. Jeżeli o kimś pisze się prace magisterskie, a i rozprawy doktorskie także, to któryś z młodych naukowców zechce się w końcu wybić w profesory mając w miłej perspektywie studencką klientelę ze wszystkich kontynentów, Lem jest bowiem twórcą o pozycji międzynarodowej. Rzecz dziwna w przypadku Polaka, zwyczajna gdy chodzi o Nieziemca.

W programie dydaktycznym nowej katedry poczesne miejsce zajmie z pewnością świeżo wydana książka Lema „Pokój na Ziemi", w sam raz przydatna na wszelkiego rodzaju repetytoria, seminaria i inne dolegliwości uniwersyteckiego żywota. Jest to utwór w istocie poważny, choć groteskowo wykrzywiony, wyrafinowany, lecz dający się czytać do poduszki, w pełni oryginalny, a jednocześnie przekornie przetwarzający motywy znane z wcześniejszej twórczości pisarza.

Ijon Tichy, po wypełnieniu ważnej misji na zmilitaryzowanym Księżycu, znów przeżywa rozdwojenie, odmienne jednak niż przy przejściu przez wir grawitacyjny czy po zatruciu beningatorami, z czego przy okazji można oddzielnie słuchaczy przepytać. Jego półkule mózgowe stają się samoistne i jedna na złość robi drugiej, a że zawiadują — jak wiadomo — odmiennymi częściami ciała, przeto lewa ręka zaczyna bić się z prawą, zaś prawa noga lewą kopać...

Martwą ewolucję znamy już z „Niezwyciężonego", totalne zniszczenie banków pamięci i programów komputerowych z innego znów opowiadania, no i tak dalej, i tak dalej. Nie piszę tu jednak ściągi ani bryku, proszę samemu przygotować się do egzaminu.

3.

Wspomniane „Fiasko" też przyda się w naszych studiach, muszę jednak cokolwiek posprzeczać się z autorem notki w „Odgłosach", bo choć istotnie jest to powieść o zderzeniu z pozaziemską cywilizacją, to kwestie Dobra i Zła pojawiają się jedynie w dysputach, także teologicznych. Trudniej natomiast osądzić, kto jest tu dobry, kto zły, a kto mimochcąc wyszedł na sukinsyna. W każdym razie, gdyby Obcy zwalili nam Księżyc na głowę, jako ostateczną zachętę do towarzyskiej z nimi pogwarki — nie bylibyśmy prawdopodobnie zachwyceni. A tak naprawdę w książce chodzi o jeszcze coś innego i myślę, że można wysmażyć przy niej doktorat. Żeby było dziwniej nie tylko z lemologii, ale nawet z politologii. Amen.

JERZY P.

2 Przerwa śniadaniowa

Realizujemy uniwersalne zasady...

Pan Dareczek twarz miał skupioną. Przełknął ostatni kęs i zapytał:

— Co pani, dajmy na to, pani Lalu, tutaj robi?

— Jak to „co robię"? Nie widzi pan? Pracuję... — pośpiesznie zgarniała z biurka okruchy i jednocześnie wyciągała z teczki jakiś papier.

— Pan też, panie Heniu? I pani — oczywiście — także? Pracujecie państwo? No a pan, panie Zenku? Co pan robisz?

— Ja, prawda.. no pracuję, oczywiście... Ale także pełnię funkcję, prawda, zastępcy...

— To już bliżej, panie Zenku, cieplej. A co my wszyscy tutaj robimy? Jako zespół, jako podsekcja?

— Jako, prawda, podsekcja, to my realizujemy zada...

— Tak jest! Wygrał pani! Wiedziałem, że na pana mogę liczyć! Jako świadomy zastępca kierownika pan wie, że pracować to sobie może jakiś, dajmy na to, kmiotek na swoim polu albo prywaciarz, dajmy na to. Poważny człowiek zatrudniony w państwowej instytucji nie pracuje, a realizuje. R e a l i z u j e. Nieprawdaż? Realizuje plan, realizuje zadania, realizuje produkcję albo realizuje sprzedaż. I to jest słuszne. To tylko część mojej zagadki. Teraz będzie trudniej: co to są „uniwersalne zasady"?

— To jasne — wyrwała się panna Kalinka — to tak jak np. dziesięć przykazań..

— Bardzo słusznie. Polecam pani zwłaszcza szóste. Idziemy dalej. Co to są „uniwersalne zasady budownictwa?"

Pan Henio podrapał się w głowę — to może być, na przykład, taka reguła, żeby nie zaczynać budowy od dachu, tylko od fundamentów. Albo żeby ściany były proste...

— I bardzo słusznie. No to, co to są „uniwersalne zasady budownictwa socjalistycznego?" No, kto? Nikt nie wie? Wstyd. Bo na przykład kolejarze wiedzą! Oni mianowicie te zasady realizują! Pytanie: Co realizują kolejarze?

— Oni realizują przewozy! — wyrwał się pan Henio.

— Akurat nie, niestety. Kolejarze realizują właśnie „uniwersalne zasady budownictwa socjalistycznego"!!

— A skąd pan wie? — pan Zenek popatrzył krytycznie na pana Dareczka, wietrzył bowiem jakiś niewczesny żart w jego zgadywance.

— A stąd, że na dworcu wypisali takie hasło! Wielkimi literami wypisali: „Realizujemy uniwersalne zasady budownictwa socjalistycznego..."

— I bardzo słusznie — pan Zenek poczuł się pewniej — nie należy wszystkiego tak dosłownie rozumieć. „Budownictwo" jest w tym przypadku pojęciem, prawda, ogólnym. Chodzi o to, że kolejarze mają socjalistyczny stosunek do pracy i sumiennie, prawda, realizują te przewozy, przestrzegają rozkładu jazdy i tak dalej.

— Tego to mi pan nie powiesz, że oni przestrzegają rozkładu. Pociągi chodzą jak krowy po wsi — tam gdzie chcą i kiedy chcą...

— Tym niemniej hasło jest słuszne — pan Zenek nie zamierzał ustąpić — zdarzają się, prawda, jeszcze różne trudności i przeszkody, ale w drugim etapie...

— Daj pan spokój z tym etapem. Posłuchaj pan lepiej, co tam dalej jest napisane, boś mi pan nie dał dokończyć. Tam stoi napisane, dajmy na to tak: „Realizujemy uniwersalne zasady budownictwa socjalistycznego w polskiej rzeczywistości". Ot, tak napisali!

— Nic nie rozumiem — wyzeptał pan Henio.

— Słusznie. Nikt tego, dajmy na to, nie rozumie. No, chyba, że pan Zenek. Co to jest, panie Zenku, ta „polska rzeczywistość"?

— No, to są, prawda.., uwarunkowania, trudności... kryzys...

— To ja już rozumiem — wyrwała się panna Kalinka — pan Zenek mówił że to „budownictwo" to jest ogólny porządek, przestrzeganie rozkładu jazdy i wszystko, żeby koleje dobrze chodziły. A że to jest „w polskiej rzeczywistości", no to właśnie są trudności, opóźnienia, bałagan..

— I to jest, dajmy na to, prawda, panno Kalinko. Gratuluję, wykazała pani sprawność umysłu i znajomość życia. Pomyślcie państwo, jak to jednak ładnie brzmi: „Realizujemy uniwersalne zasady budownictwa..."

KAROL I.

3 Lewym okiem

Chamstwo

Chamstwo rozpleniło się w Polsce tak bardzo, iż na co dzień prawie go już nie zauważamy, traktując jako zjawisko tak normalne, że dziwi nas ogromnie, gdy ktoś zachowuje się kulturalnie. Doskonale widać to na przykład w tramwajach, czy autobusach, których kierowcom rzadko zdarza się zaczekać na przystanku na dobiegającego pasażera lub też pomóc wsiąść staruszce przednimi drzwiami — najczęściej do połowy zamkniętymi! Toteż jeśli komuś uda się czasem spotkać uprzejmego, uczynnego kierowcę, na ogół kłania mu się w pas i głośno dziękuje przez cały pojazd, podczas gdy reszta pasażerów cmoka z zachwytu. Moim zdaniem, jest to zupełnie zbędne, ponieważ każdy prowadzący pojazd komunikacji miejskiej uprzejmość powinien mieć nakazaną w umowie o pracę i otrzymywać za nią pieniądze. My zaś tęże samą uprzejmość winniśmy mieć wkalkulowaną w cenę biletu, co oczywiście wcale nie znaczy, iż wzywam niniejszym do kolejnej podwyżki cen biletów.

Podobną zasadę należałoby wprowadzić także w handlu, usługach, urzędach państwowych itp., gdyż inaczej nie doczekamy się chyba nigdy naprawdę miłej, sprawnej i kulturalnej obsługi. Prośby, apele nie na wiele się tu bowiem zdadzą — tak samo zresztą jak w innych dziedzinach. Dlatego za uprzejmość trzeba po prostu płacić, za chamstwo natomiast — obniżać zarobki, pozbawiać premii, nagród.

Niekiedy zdarzało mi się wpisywać do tak zwanej książki skarg i wniosków (jeśli akurat nie znajdowała się u introligatora). Na każdą skargę otrzymywałem pocztą odpowiedź — najczęściej, że dyrekcja przeprasza, a personel sklepu został pouczony, w jaki sposób powinien odnosić się do klientów. Zdawałoby się więc — sprawa załatwiona. Moim zdaniem, pozornie, gdyż ani razu nie zauważyłem, aby to coś dało. A kilkakrotnie obserwowałem potem taki „pouczony" personel ze szczególną uwagą. Nie spotkałem się za to nigdy z wyjaśnieniem, że ekspedientka, na którą złożyłem uzasadnioną skargę, została ukarana, powiedzmy, potrąceniem części jej poborów. Może to słodka tajemnica firmy, może nie miałem szczęścia, a może... Jak by jednak nie było, mnie takie nic nie znaczące odpowiedzi z przeprosinami nie satysfakcjonują. Poza tym — szkoda znaczków i papieru.

I tą konstatacją mógłbym już właściwie zakończyć ten felieton, uznając temat za wyczerpany lub przynajmniej za poruszony. Nie będę jednak udawał głupszego niż jestem i nie pominę przy okazji pytania o przyczyny takiego stanu rzeczy. Bo przecież jakieś przyczyny być muszą!

Jest ich wiele. Dla mnie, człowieka — jak to się czasem mówi — przedwojennego najważniejszą z nich jest uparte lansowanie przez czterdzieści lat kultu przeciętności, co skutecznie zabiło w większości z nas ambicję i chęć doskonalenia się. Nie istniała żadna presja, pod którą musielibyśmy starać się wydajniej pracować, taniej i nowocześniej produkować, szybciej i więcej sprzedawać, aby „utrzymać się na powierzchni". A skoro tak, nie było też praktycznie żadnej potrzeby zabiegania o czyjeś względy, między innymi będąc miłym i uprzejmym. Robotnik zawsze zarobił, sprzedawca — sprzedał, dyrektor — pozostawał dyrektorem — nawet jeśli dopuszczał się karygodnych błędów w zarządzaniu. Po cóż więc było się starać — zwłaszcza że na dodatek awansowali nie mądrzejsi i kulturalniejsi, a „słuszniejsi", więcej zarabiali nie pracowitsi, a bardziej cwani i uprzywilejowani, oficjalnie zaś wszystko było w jak najlepszym porządeczku?

Zdaję sobie sprawę, iż koło zatoczone w powyższym wywodzie, jest może nieco zbyt szerokie i niepełne, ale mam nadzieję, że ludzie myślący już po tych kilku zdaniach doskonale czują w czym rzecz, czyli — gdzie ów pies został pogrzebany, a także — czyimi rękami. Nie jest bowiem tajemnicą, iż niska kultura techniczna, polityczna oraz zła organizacja pracy nigdy nie pozostają bez wpływu na kulturę osobistą ludzi. Wyjątki zaś jak zwykle potwierdzają tylko regułę.

JÓZEF RETMAN

Matnia 1

LEONARD

OD AUTORA

„MATNIA" nie jest paszkwilem na Amerykę napisanym na zamówienie. Dramat bohaterów tej powieści może mieć miejsce w każdym kraju świata.

Współczesna Ameryka nie jest jaskinią zła, jak niektórzy ją przedstwiają. Nie jest gorsza od innych krajów. Różnica polega na tym, że potężna i bogata Ameryka swoje życie społeczne wystawia na paranoiczny wręcz ekshibicjonizm. Stała się tym samym największym teatrem świata dostępnym dla każdego widza, poddanym krytyce wszystkich.

Głównym bohaterem „Matni" jest młody Amerykanin, pracownik Centralnej Agencji Wywiadowczej (CIA), oddany sercem i ciałem swemu wielkiemu krajowi, rozczarowany różnicą między głoszonymi hasłami politycznymi a metodami polityki stosowanej, nie chcący pogodzić się bez walki z istnieniem w życiu ciemnej strony Księżyca.

Od zarania dziejów człowiek odczuwał potrzebę przeżywania dramatów i napięć, był wrażliwy na krzywdę słabego i jednocześnie na krzywdzie tej żerował. Niech wrażliwi przyjmą jednak do wiadomości, że nie ma systemu władzy jednakowo dobrej dla wszystkich. Idealne są tylko założenia wydumane przez gorące serca w oparach niezadowolenia z istniejącej rzeczywistości, budujące swoje wizje władzy doskonałej na wyobrażeniach nie do zrealizowania na Ziemi. Jak dotąd wszystkie teoretyczne systemy społeczeństwa bezkonfliktowego przeistaczały się w reżimy represji, jeżeli ich twórcy, będąc u władzy, nie poszli na odstępstwa od teorii, podyktowane przez życie.

Niech marzyciele i buntownicy, nim siądą do tworzenia nowego modelu porządku społecznego, o tym pamiętają. Bo zawsze i wszędzie będą władcy i władani, silni i słabi, będzie niezadowolenie, znój, krew. To one uczą pokory, uznania prawa do życia innych, niezagarniania całego szczęścia dla siebie.

Od kiedy zwycięstwo w walce zbrojnej przestało być warunkiem przeżycia narodów, pozostało im tylko współżycie. Niech więc literatura nie podjudza jednych przeciwko drugim, a pomaga się nawzajem zrozumieć. Pisanie, które roli tej nie spełnia, staje się propagandą.

ROZDZIAŁ 1

W hallu hotelu uwagę moją zagarnęło dwóch mężczyzn. Przystanąłem.

To byli ich ludzie. Każdego z nich rozpoznałbym w zgiełku Wieży Babel. Nie pomylę z nikim innym na świecie.

Stali przy mahoniowym kontuarze recepcji. Obaj wysocy, w trenczach z kołnierzami podniesionymi do góry, z rękami w kieszeniach — ograna w filmach kryminalnych poza zawodowych psów gończych. Jeden lekko pochylony ku recepcjoniście, oparty łokciem o kontuar, drugi, dwa jardy od niego, przyglądał się niedbale ilustracjom w samoobsługowej gablocie. Ten przy kontuarze, nie wyciągając rąk z kieszeni płaszcza, mówił:

— ...wysoki szatyn w tweedowej marynarce, mieszka chyba tutaj. Przejeżdżając spostrzegłem go wychodzącego z hotelu, ale pan wie: znalezienie parkingu zajęło mi masę czasu i zgubiłem go. To mój przyjaciel, walczyliśmy razem w Indochinach.

— Jeżeli pański przyjaciel mieszka u nas, zaraz panu podam numer pokoju. Jego godność? — spytał recepcjonista hotelu Tre Kronor w Sztokholmie.

Na twarzy gościa pojawiło się zakłopotanie.

— W tym szkopuł. To już dwa lata, jak się rozstaliśmy, a w wojsku ludzie znają się przeważnie z imion. Jest wysoki, jak już powiedziałem, w moim wieku, ubrany w jasnobrązową marynarkę w kratę i kawowe flanelowe spodnie — opisano mnie szczegółowo, nie mając pewności, czy przypadkiem nie jestem zameldowany pod przybranym nazwiskiem. — Mówi z amerykańskim akcentem.

W hotelu mieszkało kilkunastu gości, obywateli USA. Byli przeważnie wysocy, ubierali się sportowo, jednak żadnego z ich recepcjonista nie znał z nazwiska, gdyż dopiero wczoraj wrócił z urlopu spędzonego na Wyspach Kanaryjskich. Uśmiechnął się uprzejmie.

— Bez nazwiska nie będę mógł panu pomóc. Ale proponuję poczekać. Za godzinę przyjdzie mój zmiennik, który zna gości lepiej. Zechcą panowie...

Szwed nie spostrzegł mnie. Ani oni, ani ta dwójka odwrócona do mnie plecami. Siadłem w fotelu i zasłonięty rozłożystą palmą obserwowałem recepcję w lustrze na ścianie.

Ilustracje z roznegliżowanymi modelkami pochłaniały wciąż uwagę mężczyzny stojącego przy obrotowej gablocie, jego oparty o kontuar towarzysz prowadził rozmowę z recepcjonistą. Nieskładną. Szwed był ugrzeczniony, ale daleki od wylewności. Obowiązkiem obsługi hotelowej w tym kraju jest udzielanie osobom z zewnątrz informacji o rezydentach hotelu, ograniczającej się jednak do numeru zajmowanego pokoju. Jeżeli ktoś sobie życzy osobistego kontaktu z nimi, może skorzystać z kabiny telefonicznej — wynikało z postawy recepcjonisty.

W mojej tułaczce po świecie nie stosuję się do regulaminów hotelowych, które upraszają rezydentów — w przypadku wyjścia z hotelu — o pozostawienie klucza od pokoju w recepcji. Oszczędza mi to kontaktów z portierami, umacnia moją — iluzoryczną zresztą — pewność siebie. Ten recepcjonista mnie nie znał. Ja też widziałem go po raz pierwszy od wprowadzenia się tu, ale już mogłem mu wystawić dobre referencje. Zza pleców tego przy kontuarze wystawała gruba podłużna księga meldunkowa. Wystarczyło podnieść obitą skórą okładkę, przewertować karty z nazwiskami gości, obywateli Stanów Zjednoczonych Ameryki przybyłych w ciągu ostatnich dziesięciu dni, rzucić okiem na rubrykę „narodowość" i ciekawość zaspokoić. Do tego jednak potrzebna była dobra wola recepcjonisty, nie objęta zakresem jego obowiązków.

Przybysz zdawał sobie z tego sprawę. Na okładce pojawił się pięćdziesięciokoronowy banknot — dużą wartość miała dla niego wiadomość o przyjacielu w tweedowej marynarce w kratę, z którym łączyły go przeżycia z pola walki w Azji. Recepcjonista to rozumiał, ale był niewrażliwy na banknot leżący na księdze. Usłyszałem jego grzeczną odmowę, która w pustce hallu zabrzmiała dostatecznie stanowczo, aby na tym zakończyć próbę kupienia jego dobrej woli. Przybysz był jednak innego zdania: banknot na księdze nakrył drugim o tych samych znakach.

Był to błąd w sztuce. Psychologiczny błąd nawicjusza w zawodzie, nie znającego obyczajów Skandynawów, lub człowieka „bez nosa", zwanego między wygami z naszych agencji wywiadowczych yellowneck — żółtodziobem. W ostatnich latach zaroiło się od nich — widzących w pieniądzu buldożer zdolny do zniesienia każdej zapory, nie dostrzegających między narodami różnic innych niż język, nie przyjmujących do wiadomości, że amies nie cieszą się w tym kraju zbytnią estymą. Błąd ten popełnił już przy pierwszej pięćdziesiątce — tyle pieniędzy za usługę, którą mógł był otrzymać za zwykły uśmiech; podwajając stał się dla recepcjonisty przejrzysty.

Szwed oblekł twarz w wyrozumiały uśmiech.

— I am sorry. A może — nie spuszczał wzroku z oczu hojnego Amerykanina — zechce pan zostawić swój bilet? Albo nazwisko i adres?

Przybysz zbył to bagatelizującym gestem ręki. Przyjaciel, o którego pyta, może znać go też tylko z imienia, to by nic nie dało. Spytał o bar hotelowy, w którym mógłby ewentualnie poczekać, i, poinformowany, zamiast do baru, skierował się ku wyjściu; jego kompan spod gabloty ruszył za nim.

Fatalnie spisali się ci dwaj. Gdyby ich boss widział tę scenę, mieliby się z pyszna!

Ale zaraz skarciłem się za tę pochopną opinię. A może ich zachowanie nie było wcale takie głupie? Może chcieli mnie tylko spłoszyć?

O to im chodziło, jak mogłem przypuszczać inaczej! Przecież oni zastosowali elementarny chwyt: zamieszać w stawie. Ryba spłoszona popełni zawsze ruch w niewłaściwą stronę i łatwo zapędzić ją do sieci. To było to, a ja wziąłem ich za żółtodziobów. Tępacka namolność tego przy kontuarze, ostentacyjne przewracanie zeszytów porno jego goryla... Może w tej chwili nie chodzi im o nic więcej, jak o pokazanie, że mają mnie na oku. Jeżeli tak, to nie oni, a ja zachowałem się jak dziecko, które schowało się za liście palmy i uważa, że mama go nie widzi.

Odczekałem, aż fotokomórka zasunęła za nimi drzwi wejściowe. Zostawili na kontuarze sto koron — równowartość dwudziestu dolarów, nic w zamian nie otrzymując, i poszli sobie. Nie zadbali nawet o zachowanie pozorów.

Chwilę przyglądałem się odbiciu twarzy recepcjonisty w lustrze. Twarzy przedstawiciela narodu od pokoleń nie znającego wojny, nie zmuszanego stale do wybierania między złem większym a mniejszym. Nabrałem do tego hotelu szacunku, ale pozostawać tu dłużej nie powinienem. To miejsce było dla mnie spalone. Ci dwaj wrócą tu jeszcze. Jak długo pieczę nad księgą meldunkową sprawuje ten człowiek, będą z samochodu kontrolowa[illegible] główne wejście, później spróbują szczęścia na nowo. Jeżeli już nie osiągnęli swego.

Była szósta — czas obiadu. Hall świecił normalną o tej porze pustką, jak wszystkie halle hotelowe w tym kraju w okresie letnich wakacji. Kto tylko ma cztery kółka na oponach — a ma je tutaj każdy — i po spłaceniu podatków, rat za domek, za najnowsze modele chłodziarki, telewizora kolorowego, magnetowidu pozostało mu w banku trochę wolnego grosza, wyrusza na południe Europy nałykać się słońca. Służbisty Szwed zniknął za przepierzeniem swego kantorka, zostawiając przy kontuarze boya; miałem okazję przemknąć się do windy nie zauważony. Chciałem już wyjść z ukrycia, gdy przypomniałem sobie, że cały hall i korytarze na piętrach znajdują się pod nadzorem wewnętrznej telewizji, a recepcjonista ma w kantorku monitory i widzi wszystko jak na dłoni. Wszędobylska tutaj elektronika, przed której wmontowanymi w gzymsach ścian soczewkami nie schowa się nawet mysz, nie zawsze jest człowiekowi na rękę. Dobrze, że przynajmniej w pokoju jest się poza jej ślepiami, chociaż kto wie!

Narzuciłem na ramiona nowy, szwedzki w kroju płaszcz i skierowałem się do windy. Nie spieszyłem się, pośpiech w prawie pustym hallu zostałby zauważony. Przed wejściem do windy oczami wycieczkowicza z prowincjonalnego miasteczka przyjrzałem się świetlnemu rozkładowi gmachu na ścianie. Na najwyższym piętrze mieściły się: grill-room, kawiarnia oraz atrakcja hotelu — słynny na cały Sztokholm przeszklony przed częstymi tutaj wiatrami taras, z którego roztaczała się panorama miasta; ja mieszkałem na piątym piętrze. Przytaknąłem sobie głową na znak dokonania wyboru i kazałem boyowi wieźć się na samą górę. Schyłek dnia był piękny, stoliki na tarasie w większości zajęte. Podziękowałem szykownej kelnerce: nie widzę osoby, z którą się umówiłem, ale nie będę czekał, przyjdę później. Pogapiłem się na jarzące się na dole światła, choć do zachodu słońca było jeszcze daleko, na rozgadane pary w grill-roomie, siedzące okrakiem na wysokich stołkach wokół baru, i samoobsługową windą zjechałem na moje piętro, wyciskając przed opuszczeniem kabiny klawisz podziemia, gdzie mieścił się basen kąpielowy. Nawyk kluczenia, zacierania po sobie śladów tak mi wszedł w krew od czasu podjęcia mojej decyzji, że robię to podświadomie. Każdy krok, słowo, najmniejszy ruch podporządkowane są zaprogramowanemu w moim mózgu reżymowi wyprowadzenia otoczenia w pole. Nie ufać nikomu. We wszystkim doszukiwać się podstępu. Uwaga — cienki lód! Ostrożność, po tysiąc razy ostrożność, to zasada wpojona każdemu fachowcowi mojej niedawnej profesji, najwyższy nakaz, którego złamanie bywa często błędem nie do naprawienia w tym życiu.

Czy moja ostrożność — pytam siebie niejeden raz — nie jest przesadna, czy nie jestem przypadkiem przewrażliwiony na punkcie wszechobecności ich ludzi albo mojego dla nich znaczenia?

Znając nasz wywiad — w zasadzie jego niewielki odcinek — jego liczne oficjalne i jeszcze liczniejsze nieoficjalne agentury, ich filie, komórki skryte pod szyldami najbardziej nobliwych organizacji i niewinnych funkcji, mając jakie takie pojęcie o jego dla kogoś z zewnątrz niewyobrażalnie rozbudowanej sieci ogarniającej cały, absolutnie cały zachodni świat, nie powinno się mieć wątpliwości. Ich ludzie są wszędzie. Od klas maturalnych, w których już wypatrują narybku na swoich późniejszych pracowników, poprzez uniwersytety, urzędy miejskie, stanowe, federalne, są wśród hostess linii lotniczych, taksówkarzy, kelnerów w wytwornych lokalach, ulicznic, pięknych call-girls, handlarzy narkotyków, zwykłych złodziejaszków, grubych gangsterów, w massmediach. Natknąć się na nich można na oficjalnych przyjęciach wysoko postawionych osobistości, na ekskluzywnych garden-parties, na najbardziej intymnych prywatkach, w sytuacjach i miejscach najmniej spodziewanych. Bzdura! — może kto powie. Na złodzieju czapka gore, nie jak tak źle. Jesteśmy wolnym społeczeństwem! I mówiąc tak będzie miał rację: jesteśmy. Dla wszystkich nieświadomych zasięgu wykorzystywania przez te agencje praw zastrzeżonych Konstytucją dla obywateli Unii pod naciągniętym pretekstem ochrony bezpieczeństwa kraju. W świecie podskórnego zdobywania przyczółków na terenie wroga, potencjalnej z nim konfrontacji zbrojnej, w rozdmuchiwanej stale do samozapalnego zenitu atmosferze zagrożenia tego bezpieczeństwa, pretekst ten jest wystarczająco silny dla złożenia przez jednostkę cząstki swoich praw na ojczyźnianym ołtarzu całopalenia. Reszta to już sprawa taktyki, propagandy i pieniędzy.

Do tego pierwszego — taktyki — nie czerpano wzorców ze Starego Świata. Te skończyły się wraz z bankructwem Imperium Brytyjskiego, którego krwiobieg regulowany był za pomocą kanonierek. Symptomy nieprzydatności tych wzorców do potrzeb powstałego po drugiej wojnie światowej układu sił objawiły się już przed jej wybuchem, tyle że w Londynie tego nie dostrzegano. Era nuklearnych rakiet międzykontynentalnych stworzyła zapotrzebowanie na maksymalną wiedzę o stanie i dyslokacji sił przeciwnika, o każdym jego posunięciu, a co za tym idzie — na nowy model reagowania na nie, działający tak samo błyskawicznie, jak te bronie. Model taki mógł powstać jedynie w umysłach nie obciążonych ogonem wielowiekowej historii, krępującym swobodę ruchu na zakrętach wymagających nagłego przyspieszenia, wyzwolonych od konwencjonalnego myślenia. Na debaty parlamentarne czasu dzisiaj nie ma. I tu leży pies pogrzebany. Jeżeli decyzję o być albo nie być narodu podejmować trzeba od ręki, na sygnał telefonu, jeżeli pociągnięcie przeciwnika daje minuty czy tylko sekundy na kontrposunięcie, to cały ładnie zapisany zeszyt naszej Konstytucji nadaje się do kosza. Szybko zdał sobie z tego sprawę szef Federalnego Biura Śledczego. Okres wojny wykorzystał na omotanie swoją pajęczyną absolutnie wszystkich dziedzin życia kraju zadziwiająco prostymi, często mafijnymi metodami. Tyle od tej strony Potomacu, to jest cywilnych agencji śledczych, ścigania i inwigilacji obywateli, ustawowo stojących na straży konstytucyjnych praw, a nie stroniących od ich gwałcenia. I nie byłoby to jeszcze najgorsze, gdyby im nie pozazdrościły szczęścia siły zbrojne i nie zafundowały sobie własnego aparatu wywiadu, osobno dla wszystkich rodzajów broni, oraz Rada Bezpieczeństwa Narodowego ze swym szczęśliwie powitym dziecięciem, Centralną Agencją Wywiadowczą (CIA), która z dawnego Urzędu Służb Strategicznych rozrosła się w krótkim czasie do prawie państwa w państwie. I jeżeli robota starego lisa z FBI polegała na mnisio cierpliwym podsuwaniu władzy centralnej coraz to nowych form zagrożenia od wewnątrz, to CIA skupiła się na ochronie interesów kraju przed zagrożeniem z zewnątrz, posługując się jako argumentem dla swej działalności i stosowanych metod istnieniem tysiącgłowej czerwonej hydry czającej się w każdym zakątku świata, i nieuchronności zbrojnego z nią konfliktu. Sprzedanie tych obrazków narodowi pozostawiono naszej ckliwej papce made in Hollywood podawanej dwadzieścia cztery godziny na dobę, reszty dokonały pieniądze. Jak wielkie — to też poza wyobraźnią prostego człowieka; sprawom tym poświęciłem drugi rozdział mojej książki.

C.D.N.

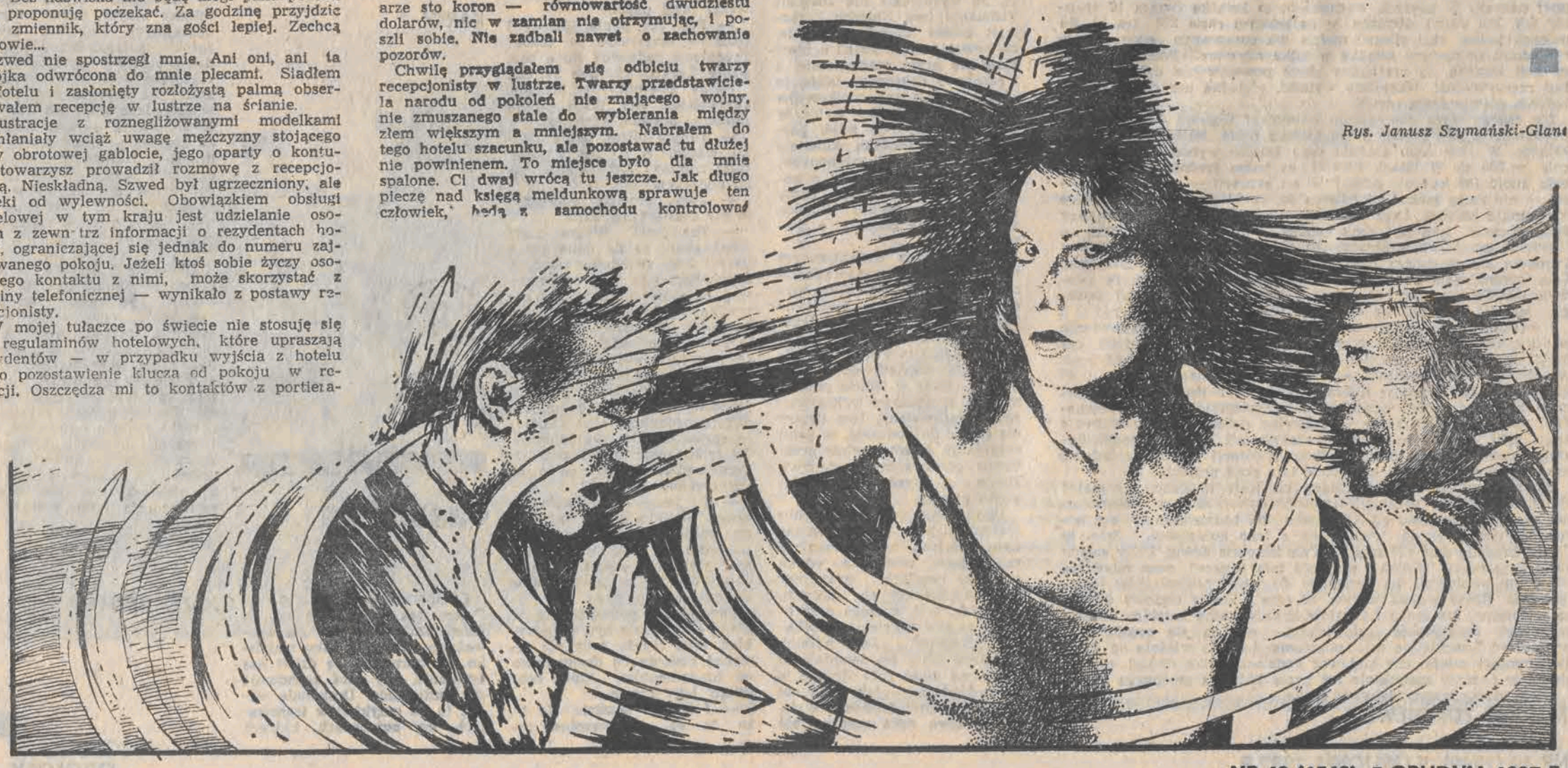

Rys. Janusz Szymański-Glanc